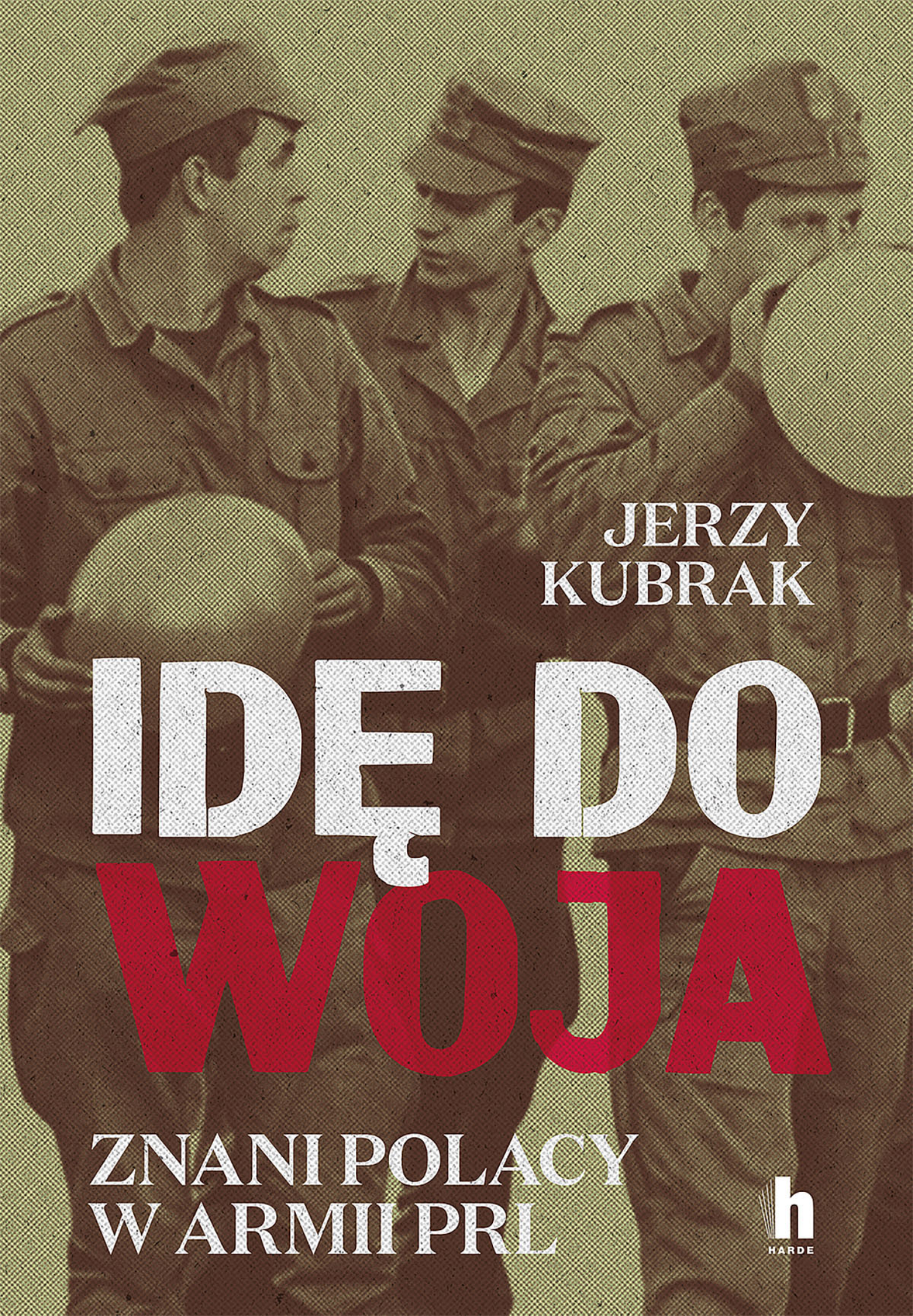

JERZY KUBRAK

IDĘ DO WOJA

ZNANI POLACY W ARMII PRL

HARDE

JERZY
KUBRAK

IDĘ DO WOJA

ZNANI POLACY W ARMII PRL

HARDE

Spis treści

Wstęp
Rozdział 1. Plutonowy podchorąży Jerzy Stuhr
Rozdział 2. Poborowy Robert Makłowicz
Rozdział 3. Starszy marynarz Leszek Miller
Rozdział 4. Porucznik rezerwy Józef Oleksy
Rozdział 5. Poborowy Wojciech Fibak
Rozdział 6. Poborowy Adam Małysz
Rozdział 7. Kapral podchorąży Jan Lityński
Rozdział 8. Poborowy Andrzej Celiński
Rozdział 9. Szeregowy Stefan Niesiołowski
Rozdział 10. Szeregowy Ryszard Kalisz
Rozdział 11. Starszy kapral podchorąży Leszek Balcerowicz
Rozdział 12. Szeregowy Artur Andrus
Rozdział 13. Szeregowy Grzegorz Miecugow
Rozdział 14. Szeregowy Maciej Orłoś
Rozdział 15. Szeregowy Wiesław Walendziak
Rozdział 16. Szeregowy Krzysztof Skowroński
Rozdział 17. Szeregowy Piotr Skwieciński
Rozdział 18. Starszy szeregowy podchorąży Rafał Ziemkiewicz
Epilog
Posłowie
Ważniejsza bibliografia
Przypisy

Copyright © by Jerzy Kubrak, 2025
Copyright © by TIME S.A., 2025

Redaktor naczelny: Michał Zarzycki, mzarzycki@grupazpr.pl
Redakcja: Igor Stefanowicz
Korekta: Joanna Misztal
Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Tarasiuk
Zdjęcie na okładce: Krzysztof Pawela / Agencja FORUM

Zdjęcia w książce pochodzą z archiwów prywatnych Jerzego Stuhra, Roberta Makłowicza, Leszka Millera, Wojciecha Fibaka, Stefana Niesiołowskiego, Ryszarda Kalisza, Leszka Balcerowicza, Grzegorza Miecugowa, Macieja Orłosia, Piotra Skwiecińskiego i Rafała Ziemkiewicza.
Pozostałe fotografie pochodzą z archiwum „Super Expressu”, a ich autorami są: Sebastian Wolny, Piotr Bławicki, Adam Jagielak, Tomasz Radzik.

Wydawca:
TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa
facebook.com/hardewydawnictwo
instagram.com/hardewydawnictwo
tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Warszawa 2025
Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-8343-699-9

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Kto był w wojsku, ten wie, że nie jest tam wesoło.
Ale gdy się już z woja wyjdzie – kupa śmiechu!

baza ebooków

Wstęp

Proponuję Państwu opowieść o znanych Polakach, którzy w różnych okolicznościach mieli do czynienia z armią w okresie PRL-u. Do zgromadzonych relacji dodałem garść ciekawostek technicznych i historycznych, opinie ekspertów, a także własne obserwacje.

Nonsensy czasów PRL-u były mniej lub bardziej dokuczliwe. Przymusowa służba wojskowa należała do absurdów bolesnych, a jednocześnie śmiesznych. Niestety pośmiać się można było dopiero po fakcie.

Pobór obejmował każdego młodego mężczyznę. Konstytucja z dwudziestego drugiego lipca 1952 roku głosiła, że „służba wojskowa jest zaszczytnym obowiązkiem patriotycznym obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Co do rodzaju tego obowiązku nie było wątpliwości. W myśl ustawy zasadniczej, którą własnoręcznie redagował agent sowieckiego wywiadu Bolesław Bierut, uzupełnionej w 1976 roku przez ekipę Edwarda Gierka, Polak patriota, tak jak cały PRL, „umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich i innymi państwami socjalistycznymi".

Jak wskazywała rota przysięgi wojskowej, armia usilnie starała się uczynić z młodych Polaków obrońców „praw ludu pracującego", „władzy ludowej", „granic PRL przed zakusami imperializmu", „pokoju w braterskim przymierzu z Armią Radziecką". Ale rodacy, zamiast jak muł ciągnąć wóz socjalizmu, wierzgali niczym mustang na imperialistycznym rodeo. Przed wojskiem bronił się, kto mógł. Wszelkimi sposobami, łącznie z załatwianiem „żółtych papierów" poświadczających chorobę psychiczną.

Ze względu na doświadczenie autora, który został wcielony do Ludowego Wojska Polskiego (LWP) w charakterze podchorążego, książka skupia się głównie na przygodach poborowych po wyższych studiach. Niestety, wbrew popularnemu powiedzeniu, podchorąży nie zawsze zdąży. Książka trafia do rąk czytelników, gdy część jej bohaterów odeszła na wieczną wartę. Poświęcam to skromne dzieło Ich pamięci.

Do lektury odmaszerować!

baza ebooków

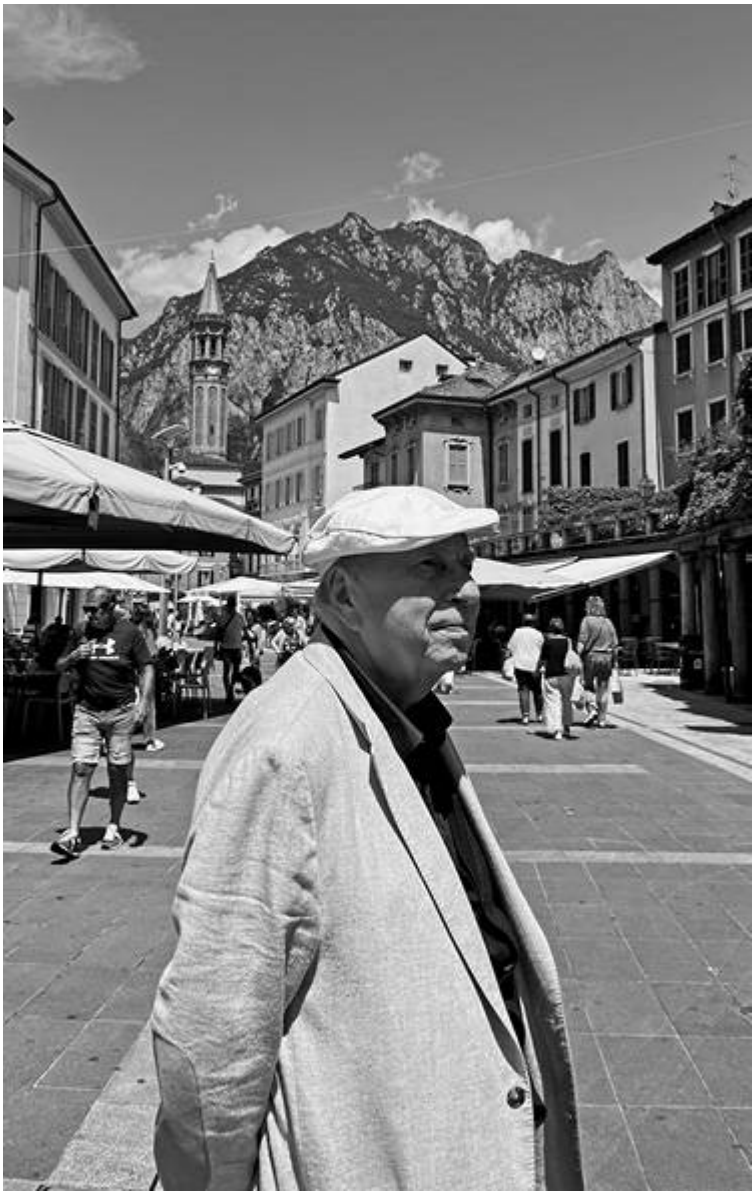

baza ebooków

Rozdział 1

Plutonowy podchorąży Jerzy Stuhr, rocznik 1947, kategoria A

Czy można sobie wyobrazić kompanię wojska, składającą się ze studentów filologii polskiej, szkoły teatralnej, muzyków i plastyków? W studium wojskowym przy Uniwersytecie Jagiellońskim świętej pamięci Jerzy Stuhr trafił do takiej właśnie kompanii. Najgorszej, jaka mogła się zdarzyć. Była druga połowa lat sześćdziesiątych.

Do militarnych zwierzeń nakłoniłem Jerzego Stuhra trochę przypadkowo. Początkowo zwróciłem się do jego równie utalentowanego syna, Macieja. Kilka razy udzielał mi dowcipnych komentarzy na rozmaite tematy. I tym razem liczyłem na małą anegdotę, choćby z zajęć przysposobienia obronnego. Maciej Stuhr o wojsku w PRL-u nie miał jednak zielonego pojęcia. Cóż, nie jego wina, taki pesel. Ale z kwitkiem nie odszedłem. – Niech pan porozmawia z moim tatą – poradził.

Spotkałem się z Jerzym Stuhrem w warszawskim Teatrze Polonia Krystyny Jandy, gdzie przez wiele lat grał i reżyserował. Jego opowieść była jak improwizowany monodram. Bombowa sztuka!

Brałem szturmem kobiety nad rzeką

Podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim Jerzy Stuhr przez cztery lata miał zajęcia wojskowe. Ubierał się w mundur o szóstej rano i szedł na ulicę Piastowską w Krakowie, gdzie odbywało się studium. Cykl szkoleń kończył się obowiązkową mobilizacją na poligonie.

Studium wojskowe to śmiertelnie nużące zajęcia, które Ludowe Wojsko Polskie prowadziło dla studentów. W PRL-u były obowiązkowe. Bez ich zaliczenia nie można było skończyć studiów. Początkowo męczono nimi studentów prawie przez cały okres nauki, a na zajęcia trzeba było przychodzić w mundurze.

baza ebooków

„Wojsko na studiach to temat bardzo wdzięczny do wspominania” – pisał historyk profesor Adam Czesław Dobroński. „Każda polska wyższa uczelnia miała własne studium wojskowe. Zdaniem »generałów« było jednak zupełnie odwrotnie, to przy wojsku istniały uniwersytety. Każdego semestru na dwa tygodnie zamienialiśmy się w podchorążych, trochę zastraszonych, z przymusu podgolonych, wyglądem przypominających bardziej maruderów niż chłopców malowanych” [1].

Studenci nie mieli spokoju nawet w wakacje, bo wtedy wojsko urządzało dla nich obozy szkoleniowe. Kończyły się przysięgą wojskową, po której świeżo upieczeni podchorążowie trafiali do rezerwy.

„Bardzo źle zapisało się w mojej pamięci szkolenie w jednostce wojskowej w Morągu, zwłaszcza na obozie po czwartym roku, kiedy to wskutek brawury i nieodpowiedzialności wojskowych doszło do tragicznego wypadku, w którym zginęło kilku kolegów z neofilologii. Nawet po latach wspominam te zajęcia jako wymuszony udział w ponurej grotesce” [2] – wyznał biolog, doktor Jan Chojnacki.

Groteskowe były też manewry poligonowe Jerzego Stuhra. Na szczęście obyło się bez tragedii. – Gdy jako student polonistyki zdawałem egzamin do szkoły teatralnej, miałem akurat wyjazd na poligon Kielce-Bukówka, na który, właśnie z powodu egzaminów, nieco się spóźniłem. Przez półtora miesiąca byłem w piechocie – wspominał aktor.

Pewnego dnia oddział Jerzego Stuhra dostał rozkaz sforsowania rzeki. – Zajęliśmy rubież, siedzimy cichutko, zamaskowani, w krzakach, w rękach mamy karabiny i petardy. Po drugiej stronie rzeki była plaża, mamy z dziećmi tam się opalały. Zgłaszam się przez krótkofalówkę do pułkownika: „Sokół, Sokół, jak mnie słychać?”. Wszystko regulaminowo. Mówię mu, że może uprzedzić te kobity, bo za chwilę napierducha będzie totalna. A on, że gówno, nikogo nie będziemy uprzedzać, bo to jest teren wojskowy i oni są tam bezprawnie. Nic tam, do ataku! Nagle wylatuje w niebo rakieta czerwona, my wyskakujemy z tych krzaków, wrzeszczymy: „Huraaaaa!”. Matki krzyczą, dzieci płaczą, uciekają, bo wojna…

„Wojna jest zbiorowym uderzeniem krwi do głowy; ujmując to inaczej: jest totalną rozpierduchą” [3] – napisał angielski dziennikarz i komik Tom Phillips. Jakby czytał w myślach plutonowego Stuhra.

Kółka olimpijskie robimy

Bywało, że w ciągu dnia dzielni wojacy musieli na kieleckiej Bukówce „wyrzucić” amunicję, którą powinni zużyć. A nie zużyli, bo mieli lepsze zajęcie. – Rano była ściepa i na melinie, pod jednostką, kupowało się pół litra Żytniej. Jako pomocnik plutonu miałem raportówkę. Koledzy wsadzali mi butelkę do raportówki, sami

baza ebooków

biegli na plażę, a ja musiałem tę wódę z pułkownikiem pić. Nie dość, że upał, to jeszcze wódka ciepła. Koszmar! Potem amunicję trzeba było zdetonować. I to była ulubiona zabawa naszego podpitego pułkownika: rzucanie petard w zboże. Jak wybuchały to równe kółka wypalały w zbożu. „Kółka olimpijskie robimy", wołał pułkownik. Takie były zabawy.

Bukówka, gdzie stacjonowała kompania artystów, to – jakby powiedzieli wojskowi – południowo-wschodnia rubież Kielc. W okresie międzywojennym zbudowano tu koszary dla stacjonujących w mieście wojsk. Przed wrześniem 1939 roku osiemdziesięciu najlepszych żołnierzy kieleckiego garnizonu skierowano do ochrony Westerplatte. Stanowili prawie połowę bohaterskiej załogi placówki. W czasach PRL-u na Bukówce stacjonował między innymi 4 Puławski Pułk Zmechanizowany imienia Ludowych Partyzantów Ziemi Kieleckiej. Został sformowany (pod nieco inną nazwą) w 1943 roku w Sielcach nad Oką. Na szlaku bojowym 1 Armii Wojska Polskiego forsował Wisłę pod Puławami, nacierał na Warszawę, walczył na Wale Pomorskim i w rejonie Kamienia Pomorskiego. Z 4 Pułku wywodzili się między innymi późniejsi generałowie LWP Eugeniusz Molczyk (1926–2007) i Wacław Szklarski (1925–2010). Molczyk przez kilkanaście lat sprawował funkcję wiceministra obrony narodowej. Równolegle był zastępcą naczelnego dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych Państw Stron Układu Warszawskiego. Jako zwolennik siłowej rozprawy z „Solidarnością" w stanie wojennym zasiadał w Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego. Z kolei Szklarski za „szczególne zasługi dla socjalistycznej Ojczyzny w okresie stanu wojennego" trafił do *Honorowej Księgi Czynów Żołnierskich*. Ale w 4 Pułku służyli też autentyczni bohaterowie. Tacy jak chorąży Kazimierz Dudek (1923–1945), który podczas walk nad Odrą został ranny. Odmówił leczenia w szpitalu i pozostał na linii frontu. Poległ w czasie walk nad kanałem Ruppiner. Pośmiertnie został odznaczony orderem Virtuti Militari. Obecnie na Bukówce znajduje się Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych.

Polonista, wystąp!

Jerzy Stuhr trafił na Bukówkę akurat w momencie, gdy w jego życiu akademickim doszło do przegrupowania sił. Do polonistyki dołożył studia aktorskie. O dziwo, obydwie profesje okazały się bardzo przydatne zarówno w studium wojskowym, jak i na poligonie.

– Nie wiem czemu naszym dowódcom wydawało się, że studiujący polonistykę muszą ładnie pisać. A ponieważ kancelaria miała jakieś papiery do przepisywania, więc rano na apelu często się słyszało: „Polonista, wystąp!". I wtedy wszyscy

baza ebooków

chcieli wystąpić. Bo to oznaczało, że siedzisz w ciepełku, coś tam piszesz, nudzisz się, papieroski popalasz. A inni się czołgają, pełzają, RKM obsługują.

RKM – ręczny karabin maszynowy. Ważył około dziesięciu kilogramów, dwa razy więcej niż popularny „kałach” (KBK AK – karabinek automat Kałasznikowa). Daleko mu jednak było do CKM-u, czyli ciężkiego karabinu maszynowego, który wraz z wyposażeniem mógł ważyć nawet sześćdziesiąt kilogramów. RKM miał dłuższą lufę niż KBK AK, umieszczaną na charakterystycznym dwójnogu. Obsługiwany był przez dwóch żołnierzy. Z własnej służby wojskowej pamiętam, że koledzy, którym przydzielono RKM, uważani byli za pechowców. Nikt nie chciał targać takiego żelastwa.

– Bycie polonistą to była intratna fucha – ciągnie opowieść Jerzy Stuhr. – Pamiętam, że jako polonista poczułem się raz wyjątkowo potrzebny. To było w maju, czyli przed zaliczeniami. Dostałem dziwne zadanie. Kapitan mnie wezwał i mówi: „O godzinie ósmej trzydzieści dostaniecie trzy tematy. Piszecie do jedenastej trzydzieści”. I rzeczywiście, o godzinie ósmej trzydzieści przyjeżdża gazik i przywozi mi trzy tematy. *Rola Żeromskiego w budzeniu świadomości narodowej* i coś tam jeszcze, czego już nie pamiętam. Patrzę, że to są tematy maturalne. Wołam kapitana i mówię, że muszę wiedzieć, dla kogo piszę, czy to jest liceum ogólnokształcące, czy inna szkoła. On mówi, że gastronomiczna, zaoczna, że dziewczynę tam ma. Zacząłem klecić jakąś bzdurę w gastronomicznym stylu. Za to miałem mieć zaliczone na cały rok te wszystkie szkolenia ogniowe, strzelania, rozbieranie pistoletu. Napisałem. O jedenastej czterdzieści pięć gazik odjechał, zawiózł tematy. Za tydzień zgłaszam się po zaliczenie i pytam, jak mi poszło na maturze. „Plus trzy dostaliście” – powiedział kapitan.

Gazik – popularna nazwa sowieckiego samochodu terenowego GAZ. Rosjanie wzorowali się na amerykańskim Bantamie BRC, który był pierwowzorem słynnego Jeepa. Do produkcji seryjnej gazik wszedł w sierpniu 1941 jako GAZ-64. Potem wypuszczano jego udoskonalane wersje (GAZ-67, GAZ-69). Był podstawowym lekkim samochodem terenowym w wojskach i służbach państw „demokracji ludowej”. W PRL-u gaziki jeździły w armii i Milicji Obywatelskiej. Widać je w wielu filmach

baza ebooków

wojennych. Gazikiem jeździli na przykład bohaterowie *Pułkownika Kwiatkowskiego* grani przez Marka Kondrata, Zbigniewa Zamachowskiego i Renatę Dancewicz.

Uczyłem pułkownika logiki

Jerzy Stuhr był nie tylko popularnym aktorem i uznanym reżyserem, ale też nauczycielem akademickim, wieloletnim rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Okazuje się, że z jego talentu pedagogicznego w słusznie minionych czasach jako pierwsza skorzystała armia.

– W pewnym momencie przyszły jakieś zarządzenia z Ministerstwa Obrony Narodowej (MON) czy z Ministerstwa Edukacji Narodowej (MEN), że oficerowie w studium wojskowym muszą mieć ukończone kursy pedagogiczne. Musieli więc uzupełniać wykształcenie. Ja uczyłem mojego pułkownika logiki. To wcale nie było prostym zadaniem. Alternatywę mu tłumaczyłem: albo pan pójdzie do kina, albo do teatru. A on: „Kurwa, nie chodzę nigdzie". To albo na wódkę, albo na dupy. „O, to dobre, mogę iść na jedno i drugie". I taka to była nauka. Wypisałem mu na aktówce wzory i tak go uczyłem, że jakoś na tróję zdał.

Naga z pistoletem

Jak opowiadał Jerzy Stuhr, dobrze mieli też w wojsku artyści malarze, bo na zaliczenie malowali oficerom obrazy. – Pułkownik lubił mieć na przykład olejną bitwę pod Studziankami, albo motyw: naga z pistoletem. I za to malarze mieli zwolnienie ze szkolenia ogniowego albo politycznego.

Wykorzystywanie niecodziennych umiejętności i możliwości poborowych było w armii dość powszechne i praktykowane przez cały okres PRL-u. Gdy pod koniec lat osiemdziesiątych zaliczałem Szkołę Podchorążych Rezerwy w Elblągu, moja kompania składała się głównie z absolwentów Akademii Wychowania Fizycznego. Jako cherlawy dziennikarz nie mogłem z nimi konkurować w żadnej z wojskowych sprawności. W jednostce nie było też zapotrzebowania choćby na gazetkę ścienną. Zainteresowanie wzbudził natomiast kolega po Akademii Sztuk Pięknych. Dowódca kompanii nie mógł nadziwić się pracy dyplomowej naszego artysty. Dziełem tym była abstrakcyjna instalacja plenerowa, wykonana z kupy złomu. Na zdjęciach prezentowała się jak zasieki wrogiej armii. Autor musiał wzbudzić swoją twórczością szacunek dowódcy, bo został przez niego skierowany do prac nad oprawą plastyczną co ważniejszych pomieszczeń jednostki. Tak odpowiedzialne zadanie wiązało się ze zwolnieniem z wielu uciążliwych obowiązków, co budziło zazdrość towarzyszy broni.

baza ebooków

Liczył się nie tylko talent. W cenie były też rozmaite koneksje. Pod koniec PRL-u brakowało w sklepach piwa, szczególnie lepszych gatunków. Rarytasem był Żywiec. Tak się złożyło, że w naszej kompanii był chłopak z Żywca. Nie uszło to uwadze dowódcy, który z chęcią wysyłał podwładnego do domu na długie przepustki. Kolega wracał obładowany butelkami ze złocistym napojem. W Żywcu Żywca nie brakowało.

Inny z moich *brothers in arms* miał w Warszawie wypożyczalnię kaset wideo. Z pierwszej przepustki wrócił z odtwarzaczem i kilkoma filmami. Potem regularnie kursował po nowości. Co w zamian? Nasz kurier był właścicielem nadzwyczaj wielkich stóp. W magazynie nie było trampek w jego rozmiarze, a intendentura nie wykazywała szczególnych starań, by sprowadzić dla rekruta odpowiednie obuwie. Tym sposobem do końca służby był zwolniony z zaprawy porannej.

Ale wróćmy do Jerzego Stuhra i wojskowej doli aktorów. W studium do niczego się nie przydawali. Ale na polu walki potrafili sobie poradzić. – Na poligonie od razu założyliśmy zespół i codziennie wychodziliśmy na próbę do kasyna garnizonowego Kielce-Bukówka. A tam było dobrze – mieliśmy wszystko do dyspozycji: alkohol, żony oficerów… Cały czas niby ćwiczyliśmy program na dwudziestego drugiego lipca. I tak przez miesiąc.

Wyrzućcie wszystkie bomby wasze

Jerzy Stuhr pamięta, że jedzenie w jednostce było okropne. Z tego powodu doszło nawet do żołnierskiego buntu. – Prawnicy nas podpuścili, to znaczy koledzy z kompanii studentów prawa. Chcieli odmówić przyjęcia posiłku, ale im powiedzieli, że pójdą do aresztu. Więc my wymyśliliśmy inny system: wyrzucaliśmy jedzenie, które nam dawano.

Podobny „szlak bojowy” przeszli dobrzy znajomi naszego bohatera. – Gdy się spotykam z kolegami, na przykład z Jerzym Trelą, albo Tadeuszem Nyczkiem, znanym krytykiem, to niekiedy wspominamy tych naszych dowódców. To byli ciekawi ludzie, często jeszcze frontowi – zaznaczał Jerzy Stuhr.

Zapewne dowódcy mieli poważne doświadczenia, ale w pamięć studentów wryli się od zabawnej strony. – Do dziś śmieję się z jednego oficera, który mówił, że się otworzy puszka Pandora. Albo mówił: „Pocisk atomowy Saraker”. My go poprawialiśmy: „Saracen”. A on: „Saraker, nie umiecie po angielsku!”. Lubiliśmy mu zadawać podchwytliwe pytania. Na szkoleniu politycznym na przykład

baza ebooków

pytaliśmy go, jak zinterpretuje słowa papieża: „Wyrzućcie wszystkie bomby wasze”. Potem już nie pozwalał nam zadawać żadnych pytań. Takie to były czasy.

Oddałem guzik do muzeum

Nie myślcie sobie, że wojskowy epizod Jerzego Stuhra w siłach zbrojnych PRL-u to jedynie wybryk historii. To historia nie na żarty, skoro trafiła do muzeum. – Na zakończenie zajęć w studium wojskowym mundur wyjściowy musiałem zdać, ale polowy podwędziłem. Na juwenalia chciałem zachować, a poza tym chodzenie w mundurze modne było, dziewczyny lubiły nosić taką bluzę. Dwa czy trzy lata temu zwróciło się do mnie jakieś muzeum guzików, które kompletuje guziki znanych ludzi. Przekazałem jeden guzik właśnie z tego munduru – opowiadał Jerzy Stuhr.

Nie dopytałem, a później nie udało się ustalić, gdzie konkretnie trafił historyczny guzik Jerzego Stuhra. Zagadka pozostaje nierozwiązana. Sądziłem, że chodzi o Muzeum Guzików w Łowiczu, ale szef tej placówki, Jacek Rutkowski, wyprowadził mnie z błędu. Napisał: „Wiele bym dał, aby posiadać w zbiorach guzik Mistrza Stuhra, a także guzik jego syna w osobie Macieja. Może kiedyś się to uda, staram się dopiero od kilku lat. (…) Kilka osób mi obiecywało, ale »guzik« z tego wyszło. Potem zmarł Jerzy Stuhr i straciłem nadzieję na osobiste przekazanie. Teraz wszystko w rękach Pana Macieja”.

Eksponat pochodzący z polowego munduru Jerzego Stuhra to ostatni ślad wojskowej kariery słynnego aktora. Więcej już wojsko o niego się nie upominało. Guzik z pętelką! – W rezerwie już mnie do wojska nie powoływali. Miałem spokój. A teraz już jestem niezdatny do służby wojskowej. Chociaż… Pewien poeta włoski, twórca futuryzmu, miał ponad sześćdziesiąt lat, gdy wybuchła wojna. Tak bardzo chciał walczyć, że się zgłosił na ochotnika, ale go nie przyjęli ze względu na wiek. Jak dziś patrzę na młodych aktorów, którzy grają sceny z bronią, to mi ich żal. Nie wiedzą, jak się to rozbiera, jak się tym posługuje. Ja od czasu pobytu w wojsku codziennie starannie ścielę łóżko. Wojsko mnie tego nauczyło.

Jerzy Stuhr
Bombowy aktor i trafiający w dziesiątkę reżyser. Nigdy nie spóźniał się z dowcipem na Spotkania z balladą*. Na festiwalu w Opolu udowodnił, że* Śpiewać każdy może*. W* Amatorze *Krzysztofa Kieślowskiego zagrał zawodowo. W* Wodzireju *Feliksa Falka wodził widzów za nos. U Juliusza Machulskiego wzorowo wypełnił* Seksmisję*. Wbrew temu, że dzieci i ryby głosu nie mają, jako komisarz Ryba miał decydujący głos w* Kilerze*. Samym głosem inteligentnie zagrał Osła w*

baza ebooków

animowanym Shreku*. Jako reżyser zaczął od*
sporządzenia Spisu cudzołożnic*. W* Historiach miłosnych *miał dobrą rękę do obsady.*
Osobiście zagrał pięć ról, bo wiedział, że nikt lepiej tego nie zrobi.
Za to w Obywatelu *podzielił się główną rolą*
– z synem Maciejem. W książce Sercowa choroba,
czyli moje życie w sztuce *opisał własny zawał serca. Następnych*
chorób opisać już nie zdążył. Zmarł w Krakowie dziewiątego lipca 2024
roku.

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 2

Poborowy Robert Makłowicz, rocznik 1963, kategoria A

„Z prawdziwą przyjemnością informuję, że dzięki uporczywie długotrwałemu studiowaniu nie poszedłem do ludowego wojska. Na zajęciach wojskowych byłem jedynie kilka razy z powodu ich głupoty. Ponieważ były obowiązkowe, studiów nie skończyłem, a do wojska i tak mnie nie wzięli, bowiem Polska Rzeczpospolita Ludowa się rozleciała. Jedyny mundur, jaki do tej pory miałem na sobie, to mundur nieistniejącej armii austro-węgierskiej. Zatem wnieść chyba wiele nie mogę do tej militarnej opowieści".

Robert Makłowicz nie doceniał swoich kombatanckich doświadczeń. Ale nie dawałem za wygraną. Czułem, że w popularnym kucharzu tkwi potencjał smakowitej żołnierskiej historii. Nawet jeśli jedynie otarł się o mundur, chciałem zaczerpnąć apetyczny kąsek z kotła jego poczucia humoru. „Już z tych kilku zdań (cytowanych na wstępie – J.K.) widzę, jak pyszną historię zyskałaby pichcona przeze mnie książka, gdyby zgodził się Pan choćby na chwilę rozmowy" – nacierałem. Opłaciło się. Robert Makłowicz w końcu uległ moim namowom. Oto jego potyczki z wojskiem.

Niech mnie dosięgnie surowa ręka

– W 1982 roku zdałem maturę i dostałem się na studia. Był stan wojenny. Pójście wtedy do wojska było niezwykle groźną sprawą. Ze względów wszystkich, a zwłaszcza ideologicznych. Przysięganie na wierność Armii Czerwonej i Układowi Warszawskiemu, abstrahując od absurdów ówczesnej służby wojskowej, to nie było coś, czego bym chciał doświadczyć – opowiada dzisiejszy krytyk i podróżnik kulinarny.

baza ebooków

Przysięga wojskowa (fragment): „Przysięgam strzec niezłomnie wolności, niepodległości i granic Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przed zakusami imperializmu, stać nieugięcie na straży pokoju w bratnim przymierzu z Armią Radziecką i innymi sojuszniczymi armiami, a w razie potrzeby nie szczędzić krwi ani życia, mężnie walczyć w obronie Ojczyzny o świętą sprawę niepodległości, wolności i szczęścia ludu. Gdybym nie bacząc na tę moją uroczystą przysięgę, obowiązek wobec Ojczyzny złamał, niechaj mnie dosięgnie surowa ręka sprawiedliwości ludowej”.

(Ustawa z 22 listopada 1952 roku o przysiędze wojskowej)

Studia chroniły przed wojskiem, więc poborowy Makłowicz studiował bardzo długo.

– Najpierw prawo, potem przeniosłem się na historię. Ale wiedziałem, że ten dyplom i tak mi nie będzie do niczego potrzebny, bo nie będę uczył w szkole historii. Studiowałem historię dla własnej przyjemności. Istotną motywacją było również to, aby nie iść do Ludowego Wojska Polskiego. Zajęcia wojskowe na studiach utwierdziły mnie w tym przekonaniu. To był szczyt kretynizmu, gra pozorów i niezwykła strata czasu. Trafiłem na oficera, kompletnego, za przeproszeniem, matoła. Nie sprawdził się w niczym, więc go kierowali do zajęć ze studentami, takiego przysłowiowego młota.

Trep kontra agent NATO

Zimową porą student Makłowicz uczęszczał do studium wojskowego w grubym płaszczu belgijskiej marynarki wojennej. Wełnianym, niemal do kostek, ze złotymi guzikami w kotwice. Nie uszło to uwadze „oficera Młota”. – Ten człek prześladował mnie, że jestem najwyraźniej agentem NATO! Nosiłem ów płaszcz, gdyż był piękny i najcieplejszy w mym ówczesnym zestawie zimowych okryć, a dostałem go w paczce od rodziny z zagranicy. A ten drwił, kazał na apelach przed szereg występować. Z perspektywy dzisiejszej może to wydawać się śmieszne, ale dla mnie było przerażające. Bycie we władzy trepa zwyczajnie mnie poniżało. Więc przestałem chodzić na studia. Rok później zajęcia z wojska przestały być obowiązkowe, PRL chylił się już ku upadkowi.

Trep – tak żołnierze z poboru pogardliwie nazywali zawodowych oficerów i podoficerów. Określenie pochodzi od prymitywnego buta na drewnianej podeszwie, traktowanego jako symbol głupoty i zacofania. Brak szacunku dla zawodowej kadry dowódczej ma swoje źródła u zarania PRL-u. To wtedy zaczęło obowiązywać powiedzenie „nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera”. Do kariery w armii

baza ebooków

> nie trzeba było solidnego wykształcenia, wystarczały szybkie kursy. Na pagonach munduru pojawiały się kolejne gwiazdki, ale z butów (czytaj: trepów) nadal wystawała słoma. Stąd – jak wyjaśniał w „Polsce Zbrojnej” major rezerwy, komandos Tomasz „Burza” Burzyński – wziął się trep „jako synonim mało rozgarniętego przełożonego w mundurze, o wąskich horyzontach myślowych, który jak ten przysłowiowy przedmiot był odporny na wiedzę i zniszczenie” [4].

I tak, przez trepa, „oficera Młota”, poborowy Robert Makłowicz, rocznik 1963, kategoria A1, wybił sobie z głowy dalsze studiowanie. Decyzji nie żałuje. – Z perspektywy okazuje się, że miałem rację. Bo co by zmienił mój dyplom z historii? Czego chciałem się nauczyć, tego się nauczyłem, a przynajmniej nie uczestniczyłem w tym beznadziejnym spektaklu, który z prawdziwym szkoleniem wojskowym nie miał nic wspólnego.

W mundurze austro-węgierskim

Niedługo potem nastał rok 1989 i w Polsce skończył się komunizm. – Jakieś listy za mną jeszcze słali, ale wyjechałem na rok do Anglii. Zmienił się system i już nikt do wojska mnie nie wziął – wspomina Robert Makłowicz.

Mimo złych doświadczeń z armią ludową, zachował sentyment do munduru. Może ze względu na ojca, Włodzimierza, który był marynarzem. On sam wskazuje na inny powód, paradując w historycznym mundurze monarchii cesarza Franciszka Józefa. – Co innego PRL, a co innego Austro-Węgry. Będąc z Krakowa, przywiązany jestem do idei monarchii naddunajskiej. Parę razy wdziewałem pożyczony mundur austro-węgierski, a nawet uszyłem sobie własny. To mundur 13 pułku piechoty CK, tak zwanych krakowskich dzieci. Taki ukłon w stronę historii, lokalności i małej ojczyzny. Bardzo elegancki jest.

Roberta Makłowicza można podziwiać w takim odzieniu między innymi na okładce jego książki *C.K. kuchnia*.

– Nie oznacza to oczywiście, że nie szanuję i nie cenię polskiego munduru – zaznacza stanowczo. – Ale państwo i armia muszą być emanacją nas wszystkich, a PRL taką emanacją nie był. Rzecz jasna, w Ludowym Wojsku Polskim służyli z pewnością również ludzie mądrzy, ale mundur armii, która na przykład najechała Czechosłowację w 1968 roku i strzelała do robotników na Wybrzeżu w 1970 roku, nie kojarzy mi się dobrze. Co innego dzisiejszy polski mundur lub historyczne

baza ebooków

mundury Pierwszej czy Drugiej Rzeczypospolitej. Do nich mam ogromny szacunek.

Wojskowa grochówka

W wojskowej opowieści dotyczącej kucharza nie możemy pominąć wątku kulinarnego. A polowy kocioł najbardziej kojarzy się z grochówką. Nie uwierzycie, ale ta zupa potrafi działać jak broń chemiczna. I wcale nie chodzi o jej właściwości gastryczne. Jako rezerwista zostałem kiedyś powołany na kilkudniowe ćwiczenia. Wraz z grupą podobnych mi wojaków trafiłem na poligon w Zegrzu. Była późna jesień, zimno jak na froncie wschodnim. Zakwaterowano nas w pokrytych brezentem wielkich, dziesięcioosobowych namiotach. Pokład ogrzewany był spalinowymi dmuchawami. Działały tak, że ciepła czuć nie było, za to potwornie śmierdziało spalinami. Tak wyglądało pierwsze podtrucie. Decydujący cios zadała grochówka. Miała dziwny posmak, ale zgłodniali rezerwiści, łącznie ze mną, pochłonęli ją łapczywie. Wątpliwości co do smaku zupy zagryzaliśmy chlebem. Na następny dzień zdolność bojowa całego oddziału wynosiła tyle co temperatura na poligonie – grubo poniżej zera. Szybkie śledztwo wykazało, że zupę ugotowano w kuchni polowej, z której nie wypłukano dużych ilości mocnego środka użytego do czyszczenia kotła.

Robert Makłowicz zdecydowanie dystansował się od wojskowej grochówki: – Nie miałem przyjemności, ani nieprzyjemności, jeść wojskowej grochówki. Nigdy nie marzyłem i nie marzę o tym. W ogóle nie wiem, co to znaczy wojskowa grochówka. Bo co? Jakiś specjalny, inny przepis? Bardzo się dziwię, że są miejsca cywilne, na poboczach dróg zwłaszcza, gdzie podają „wojskową grochówkę”. Nie wiem, może ktoś tęskni za tym, co jadł w wojsku. Ja nie jadłem, bo wojska udało mi się uniknąć, mimo że przydzielono mi kategorię A.

Zupa na pokładzie

W końcu jednak nasz kucharz przekonał się do militarnej zupy z grochu. A nawet własnoręcznie ją przyrządził. I to na pokładzie okrętu podwodnego ORP „Orzeł” III.

ORP „Orzeł” (nr burtowy 291) jest trzecim okrętem podwodnym w polskiej Marynarce Wojennej noszącym tę nazwę. Kontynuuje tradycję słynnego „Orła”, który we wrześniu 1939 roku brawurowo uciekł z internowania w Tallinie, dotarł do Wielkiej Brytanii i podjął walkę przeciwko Niemcom na Morzu Północnym. ORP „Orzeł” III to konstrukcja sowiecka. Okręt został zbudowany w stoczni Krasnoje

baza ebooków

Sormowo w Gorkim (obecnie Niżny Nowogród). Pierwszy raz polską banderę wojenną podniesiono na nim dwudziestego dziewiątego kwietnia 1986 roku w Rydze. W latach 1999–2000 został dostosowany do standardów NATO i pływa do dziś. Wchodzi w skład 3 Flotylli Okrętów i – jak na swój wiek – radzi sobie całkiem nieźle. W 2021 roku, gdy obchodził trzydziestopięciolecie służby, miał na koncie prawie dziewięćdziesiąt siedem tysięcy mil morskich żeglugi i ponad osiemset zejść pod wodę. Z powodzeniem bierze udział w manewrach NATO, operował na Bałtyku, Morzu Północnym i Oceanie Atlantyckim. Wyposażony jest w sześć dziobowych wyrzutni torped różnego typu. Może także stawiać miny morskie. Jego kadłub zewnętrzny pokryty jest powłoką typu „skóra delfina", która znacznie zmniejsza szanse wykrycia okrętu przez obce stacje hydrolokacyjne i radarowe.

„Tutaj na pokładzie danie, bez którego żadna polska broń, marynarka też, obejść się nie może. Mianowicie grochówka!" [5] – zachwalał w osiemdziesiątym ósmym odcinku telewizyjnych *Podróży kulinarnych Roberta Makłowicza.*

Wygląda jak złoto

Misja nie była prosta. „Dopadła nas typowo marynarska pogoda. Wieje i pada, ale na okrętach podwodnych żadne warunki nie są straszne. A nigdzie w ogóle warunki nie są straszne, żeby zrobić tak pyszną zupę" [6] – relacjonował, odziany w grubą marynarską kurtkę i czapkę z orzełkiem.

Mimo niesprzyjających warunków pogodowych, grochówka się udała. „Wygląda jak złoto. Gęsta, przecierana. Wersja odrobinę *light*, bo nie jest to wywar mięsny. Jedynym mięsem są te nędzne skwarki boczku. Więc nawet nieortodoksyjny wegetarianin mógłby to zjeść. Grochówka wojskowa, dietetyczna, ku chwale Ojczyzny!" [7] – zachwalał wilk morski Makłowicz. Tyle że garnek był mały i zupy raczej nie starczyło dla całej, głodnej jak wilki, załogi okrętu.

Grochówka Makłowicza
Składniki: 250 g suchego grochu, 100 g surowego wędzonego boczku, jarzyny jak na rosół, 3–4 ząbki czosnku, cebula, odrobina masła, majeranek, sól, pieprz.
Przyrządzenie: groch moczyć przez kilka godzin, ugotować do miękkości; w drugim garnku ugotować jarzyny – marchewkę, pietruszkę, seler korzeniowy, kawałek pora. Boczek drobno pokroić, wytopić na patelni. Cebulę posiekać, przysmażyć na złoto. Ugotowane jarzyny zmiksować, dodać groch, boczek, cebulę, sól i pieprz do smaku. Obficie przyprawić majerankiem, roztartym w dłoniach, żeby uwolnił swój aromat.

baza ebooków

Dodać sprasowany czosnek; całość kilka minut pogotować.
Podawać na lądzie i morzu.

Pancerne puszki

Grochówka to niejedyny wojskowy specjał, z którym zetknął się Robert Makłowicz. Za młodu miał do czynienia z sowieckimi konserwami z demobilu. Tych, którzy nie oglądali serialu *Czterej pancerni i pies*, śpieszę poinformować, że kultową puszką w menu Armii Czerwonej była tuszonka. Po rosyjsku *tuszonoje miaso* to mięso duszone. W skrócie tuszonka. Frontowa konserwa z czasów drugiej wojny światowej zawierała mieloną wieprzowinę, smalec i przyprawy. Receptura tłustego, kalorycznego produktu wywodziła się z tradycyjnego na Uralu sposobu konserwowania mięsa w słoikach. Po inwazji Niemiec na ZSRR sowiecką tuszonką zajadali się żołnierze Wehrmachtu, bo strategiczne zapasy konserw wpadły w ręce niemieckie. Z pomocą Rosji przyszły Stany Zjednoczone. Typowo amerykańska mielonka, którą początkowo dostarczali, nie przypadła do gustu krasnoarmiejcom. Wtedy Rosjanie zamówili u Amerykanów swojską tuszonkę. Dostawy szły pełną parą. Jak podaje historyk Andrzej Fiedoruk, w sumie Amerykanie zaopatrzyli wschodniego sojusznika w ponad dwa miliardy konserw mięsnych. Można dziś tylko gdybać, jak bez tuszonki potoczyłyby się losy świata. Po wojnie jej produkcję przejęły zakłady mięsne w ZSRR. Konserwy tego typu były też popularne w Polsce. Raczyły tłuszczykiem podniebienie cywili i żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego. W wojsku czasem zwane były „małpą” – od określenia stosowanego niegdyś przez żołnierzy Armii Hallera na konserwy mięsne, które miały pochodzić z Madagaskaru.

Robert Makłowicz z pewnością doskonale zna smak tuszonki i spokrewnionej z nią konserwy turystycznej. Wraz z paprykarzem szczecińskim puszki te były w PRL-u najbardziej popularnym prowiantem na wakacyjne wypady. Ale to nie one wryły się pancerną pięścią w pamięć naszego bohatera. – W 1981 roku, w czasie karnawału „Solidarności”, byłem na licealnej wycieczce – wspomina Robert Makłowicz. – Autobusem objeździliśmy pół kontynentalnej Europy i Wielką Brytanię. Czasy były takie, że musieliśmy brać ze sobą prowiant na całą drogę. Mieliśmy podłogę autobusu wyścieloną puszkami z komiśniakiem – wojskowym ciemnym chlebem. Ktoś najwyraźniej miał znajomości w wojsku, pewnie jakiś rodzic, i załatwił dla nas ten komiśniak. To była ohydna rzecz, w takich sowieckich, pancernych puszkach. Nie chciałbym tego więcej jeść.

Robert Makłowicz
Utarło się uważać go za wybornego kucharza. Ale smakuje najlepiej jako kulinarny

baza ebooków

gawędziarz. W jego żyłach miksuje się krew polska, ukraińska, ormiańska, węgierska i austriacka. Zmacerowany aromatem monarchii Habsburgów (nie mylić z hamburgerem). Mentalnie rozwałkowany między Krakowem, Wiedniem i domem w Chorwacji. Przez prawie dwie dekady pichcił w TVP na wycieczkach kulinarnych. Zagotował się, gdy jego kuchenny anons wykorzystano do promocji całej stacji. Dziś żyje z reklamy – „Takie ceny nawet Roberta Makłowicza sprowadzą na ziemię" – i potraw w słoikach, które produkuje wraz z synami. Internet kipi od sympatycznych memów z Makłowiczem. Piosenka Być jak Makłowicz *(„Dorzuca się mieloną wołowinę / Dusi się, dusi się / Wszystko razem z winem") podbijała listę przebojów.*

baza ebooków

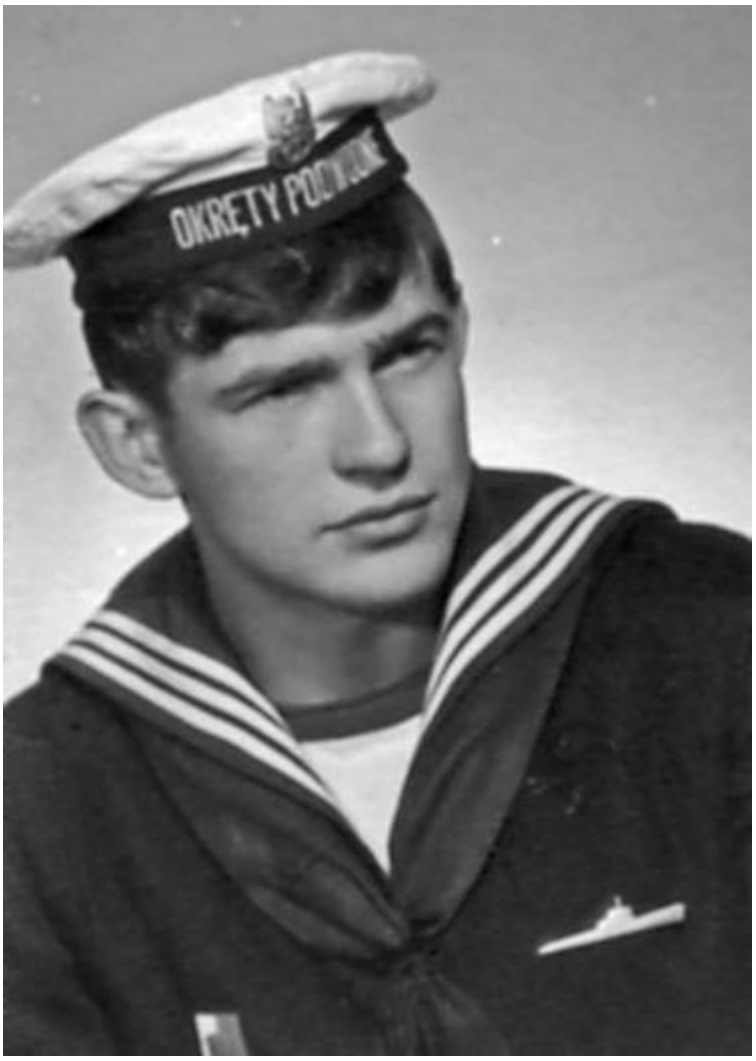

baza ebooków

Rozdział 3

Starszy marynarz Leszek Miller, rocznik 1946, kategoria A

Mundur marynarski na Mazowszu robił piorunujące wrażenie. Napis „Okręty Podwodne” na czapce marynarskiej młodego Leszka Millera wprawiał dziewczyny w zachwyt. Jak to się stało, że szczur lądowy z Żyrardowa trafił do Marynarki Wojennej? I to w dodatku na łódź podwodną! Były premier Leszek Miller opowiedział mi swoją podwodniacką historię.

Przed spotkaniem w Sejmie zastrzegł, że będzie to poważna rozmowa. Bo starszy marynarz Leszek Miller w latach 1967–1969 służył w poważnym wojsku. Wszystko wzięło się z młodzieńczej fascynacji. Dwudziestoletniego Leszka, prostego chłopaka z Żyrardowa, syna krawca i szwaczki, pociągało morze. – Pochłaniałem książki o sławnych żeglarzach i podróżnikach. Pasjonowała mnie historia wojen morskich i polskiej marynarki wojennej. Próbowałem nawet dostać się do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni, ale mnie nie przyjęto. Zabrakło mi jakichś tam punktów – wspomina Leszek Miller.

Zacumował jako robotnik

Zamiast wypłynąć na szerokie wody, zacumował jako robotnik w Zakładach Przemysłu Lniarskiego. Ale miał plan awaryjny. Wiedział, że prędzej czy później ojczyzna ludowa sama o niego się upomni. I wtedy niedoszły marynarz przypomni władzy o swoim pragnieniu. Czekał na tę chwilę cierpliwie.

– Nie pchałem się do wojska, nie poszedłem na ochotnika. Spokojnie czekałem na powołanie. To był normalny pobór, troszkę opóźniony z uwagi na moją sytuację rodzinną. Postanowiłem, że jak stanę przed komisją poborową, powiem, że chętnie przyjąłbym skierowanie do Marynarki Wojennej. I tak zrobiłem, a komisja to zaakceptowała.

baza ebooków

Komisja poborowa była w PRL-u wojskowym „sądem ostatecznym” dla chłopców, którzy dopiero co weszli w dorosłość. Powszechnemu obowiązkowi wojskowemu podlegali mężczyźni w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu lat. Oznaczało to, że wraz z osiągnięciem pełnoletności każdy młodzian stawał się potencjalną własnością wojska.

Wyrocznią była komisja składająca się najczęściej z lekarza, oficera Wojskowej Komendy Uzupełnień i pielęgniarki. Stawało się przed komisją w samych majtkach albo na golasa. Komisja mogła uznać, że konieczne jest badanie jąder, odbytu lub prostaty. Takie badanie nie zawsze odbywało się za parawanem.

Komisja decydowała, kto jest, a kto nie jest zdolny do służby. Każdemu przydzielała jedną z czterech kategorii: A – zdolny do czynnej służby wojskowej (od 1979 roku z grupami A1, A2, A3), B – czasowo niezdolny do czynnej służby wojskowej, C – zdolny do służby wojskowej z ograniczeniem (do 1979 roku), D – niezdolny do czynnej służby wojskowej w czasie pokoju, E – trwale i całkowicie niezdolny do czynnej służby wojskowej zarówno w czasie pokoju, jak i mobilizacji lub wojny. Kategoria wpisywana była do książeczki wojskowej, którą otrzymywał każdy poborowy.

Tak jest dziś. Obecnie, mimo zniesienia zasadniczej służby wojskowej, czyli tej z przymusu, każdy dziewiętnastolatek podlega obowiązkowej kwalifikacji wojskowej. Armia rejestruje też dziewczyny. Ale tylko te, które zdobywają wykształcenie medyczne, albo już mają taki zawód.

Ułatwieniem dla Leszka Millera było to, że miał w ręku poszukiwany w wojsku fach. Był technikiem elektroenergetykiem. Młodzieńcy z takim wykształceniem często lądowali w lotnictwie albo właśnie w marynarce wojennej. W ten sposób młody Leszek trafił z Żyrardowa do Ustki. Ale nie od razu wypłynął na szerokie wody.

Wyszkolony na elektryka

– Przez pierwsze dwa miesiące po przyjeździe do Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce miałem tak zwane przeszkolenie stacjonarne. Uczyliśmy się rzemiosła charakterystycznego bardziej dla piechurów niż dla marynarzy. Czyli jak posługiwać się bronią, maszerować, kopać okopy. Poznawaliśmy też zasady musztry.

baza ebooków

Musztra – mozolne ćwiczenia, które uczą żołnierzy, jak przyjmować postawę zasadniczą (baczność!) i swobodną (spocznij!). Musztra określa też precyzyjnie jak oddawać honory, poruszać się z bronią i bez niej, formować szyki. Rozróżnia się musztrę indywidualną i zespołową – pieszą albo z wozami bojowymi. Regulamin musztry Sił Zbrojnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej: „Karabin leży na ramieniu równolegle do rzędu guzików, a kolba dotyka lekko lewej ładownicy. Lewa ręka przylega do tułowia. Do nogi – BROŃ. Na tę komendę żołnierz bierze karabin do nogi na trzy tempa".

– Pamiętam, że nasz drużynowy był ze Śląska i strasznie mnie rozśmieszał. Mówił gwarą śląską, na przykład wydawał rozkaz: „Pod ta hora koksu biegiem marsza!". To był bardzo sympatyczny chłopak. Byłem w dobrej sytuacji, bo w mojej drużynie znalazło się nas trzech chłopaków z Żyrardowa. To wspólne pochodzenie sprawiało, że nie czuliśmy się osamotnieni. Zwłaszcza na początku, kiedy wszystko było nowe, a ludzie zupełnie nieznani. Trzymaliśmy się razem i łatwiej było nam znieść początkowe problemy – kontynuuje Leszek Miller.

Centrum w Ustce było ośrodkiem przygotowującym specjalistów różnych branż, których kierowano do jednostek pływających i obrony wybrzeża. Ponieważ Leszek Miller w cywilu był technikiem elektroenergetykiem, bez trudu został wyszkolony na elektryka okrętowego. W takim charakterze rozpoczął służbę na okręcie podwodnym ORP „Bielik".

Wzorowany na U-Boocie

– Szkolenie trwało do wiosny, potem był przydział na okręty. Byłem w absolutnej czołówce, bo nie musiałem się od początku uczyć. Skierowano mnie tam, gdzie potrzebowali wysokiej klasy specjalistów – na okręty podwodne. Polska wydzierżawiła je z radzieckiej Marynarki Wojennej. Były produkowane już po wojnie, ale wzorowane na jakimś typie niemieckiego U-Boota. Załoga liczyła około pięćdziesięciu ludzi, na rufie okręt miał cztery wyrzutnie torpedowe, na dziobie również cztery. Jednostką napędową były dwa silniki Diesla i dwa silniki elektryczne, które były także prądnicami – zapamiętał Leszek Miller.

ORP „Bielik" Leszka Millera pochodził z tej samej sowieckiej stoczni (Krasnoje Sormowo w Gorkim), co ORP „Orzeł", na którym Robert Makłowicz pitrasił grochówkę. Po zwodowaniu w 1955 roku jako S-279 służył w sowieckiej Flocie Bałtyckiej. Po dziesięciu latach został przekazany bratniej Marynarce Wojennej PRL.

Pierwszego lipca 1965 roku okrętowi nadano nazwę „Bielik" (znak burtowy 295) i podniesiono na nim polską banderę. Łódź miała 76 metrów długości

baza ebooków

i 6,7 metra szerokości. Załogę stanowiło pięćdziesięciu czterech marynarzy. Uzbrojenie to dwanaście torped kalibru 533 milimetry (cztery wyrzutnie na dziobie, dwie na rufie) albo wymiennie dwadzieścia min. „Bielik” należał do pierwszych sowieckich jednostek, które zdolne były do stawiania min z wyrzutni torpedowych.

Okręty tego typu (projekt 613 – wyprodukowano ich w sumie aż dwieście piętnaście) oznaczone zostały przez NATO kodem „Whiskey”. Bynajmniej nie oznacza to, że podwodniacy w PRL-u raczyli się amerykańskim odpowiednikiem „szkockiej”. Nazwa pochodzi od typu „W”, a w amerykańskim wojskowym alfabecie fonetycznym literze „W” odpowiada wyraz „Whiskey”. Konstrukcja łodzi podwodnych serii 613 wzorowana była na niemieckich U-Bootach, które wpadły w ręce Rosjan. Do tego celu wykorzystano między innymi zatopiony na Bałtyku w 1945 roku niemiecki okręt podwodny U-250. Po wydobyciu z dna wrak został poddany szczegółowym badaniom.

„Bielik” pływał do 1988 roku, a następnie pocięto go „na żyletki”. Potem pod polską banderą pływał jeszcze jeden „Bielik”. Autentycznie niemiecki – zbudowany w 1967 roku w stoczni Nordseewerke na zamówienie Norwegii. W 2001 roku Norwegowie podarowali go Marynarce Wojennej RP. W 2021 roku, tak samo jak poprzednik, skończył na złomie. Po wypatroszeniu z cenniejszych urządzeń Agencja Mienia Wojskowego wyceniła go z buchalterią na 755 856 złotych 37 groszy.

Mama na przysiędze

Zanim Leszek został zaokrętowany, musiał uroczyście złożyć przysięgę wojskową. W PRL-u było to wydarzenie rodzinne o znaczeniu zbliżonym do chrztu, pierwszej komunii świętej i ślubu. Nieprzypadkowo Trubadurzy śpiewali *Przyjedź, mamo, na przysięgę* (słowa Edwarda Fiszera, muzyka Henryka Klejnego).

Przyjedź, mamo, na przysięgę,
Zaproszenie wysłał szef.
Syn ci wyrósł na potęgę,
Przyjedź, zobacz, twoja krew.
Syn ci wyrósł na potęgę,
Przyjedź, zobacz, twoja krew.

Mundur na mnie, jak ulany,
Tęsknią do mnie ładne panny
I czekają, i wzdychają: och i ach! – hej!
A ja mamie, proszę mamy, biję w dach.

baza ebooków

– Przysięgę miałem pod koniec grudnia – opowiada Leszek Miller. – Wtedy tradycją było, że na przysięgę przyjeżdżały do żołnierzy całe rodziny. Do Ustki zjechały tysiące ludzi: ojców, matek, sióstr, braci, narzeczonych. Po przysiędze odbywały się uroczyste przyjęcia i kilka godzin można było spędzić w rodzinnej atmosferze. Ale wzruszyłem się, bo przyjechała moja mama, mimo że była chora.

Nie dotarła narzeczona Leszka Millera, która niestety nie mogła przyjechać. Ale miłość kwitła także na odległość. – Miałem dziewczynę w Mszczonowie, niedaleko mojego rodzinnego miasta Żyrardowa. Pisaliśmy do siebie listy i bardzo przeżywałem, gdy na przykład list się spóźniał. Nie wiem, jak jest teraz, ale wtedy taki list od dziewczyny, od rodziny, czy od kogoś znajomego, to była bardzo ważna korespondencja. Zazdrościliśmy chłopakom, którzy dostawali dużo listów.

Piorunujący mundur

Listy listami, ale były też przepustki. Gdy Leszek w marynarskim mundurze po raz pierwszy pojawił się w Żyrardowie, wybrankę zamurowało. – Mundur marynarski na Mazowszu, w moim mieście, robił piorunujące wrażenie. Sam napis „Marynarka Wojenna” na banderce (otoku – J.K.) czapki marynarskiej wywoływał sensację. Ale napis „Okręty Podwodne”, jaki miałem już po zaokrętowaniu na „Bieliku”, robił furorę niesamowitą. To było coś! Moja dziewczyna zawsze była mną zauroczona. A gdy zobaczyła mnie w mundurze marynarskim, jej zachwyt wzrósł niepomiernie.

Za mundurem panny sznurem. Leszek Miller paradował w swym marynarskim stroju również podczas krótszych przepustek, które spędzał w Gdyni. Nie było ich dużo. Raptem trzy na rok. I to pod warunkiem, że się w jednostce nie podpadło. Tym większa była pokusa, żeby trochę poszaleć, wyszumieć się, odreagować na mieście. Zapytany, jakie wrażenie podczas tych wypadów robił na płci przeciwnej, tajemniczo się uśmiecha.

– Gdynia była bardzo atrakcyjna, mieliśmy swoje ulubione kawiarnie, które odwiedzaliśmy. Rzecz jasna, chodziłem po mieście w mundurze. To było bardzo przyjemne, bo wszyscy się oglądali. Zwłaszcza dziewczyny. Bardzo nam, marynarzom, to imponowało. Tak było w marynarkach całego świata. Czytałem wspomnienia dowódców U-Bootów z drugiej wojny światowej. Też opisywali, że gdy się pojawiali na urlopie w mundurze podwodniaka, wzbudzali ogólny szacunek i podziw. Ale już więcej nic nie powiem. Była taka piosenka: „Nie zaznał życia, kto nie służył w marynarce” (słowa Tadeusza Biernackiego i Alicji Ungeheuer-Gołąb, muzyka Julia Cesara Sandersa).

Marynarze
Nie zaznał życia, kto nie służył w marynarce,

baza ebooków

Kto nie wyruszał na morskie harce
Po grzbietach fal, kto w siną dal nie szedł w zawody,
Nie wie, co szał, bo dotąd spał, bo nie był młody (…)

Te rwące w dal obłoki goniące nas, jak smoki,
Ten wichrów wiew szeroki, co nam opala twarz,
Ta przystań osłonięta i te dziewczęta,
Kuszące nas dziewczęta to żywioł nasz.

Więcej jest warte kilka chwil spędzonych w porcie
Niż najpiękniejszy miesiąc w kurorcie.

Gdy wracasz już z tysiąca mórz w ten czas pogody,
To czujesz zew, jesteś jak lew piękny i młody.

Marzenie o prysznicu

Po powrocie na okręt i wypłynięciu w podwodny rejs „lew piękny i młody" przestawał przypominać Adonisa. Marynarze na „Bieliku" ściśnięci byli jak sardynki w puszce i mogli tylko pomarzyć o prysznicu. – W środku było potwornie ciasno i brakowało wody do mycia. Była tylko woda do picia. Nie można było się wykąpać. Ręce można było umyć – i to wszystko.

Bardzo oszczędną higienę trzeba było stosować czasem przez kilka tygodni. – Rejsy po Bałtyku nie trwały długo, może około tygodnia. Ale uczestniczyłem w dwóch dłuższych: do Rotterdamu na zaproszenie marynarki holenderskiej i po Morzu Północnym. Każdy trwał dwa, trzy tygodnie. Dlatego jak wracaliśmy do portu, to największym pragnieniem było wziąć prysznic.

Łodzi podwodnej zdecydowanie nie wymyślono dla klaustrofobów. – Doskonale pamiętam koszmarne wrażenie przerażającej ciasnoty. Trzeba było ciągle uważać, żeby nie uderzyć w jakiś zawór czy kolektor. Moja koja to było coś podobnego do półki ukrytej w gąszczu przewodów hydraulicznych i elektrycznych. Żeby się tam dostać, należało podciągnąć się na rękach i wsunąć nogami do przodu. W trakcie alarmu trzeba było uważać, żeby się zbyt szybko nie zrywać z posłania, bo nad głową był wielki zawór. Najwięcej miejsc do spania było w przedziale dziobowym, tam spało kilkunastu kolegów. Inni byli poupychani, gdzie się dało.

Zamknięcie w małej przestrzeni o dziwo nie prowadziło do scysji na pokładzie. – Wszelkie pretensje wyjaśniane były na powierzchni, gdy wchodziliśmy do portu. Pod wodą eskalacja konfliktów miałaby zbyt poważne konsekwencje i wszyscy

baza ebooków

zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie zastrzegłem na początku naszej rozmowy, że służyłem w poważnym wojsku – wyjaśnia Leszek Miller.

Podwodna inicjacja

Dużym przeżyciem było pierwsze zanurzenie na pełnym morzu. To dla podwodniaków moment marynarskiej inicjacji. – Towarzyszyły nam bardzo intensywne emocje. Zostaliśmy oficjalnie włączeni do załogi i zaprowadzono nas na stanowiska. Padła komenda „do zanurzenia!", okręt pomału schodził coraz głębiej i głębiej, aż w końcu zapadła cisza. Silniki elektryczne są bardzo ciche. Dlatego, gdy okręt płynie, wydaje się, jakby stał w miejscu. W głębokim zanurzeniu byliśmy zdani tylko na siebie, ale nawet jeśli ktoś odczuwał strach, to starał się tego nie okazywać. W niektórych załogach były różne ceremoniały związane z pierwszym zanurzeniem. Na przykład obcinało się tak zwany ogon zrobiony z kawałka sznura czy liny cumowniczej. Jednak na moim okręcie nic takiego nie miało miejsca.

Bywa, że załogi okrętów, które bardzo długo płyną pod powierzchnią wody, są dobierane na podstawie testów psychologicznych. Chodzi o to, żeby ludzie mieli podobne cechy charakteru, nie prowokowali konfliktów, potrafili działać w kolektywie. Z doświadczeń Leszka Millera wynika, że takie testy nie są konieczne. Przebywanie w metalowym kadłubie, głęboko pod powierzchnią morza, łagodzi obyczaje największych narwańców.

Falowanie bez „fali"

– Panowała wśród nas bardzo koleżeńska atmosfera, charakterystyczna dla załóg okrętów podwodnych. Wielokrotnie słyszałem o zjawisku „fali" w wojsku, kiedy starsi żołnierze znęcają się nad młodszymi. W naszej załodze czegoś takiego nie było. Wszyscy mieliśmy świadomość, że ktoś, kto byłby poniżany, mógłby w desperacji posunąć się do działań, których skutki odczuliby wszyscy na okręcie.

„Fala" to subkultura, pokrewna więziennej grypserze, rozpowszechniona w jednostkach, gdzie służbę odbywali żołnierzy zasadniczej służby wojskowej. Polegała na wymyślnym, wręcz zwyrodniałym, gnębieniu i poniżaniu nowicjuszy w wojsku („kotów") przez żołnierzy starszego rocznika („dziadków"). Jedną z upokarzających tortur był tak zwany motyl – trzymany w powietrzu za ręce i nogi żołnierz „fruwał", a reszta biła go pasami po pośladkach. Z kolei „głuszenie kota" polegało na tym, że młodego żołnierza zmuszano do umieszczenia głowy w metalowej szafce, w którą uderzano taboretem.

baza ebooków

Aktom przemocy towarzyszył specyficzny rytuał. Na przykład codzienne skracanie o centymetr „falomierza”, czyli specjalnie wykonanej miarki krawieckiej. W ten sposób odliczano dni do wyjścia z wojska. Na koniec urządzany był „pogrzeb blachy”. Pochówek polegał na ceremonialnym zakopaniu lub zniszczeniu metalowej końcówki „falomierza”.

Powrotowi do domu (ciągnącemu się nieraz przez wiele dni, bo trzeba było odholować kolegów) towarzyszyło pijaństwo i chóralne śpiewy. Hymnem była *Rezerwa*, pieśń rozpoczynająca się zwrotką: „Godzina piąta minut trzydzieści / Kiedy pobudka zagrała / Grupa rezerwy szła do cywila / Niejedna panna płakała”.

Natomiast za wizualny znak rozpoznawczy rezerwistów służyły ich koszmarne chusty. Plaga „fali” trwała w wojsku, przy biernej zazwyczaj postawie kadry dowódczej, przez cały okres PRL-u. Zjawisku temu poświęcone były głośne filmy: *Kroll* Władysława Pasikowskiego z 1991 roku i *Samowolka* Feliksa Falka z roku 1993. „Fala” nie zalała na szczęście podchorążych odbywających roczną służbę po ukończeniu studiów wyższych.

Bez „fali” falował również na swym okręcie Leszek Miller. Jak wyglądał zwykły dzień na morzu? – Życie marynarza jest podzielone na wachty – wyjaśnia były premier. – Jedna wachta to spanie, druga – czuwanie, trzecia – służba. Doba ma trzy części, każda po osiem godzin. Przy czym czuwanie to nie był odpoczynek, bo zawsze mieliśmy coś do roboty. Należało na przykład posprzątać. Był jednak ten komfort, że nie trzeba było stać przy maszynach. W trudnych sytuacjach pomocą służyli starsi koledzy i oficer, który nadzorował nasz dział. Był w randze komandora podporucznika, bardzo porządny gość. Szalenie mi wówczas imponował. Spotykałem się z nim od czasu do czasu w Gdyni. Potrafił narysować na tablicy schemat wszystkich połączeń elektrycznych na całym okręcie. I robił to z pamięci! Nas po prostu wbijało w krzesła. Ćwiczyliśmy skomplikowane operacje sterowania silnikami elektrycznymi. Potrzebne są naprawdę wielogodzinne treningi, żeby niemal instynktownie wykonywać komendy wydawane z centrali okrętu.

Gra w statki

Służba na okrętach podwodnych należy do najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych. Nawet drobna usterka, mała pomyłka, incydent, podczas zanurzenia na pełnym morzu mogą skończyć się tragicznie.

– Na szczęście nic takiego mi się nie przytrafiło. Koledzy opowiadali czasem o kryzysowych sytuacjach, na przykład o pożarze czy przecieku na okręcie, ale nas to ominęło. W moim przedziale znajdowało się wyjście na zewnątrz wałów od śrub okrętowych. Gdy byliśmy w zanurzeniu, widzieliśmy, jak przez uszczelniacze

baza ebooków

sączą się małe strużki wody i spływają na dolny poziom okrętu. To jednak nie stanowiło problemu, bo pomagała zwykła pompa – opowiada Leszek Miller.

Jego najdłuższy rejs trwał trzy tygodnie. Podczas morskich manewrów „Bielik" wymykał się obławie wrogich niszczycieli. – Płynęliśmy na zmianę w zanurzeniu i wynurzeniu. Ćwiczyliśmy ucieczkę przed jednostkami, które nas tropią i chcą zatopić. Podczas ucieczki okręt kładł się na dnie i czekał. Ogłaszało się wtedy całkowitą ciszę na okręcie. Urządzenia nasłuchowe na okrętach ścigających nie mogły nas odnaleźć. To zresztą jest cechą Bałtyku, który ma różny poziom zasolenia na różnych głębokościach, co utrudnia namierzenie okrętu podwodnego.

Przypominało to trochę grę w statki. Tylko nie na kartce, lecz na prawdziwym morzu i z użyciem prawdziwych okrętów. – Nieprawdziwe były jedynie bomby głębinowe. Zamiast nich używano małych ładunków, które nie wyrządzały żadnej szkody. Ale słyszeliśmy je i to było nieprzyjemne uczucie. Wyobrażałem sobie wówczas, co czuli marynarze, kiedy ich okręty naprawdę były obrzucane bombami. Byliśmy jednostką defensywną, mieliśmy bronić polskiego wybrzeża, gdyby zostało zaatakowane. Nawet jeśli były nam przydzielone zadania strategiczne, to jako zwykli marynarze, nic o nich nie wiedzieliśmy. Z pewnością takie rzeczy były ustalane na szczeblach dowódczych. Na wypadek wojny jest tak, że kapitan otrzymuje kopertę z rozkazem, który ma wykonać.

Koszula *non iron*

Starszy marynarz Leszek Miller wypływał swoim „Bielikiem" z Gdyni i zawijał prawie wyłącznie do polskich portów na Bałtyku – w Świnoujściu, Kołobrzegu, na Helu. W każdym porcie czekała dziewczyna? – To bajki. Może zdarza się tak marynarzom z jednostek handlowych, które na dłużej zawijają do portu, żeby pozbyć się ładunku. My zatrzymywaliśmy się na krótko, zwykle na uzupełnienie paliwa. Więc nie było nawet czasu, żeby zejść na ląd – Leszek Miller zaprzecza legendzie.

Zdarzyło się jednak dłuższe zejście na ląd, które na Leszku wywarło duże wrażenie. Bo oto „Bielik" zawitał na „zgniłym" Zachodzie. – Raz byliśmy w Rotterdamie, gdzie składaliśmy wizytę w składzie: dwa podwodne, dwa trałowce i jeden niszczyciel – opowiada Leszek Miller. – Spędziliśmy w tym mieście cztery dni i wtedy po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć miasto na zachodzie Europy. Różnicę widać było gołym okiem. Cieszyłem się, bo miałem okazję napić się holenderskiego piwa, pogadać z innymi ludźmi, z Polonią. Nasze przybycie do Rotterdamu było lokalną sensacją, bo pisała o tym prasa holenderska. Do portu przyszło sporo ludzi, żeby zobaczyć nasz okręt. Byli wśród nich przedstawiciele miejscowej Polonii, na przykład dawni żołnierze generała Maczka. Zapamiętałem

baza ebooków

bardzo miłą, serdeczną atmosferę. Gdy wychodziliśmy na ląd, witała nas grupa miejscowych sklepikarzy, którzy mówili po polsku, bo pochodzili najczęściej z Polski. Zapraszali do swoich sklepów. Kupiłem sobie wówczas piękną koszulę *non iron*, czyli taką, która się nie gniotła. Wydatek spory, ale wtedy takie koszule były bardzo modne.

Albatrosy na sprzedaż

Czy młody marynarz, widząc kolorowy świat i pełne półki w sklepach, nie zwątpił aby w socjalizm? – Nie zastanawiałem się nad tym. Myślałem tylko, że dobrze by było, gdyby Polska wyglądała kiedyś jak Rotterdam: kolorowy, sympatyczny, w sklepach na wystawach wszystkie możliwe towary – twierdzi Leszek Miller. Po latach jako polityk wprowadzał Polskę do Unii Europejskiej, ale przed zmianą ustroju robił karierę działacza Związku Młodzieży Socjalistycznej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Może dlatego za młodu był impregnowany na pokusy Zachodu, niczym ortalionowy płaszcz – drugi obok koszul *non iron* przebój tekstylny PRL-u. Poza tym jako marynarz okrętu podwodnego czuł się wyróżniony i uprzywilejowany.

– Służba na okręcie podwodnym z jednej strony nobilitowała, z drugiej była w pewnym sensie elitarna, dawała przywileje. Na niszczycielach marynarze spali na okręcie bez względu na to, czy byli na morzu, czy na lądzie. My natomiast, jak przypływaliśmy do portu, nocowaliśmy w bazie, gdzie się spało na wygodnych łóżkach, w ładnych, przestronnych salach, prawie jak w cywilu. Poza tym na morzu otrzymywaliśmy wzmocnione racje żywnościowe: szynkę, masło, czekolady. Nigdy nie było problemu z tym, żeby się najeść do syta. Marynarze okrętów podwodnych mieli wtedy najwyższą stawkę żywieniową w całej armii. Za każdy dzień na morzu dostawaliśmy też Albatrosy, czyli papierosy robione specjalnie na potrzeby Marynarki Wojennej. Taki był rozkaz, wszystkim je przydzielano, czy ktoś palił, czy nie. Rzadko kto wtedy palił na okręcie podwodnym, ja zresztą też nie. Więc najczęściej te Albatrosy sprzedawaliśmy albo przywoziłem je do domu i rozdawałem kolegom.

Były to papierosy przydziałowe Marynarki Wojennej produkowane w PRL-u przez Przedsiębiorstwo Wyrobów Tytoniowych w Augustowie. Wpis na portalu *historycy.org* użytkownika Steven Murphy: „W latach 1967–1970, mimo że nie paliłem, otrzymywałem w Polskiej Marynarce Wojennej, na okrętach, dziesięć papierosów dziennie. Papierosy były wydawane miesięcznie, w kartonach, po dziesięć paczek w kartonie oraz dwadzieścia papierosów w paczce. Ten drugi karton był rozdzielany. Nazywały się Albatrosy. Tak kartony, jak i paczki wyglądały elegancko, ale w jakości były podobno jak Sporty, czyli jak te najtańsze.

baza ebooków

Odsprzedawałem swoje papierosy potrzebującym, w cenie Sportów, czyli po trzy złote za paczkę. Żołd starszego marynarza dwanaście złotych na miesiąc plus dochód z papierosów, byłem w dochodach powyżej średniej”.

Koneksje ze spirytusem

Przydziałowe Albatrosy to nie wszystkie używki dostępne na „Bieliku”. Może nie szerokim strumieniem, ale kropla po kropli, na okręcie wojennym lał się spirytus.

– My, elektrycy, mieliśmy dodatkowy profit w postaci czystego spirytusu do czyszczenia tak zwanych koneksji, czyli połączeń między bateriami elektrycznymi – relacjonuje Leszek Miller. – Okręt podwodny w założeniu musi korzystać z silników elektrycznych napędzanych akumulatorami. Z kolei jak okręt idzie na powierzchni, silniki Diesla ładują akumulatory, które trzeba konserwować. Czyli od czasu do czasu przemyć styki, żeby straty prądu elektrycznego były jak najmniejsze. Spirytus służył właśnie do przemywania. Zawsze jednak dało się go nieco zaoszczędzić. We wszystkich marynarkach na świecie obowiązywała zasada, że elektrycy dzielili się nim z resztą załogi.

Gdyby służbę na okręcie oceniał inny słynny elektryk – Lech Wałęsa – pewnie orzekłby, że miała ona „plusy dodatnie”, ale też „plusy ujemne”. Do tych drugich zaliczała się chociażby choroba morska. – Na początku wszyscy musieli się z nią uporać i przyzwyczaić. Często, gdy szliśmy na powierzchnię, trafiały się spore fale i wówczas naprawdę ciężko znosiliśmy ciągłe bujanie – przypomina sobie Leszek Miller.

Rozwiane marzenia

Z czasem nasz bohater wyleczył się z choroby morskiej, ale niepostrzeżenie również z fascynacji morzem i morską wojaczką. – Poszedłem do służby czynnej, zakładając, że po jej ukończeniu będę ponownie ubiegał się o przyjęcie do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej. Służba na okręcie znacznie zwiększała moje szanse. Ale gdy się służy na okrętach, to człowiek szybko pozbywa się romantyzmu. Siedzi zamknięty w „pudle”, żagli oświetlonych słońcem jakoś nie widać. Okazuje się, że jest tam przede wszystkim dużo ciężkiej pracy w warunkach, które mocno dają w kość. Doszedłem do wniosku, że jeśli mam ciężko pracować, to wolę u siebie w domu. Więc porzuciłem plany wstąpienia do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej. W międzyczasie dodatkowo sytuacja rodzinna mi się skomplikowała. Moja mama ciężko zachorowała i marzenia o morzu zupełnie się rozwiały – tłumaczy.

baza ebooków

Z powodu choroby mamy starszy marynarz Leszek Miller, który był jej jedynym opiekunem, został zwolniony ze służby przed czasem. Gdyby nie to, musiałby pływać kolejne półtora roku. Służba zasadnicza w Marynarce Wojennej trwała bowiem aż trzy lata, o rok dłużej niż w wojskach lądowych.

– Służba wyrobiła we mnie determinację, umiejętność współpracy z ludźmi i sporą odporność, także na niewygody, bo to nie było wygodne życie. Ale wracałem zadowolony, że mam już służbę za sobą. To było jak powrót do innego świata – ocenia Leszek Miller.

Podróż sentymentalna

Czasami spotykał swoich kolegów z wojska, z niektórymi korespondował. Ciągnęło go też w stare miejsca. – Już jako osoba pełniąca ważne funkcje w Polsce po roku 1989 odwiedziłem swoje jednostki, zarówno w Ustce, jak i Gdyni. Moja żona jest matką chrzestną ORP „Kościuszko”, jednego z okrętów, które przypłynęły ze Stanów Zjednoczonych. Żona bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki, więc przynajmniej raz w roku jesteśmy na okręcie, najczęściej na kolacji wigilijnej. Będąc premierem, pojechałem kiedyś razem z żoną i synem na Oksywie. Syn bardzo chciał zobaczyć okręt podobny do tego, na którym służyłem. Pod koniec wycieczki powiedział z podziwem: „No wiesz, tata, nie przypuszczałem”. Uznałem, że takie słowa w ustach dziecka wyrażają uznanie dla ojca.

W czerwcu 2002 roku, gdy Leszek Miller był szefem rządu, wybrał się w podróż sentymentalną do Portu Wojennego Gdynia. To miejsce szczególne, bo właśnie od budowy morskiej bazy wojskowej rozpoczęto w Drugiej Rzeczypospolitej sztandarową inwestycję nad Bałtykiem. Na miejscu małej wioski powstało w odrodzonej Polsce nowoczesne miasto z wielkim portem wojennym i handlowym.

„Piszący te słowa (…) przyszedł do przekonania, że jedynem i najlepszem miejscem do budowy portu jest dolina między t. zw. Kępą Oksywską i Kamienną Górą. Ponieważ w tej dolinie leży, znana od dawna polskim letnikom nadmorskim, wioska Gdynia, więc przyszłemu portowi nadano też nazwę Gdynia” [8] – wspominał inżynier Tadeusz Wenda, główny projektant i kierownik budowy portu (pisownia oryginalna).

Początki były skromne. Wybudowany w 1923 roku tymczasowy port wojenny, wraz z przystanią dla rybaków, miał drewnianą konstrukcję. Surowiec zwożono powozami konnymi z okolicznych nadleśnictw i koleją z Borów Tucholskich. Obiekt został uroczyście otwarty przez prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego. Wkrótce przy drewnianej przystani (dzisiejsze Nabrzeże

baza ebooków

Francuskie portu handlowego) zacumował pierwszy pełnomorski statek zagraniczny – francuski SS „Kentucky”. W 1925 roku ruszyła budowa portu wojennego na Oksywiu, a rok później z Pucka do Gdyni przeniosła się Komenda Portu Wojennego. W 1937 roku na reprezentacyjnym wejściu do Komendy umieszczono napis: „Z dniem 28 listopada 1918 roku rozkazuję utworzyć Marynarkę Polską. Józef Piłsudski, Warszawa 28.11.1918”. W trakcie drugiej wojny światowej, kiedy Niemcy zrobili z portu w Gdyni najważniejszą bazę swych okrętów podwodnych na Bałtyku, napis został zniszczony. W PRL-u mur ozdobiono sentencją: „miłość ojczyzny HONOR wierność banderze”. Dopiero po upadku komunizmu słowa marszałka Piłsudskiego mogły wrócić na swoje miejsce.

Obecnie Port Wojenny Gdynia jest główną bazą morską 3 Flotylli Okrętów. Sąsiaduje z cywilnym portem, ale może funkcjonować niezależnie. Podczas wizyty w porcie Leszek Miller spędził kilkadziesiąt minut pod pokładem ORP „Dzik” (w 2005 roku pociętym na złom), który przypominał konstrukcją „Bielika”.

Premier fachowym okiem ocenił, że „Dzik” jest większy od „Bielika” i trochę lepsze są na nim warunki dla załogi. Jak donosiły media, wizyta nie obyła się jednak bez kontuzji. Towarzyszący szefowi rządu wojewoda pomorski zwichnął nogę, nabił sobie parę guzów i zranił się w rękę. „Trzeba się chyba na tym znać” – uznał roztropnie po wydobyciu się z okrętu. Starszy marynarz, premier Leszek Miller, wyszedł z inspekcji bez szwanku.

Leszek Miller

Szerokiej publiczności objawił się w 1989 roku, gdy jako sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zorganizował w stołówce gmachu KC spotkanie z młodzieżą [9], które zostało pokazane w TVP. Wywołało to duże poruszenie, bo ton żywiołowej dyskusji nadali młodzi opozycjoniści z nielegalnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów. „Miller był nowym zjawiskiem w polityce” [10] – wspominał uczestnik wydarzenia, ówczesny działacz NZS-u Piotr Skwieciński (bohater dalszej części niniejszej książki). W Trzeciej Rzeczypospolitej znakiem rozpoznawczym Millera stał się zabarwiony erotycznie bon mot: „Prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale jak kończy”. Z biegiem lat zmodyfikowany do stwierdzenia, że prawdziwy mężczyzna nigdy nie kończy. Te słowa dobrze pasują do drogi życiowej Millera. Był w ścisłym kierownictwie PZPR i nie skończył kariery, gdy upadła komuna. Nie skończył również, gdy po raz ostatni wyprowadzono sztandar PZPR-u. Ani gdy opuszczał fotel lidera Sojuszu Lewicy Demokratycznej (SLD). Raz na wozie, raz pod wozem, ale trwał w polityce. W Trzeciej Rzeczypospolitej jako szef rządu zyskał miano „kanclerza”. Wprowadzał Polskę do Unii Europejskiej, ale miał też na koncie nieskonsumowany flirt wyborczy z antyunijną „Samoobroną”. Kilkakrotnie był ministrem, przez wiele kadencji posłem na Sejm, a do niedawna deputowanym w Parlamencie Europejskim. Swój cięty język wykorzystywał również jako felietonista. Czwartego grudnia 2003 roku cudem uniknął śmierci w katastrofie rządowego śmigłowca Mi-8 pod Piasecznem. W swoim domu na warszawskim Ursynowie pokazywał mi poszarpany garnitur, który miał na sobie podczas wypadku.

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 4

Porucznik rezerwy Józef Oleksy, rocznik 1946, kategoria A

– Trafiłem do rozpoznania wojskowego. To oczywiście nie znaczy, że byłem szkolony na szpiega. Bo szpieg jest na czas pokoju. A oddziały rozpoznania wojskowego, czyli przerzuty żołnierzy dla rozpoznania wojskowego przyszłego uderzenia armii, są na czas wojny. Trzeba precyzyjnie dobierać określenia – były premier, świętej pamięci Józef Oleksy, zamiast biegać z karabinem po poligonie, wolał bardziej wysublimowane czynności. Po latach musiał się z tego gęsto tłumaczyć.

Na miejsce rozmowy o służbie wojskowej Józef Oleksy wyznaczył Pijalnię Czekolady Wedla na warszawskim Wilanowie. Z fasonem zaparkował przed restauracją swoje czarne terenowe BMW. Były sekretarz PZPR, a w wolnej Polsce minister, premier, wicepremier i marszałek Sejmu, od lat mieszkał na Wilanowie. Odkąd Sojusz Lewicy Demokratycznej – gdzie raz był szefem, raz wyrzutkiem, potem znowu wiceszefem – wyprowadził się z siedziby przy ulicy Rozbrat, Oleksy nie miał własnego gabinetu. Od samego rana, wraz z pierwszą kawą, „urzędował" w lokalu. Właśnie konferował przy stoliku z nobliwym księdzem. Nic dziwnego – w młodości był ministrantem, a nawet wstąpił do Niższego Seminarium Duchownego w Tarnowie. Gdyby został księdzem, nie byłoby go w tej opowieści. Ale los chciał inaczej.

W mundurze wyglądałem marnie

Tuż przed maturą władze rozwiązały tarnowskie seminarium i Oleksy musiał szukać sobie innej szkoły. Po egzaminie dojrzałości zdał na handel zagraniczny stołecznej Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Jako student, a później szczęśliwy absolwent, podlegał obowiązkowi wojskowemu. Przyjmował to z pokorą, ale bez entuzjazmu.

baza ebooków

– Służba wojskowa to naturalna kolej rzeczy w życiu mężczyzny. Jednak mnie nie pociągało wojsko. Zwłaszcza że już na studiach byłem w piechocie, a to mało ciekawa formacja. Nigdy nie czułem, żeby armia była moją pasją czy pragnieniem. Ale taki był wtedy system, że w trakcie studiów, przez cztery lata, wszyscy mieli obowiązkowe zajęcia wojskowe – wspominał Józef Oleksy.

Raz w tygodniu, w piątek, studenci zakładali mundury i szli na cały dzień na szkolenie. Odbywało się na polach niedaleko SGPiS-u (w 1991 roku placówce przywrócono jej dawną nazwę Szkoła Główna Handlowa – J.K.). – Każdy miał swój mundur w szafie, ale oczywiście nie były szyte na miarę. I dlatego niektórzy wyglądali w nich jak ofiary wojny.

Procedurę fasowania mundurów – uniwersalną dla wszystkich studentów – dzisiejsza młodzież określiłaby mianem randomowej. Co kto złapał, to jego.

„Magazyn dysponował tylko dwoma rozmiarami ubrań, jeden więc miał sukienny płaszcz do ziemi, ktoś obok powyżej kolan” – opisywał w „Polityce” Wojciech Markiewicz. „Jednym rękawy przykrywały dłonie, innym kończyły się tuż za łokciem. Niektórzy mieli szynele zbyt obszerne, ściągnięte mocno tak zwanym pasem głównym, inni za ciasne. Drelichowe portki polowe wpuszczane w kamasze, często o kilka numerów za duże, wisiały na szelkach. Polowa czapka, za duża, odchylała uszy. Spod czapek wystawały długie włosy, często spływające na ramiona. To był czas, gdy dzieci kwiaty – co można było stwierdzić, oglądając *Polską Kronikę Filmową* – protestowały przeciwko wojnie w Wietnamie” [11].

„Każdy dostał płaszcz, buty ze spinaczami i mundur polowy” – relacjonował podobnie Pepe Piasecki (rocznik 1949), autor książki *Generał*, absolwent Politechniki Warszawskiej. „Miało to wystarczyć na całą służbę. Sorty przydzielono nam nie na wymiar, tylko na sztukę. Pierwszy raz spotkałem się z taką filozofią, z takim wojskowym pomyślunkiem. Postawiono na stołach buty, rozłożono pasy, czapki, chlebaki, mundury polowe, płaszcze i całą resztę. Na początku wyglądało, że nikomu nic nie pasuje. Potem okazało się, że nie jest tak źle. Każdy brał jedną sztukę, martwił się, że nie »gra«, aż wreszcie stwierdzał, że wprawdzie rozmiar nie jest jak ulał, ale w zasadzie można uznać” [12].

„Niektórym rekrutom pasowało wszystko, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wyglądało, że jest zgoła inaczej: rzeczy zdawały się raz za duże, raz za małe” – dodawał Pepe Piasecki. „Na stu kilkudziesięciu chłopa tylko trzy osoby miały prawo narzekać: jeden ponad dwumetrowy dryblas i dwóch karłów (sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, w hełmie). Tej trójce po dwóch tygodniach armia zafundowała garnitury i kamasze na miarę” [13].

Józefowi Oleksemu krawca nie przydzielono. W efekcie (a właściwie bez efektu) w mundurze wyglądał marnie. W dodatku był raczej średnio wysportowany i mało sprawny. – Nie miałem drygu do tego. Bardziej skłaniałem się ku

baza ebooków

ćwiczeniom intelektualnym niż fizycznym. Ale jestem legalistą, nie miałem oporów ideowych przed służbą wojskową. Wojsko zobowiązuje, ma być odsłużone, zaliczone i koniec – relacjonował Oleksy.

Bierz RKM, skurwysynu!

Po studiach wszyscy, którzy mieli kategorię A, musieli obowiązkowo odbyć jeszcze jedno szkolenie. A potem rezerwa była ćwiczona na wypadek wojny. Gdy Wojskowa Komisja Uzupełnień (WKU) zapytała Oleksego, czy chce biegać po polu walki z karabinem, czy zostać przerzucony na tyły wroga, stanęła mu przed oczami pewna historia. – W ramach studenckiego szkolenia pojechałem na obóz w Bartoszycach, do takiej zapyziałej jednostki wojskowej. Ubrali nas w mundury i staliśmy w kolejce po broń. Kapral wydawał PMK i one tuż przede mną się skończyły. Zostały tylko RKM i CKM. Więc on mówi, że dostanę RKM. A ja na to, że nie biorę, bo jest ciężki. Wtedy kapral wrzasnął: „Bierz, skurwysynu, bo dostaniesz CKM!" – zapamiętał Oleksy.

PMK – pistolet maszynowy Kałasznikowa. Wcześniejsza nazwa wspomnianego już KBK AK. Weteran wojenny Michaił Kałasznikow miał dwadzieścia siedem lat, gdy w 1946 roku rozpoczął prace nad nową bronią dla sowieckich piechurów. Karabin jego pomysłu wszedł wkrótce do masowej produkcji. Okazał się prosty w obsłudze, tani i niezawodny. W uzbrojeniu żołnierzy Armii Czerwonej zastąpił wysłużoną „pepeszę". Kałasznikow w nagrodę został odznaczony Nagrodą Stalinowską I stopnia. KBK AK i jego zmodernizowana wersja – AKM stały się podstawową indywidualną bronią strzelecką w armiach państw Układu Warszawskiego, a więc także w Ludowym Wojsku Polskim. Po sprzedaniu licencji kałasznikow był wytwarzany w wielu krajach i został najpopularniejszym w świecie karabinem automatycznym. Wyprodukowano ponad sto milionów jego egzemplarzy, dzięki czemu trafił on do *Księgi rekordów Guinnessa*. Kałasznikow to jednocześnie najbardziej zabójcza broń lekka na świecie. Różne modele tego automatu znalazły się na wyposażeniu armii stu ośmiu krajów. To również ulubiona broń partyzantów i terrorystów we wszystkich zakątkach świata. Michaił Kałasznikow zmarł w 2013 roku, w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Jego duch do dziś unosi się nad polską armią. Beryl, obecnie podstawowy karabin szturmowy Sił Zbrojnych RP, jest wzorowany na konstrukcji Kałasznikowa.

Szkolony w rozpoznaniu

Dzięki doświadczeniu z przydziałem broni, Józef Oleksy wiedział, co ma wybrać, stojąc przed obliczem WKU. Zwłaszcza że był absolwentem handlu zagranicznego, znał angielski, niemiecki i rosyjski. – Studiowałem stosunki międzynarodowe,

baza ebooków

gospodarkę światową. Bardziej odpowiadał mi udział w inteligentnie zaplanowanej akcji niż noszenie karabinu – przekonuje.

W ten sposób trafił do rozpoznania wojskowego. Po latach bardzo zwracał uwagę, żeby nie mylić tej formacji ze szpiegostwem. Bo określenia trzeba dobierać precyzyjnie, a nie przypisywać komuś, że był szkolony na szpiega.

– Szpiega wszyscy kojarzą, ale nikt nie potrafi podać definicji. Szpieg to obcokrajowiec zwerbowany do pracy na rzecz innego kraju. On dla zagranicznych władz jest szpiegiem, a nie dla swoich. Używanie w Polsce pojęcia „szpieg" w stosunku do oficerów, którzy pracowali w wywiadzie, którzy byli przygotowywani do działań na wypadek wojny, jest nieodpowiedzialne. Wywiadowcy to oficerowie rozpoznania wojskowego. Właśnie takie szkolenie odbyłem i za to potem przez siedem lat ścigał mnie Nizieński. Nie potrafił zrozumieć, co to było rozpoznanie, czym był Układ Warszawski oraz co oznaczały wspólne reguły przygotowywania armii do wojny. Nie można mówić o czasach sprzed ponad czterdziestu pięciu lat, nie pojmując ani terminologii, ani systemu – mówił ze złością Oleksy.

Bogusław Nizieński to sędzia, który w latach 1999–2004 jako Rzecznik Interesu Publicznego zajmował się lustracją osób pełniących funkcje publiczne. Lustracja polegała na sprawdzaniu, czy osoby jej podlegające dochowały obowiązku ujawnienia swoich ewentualnych związków (praca, służba, współpraca) z organami bezpieczeństwa PRL-u. Pod tym kątem badano między innymi oświadczenie lustracyjne Józefa Oleksego.

Nie byłem tajniakiem

– Nizieński stwierdził, że skoro nie wpisałem swojego szkolenia w oświadczeniu lustracyjnym, to skłamałem. A ja rzetelnie wpisałem, że nie byłem tajnym współpracownikiem, dodając potem fakt przejścia szkolenia jako oficer rezerwy w rozpoznaniu wojskowym na wypadek mobilizacji wojennej. Wtedy Nizieński starał się koniecznie udowodnić, że zostałem przeszkolony nie tylko na czas wojny. Przyniósł do sądu trzydzieści sześć teczek uczestników mojego kursu. Pokazywał teczki, w których były zobowiązania do współpracy z wywiadem wojskowym w czasie pokoju. Po prostu niektórzy po kursie zdecydowali się związać z wywiadem, inni nie. Ja nie zamierzałem tego robić. Nizieński zapomniał dodać, że w mojej teczce – i jeszcze w paru innych – takiego oświadczenia nie było. I wtedy przegrał, bo przed sądem wyszło na jaw, że stronniczo wybrał tylko teczki z oświadczeniami o dalszej współpracy – relacjonował Oleksy.

Postępowanie lustracyjne wobec Józefa Oleksego toczyło się w sądach różnych instancji przez sześć lat. Po nieprawomocnym wyroku uznającym Oleksego za

baza ebooków

kłamcę lustracyjnego, w 2005 roku podał się on do dymisji z funkcji marszałka Sejmu. Dwa lata później sprawę ostatecznie zamknął Sąd Najwyższy, umarzając postępowanie. Sąd Najwyższy stwierdził, że co prawda Oleksy nie ujawnił swej współpracy z Agenturalnym Wywiadem Operacyjnym (AWO) – tajną komórką wywiadu wojskowego – ale nie można go uznać za kłamcę lustracyjnego. Został bowiem wprowadzony w błąd, że służba w AWO nie podlega ujawnieniu.

Urżnąłem się ze szpiegiem

Szkolenie wojskowe, które przyczyniło się do tego, że Oleksy wpadł po latach w tarapaty, trwało trzy miesiące. Odbywało się w Warszawie przy ulicy Hynka, gdzie znajdowała się siedziba wywiadu wojskowego. Teorię uzupełniały zajęcia praktyczne. – Mnie na przykład razem z kolegami wysłano do Szczecina. Miałem za zadanie pojechać przez lasy służbowym Volkswagenem i na miejscu zdjąć „szpiega" duńskiego, czy szwedzkiego – już nie pamiętam. Misję zakończyliśmy w połowie drogi, bo Volkswagen się zepsuł, a radiostacja wysiadła. Jakoś do tego Szczecina dojechaliśmy i… urżnęliśmy się razem ze „szpiegiem". Już nie było sensu go ścigać wedle zaplanowanego scenariusza, bo sam się zgłosił. To była oczywiście kompletna fuszerka. Oficerowie też nie przywiązywali wagi do finezji tych szkoleń. Uczyli nas mniej więcej tego, czego dotyczyła nasza specjalizacja. Ale nikt nie zamierzał robić z nas profesjonalistów, a przykład szczecińskiej misji jest tego najlepszym dowodem. Na czas szkolenia mieliśmy przydzieloną broń – tetetki. Ale czy braliśmy je w podróż? Chyba nie. Byliśmy amatorami, więc przełożeni się bali, że nawzajem się pozabijamy. Ale dostaliśmy paszporty na fikcyjne nazwiska. Ja byłem Olaf. Imienia nie pamiętam. Uczono mnie też charakteryzacji. Ale szczegółów nie będę dziś zmyślał – opowiadał ze swadą Oleksy.

Tetetka – pistolet TT (Tulskij Tokariew) był pierwszym pistoletem produkowanym seryjnie w powojennej Polsce. Opracowany pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku przez grupę konstruktorów w Tulskich Zakładach Zbrojeniowych, którą kierował Fiodor Tokariew. Produkowany w ZSRR do 1967 roku, przez lata był podstawową bronią krótką Armii Czerwonej i bratnich armii bloku wschodniego. Pistolet TT był produkowany na licencji w demoludach. W Polsce zajmowały się tym Zakłady Metalowe Łucznik w Radomiu. Szacuje się, że powstało w sumie około

baza ebooków

trzech milionów tetetek. Do dziś, w zmodyfikowanej wersji, produkowane są w Chinach.

Pismo sympatyczne i szyfrowanie

– Nie byliśmy skoszarowani – wspominał Józef Oleksy. – Przyjeżdżaliśmy na zajęcia rano, a wychodziliśmy wieczorem. Niczego z nich nie pamiętam, poza niektórymi ciekawymi umiejętnościami. Nie o wszystkich będę opowiadał, ale było wszystko. I radiostacja, i pismo sympatyczne, i szyfrowanie, i telegrafia, i alfabet Morse'a. Niektóre zajęcia były nawet fajne. Nie wiem, czy mnie obowiązuje tajemnica, ale nie są to rzeczy, które należy upubliczniać. Zakres szkoleń w wywiadzie nie nadaje się do upowszechniania. Poza tym ja po prostu tego nie pamiętam. Nawet bym nie rozpoznał oficerów, którzy nas szkolili, no może poza dwoma. Traktowali nas w pełni po partnersku. To byli na ogół starzy, doświadczeni funkcjonariusze wywiadu polskiego. Nie dyplomaci, ale rutyniarze i zawodowcy. Każdy wiele lat spędził za granicą. Niektórzy opowiadali, jak pracowali w krajach ogarniętych wojną. To było pasjonujące.

Józef Oleksy
Sympatyczny, dowcipny, przystępny i gadatliwy. Niewyczerpane źródło anegdot, dykteryjek i informacji dla dziennikarzy. Potrafił zjednać sobie życzliwość nawet wśród politycznych oponentów. „Oczywiście się różniliśmy, ale jego nie można było nie lubić" [14] *– mówił opozycjonista z czasów PRL-u Stefan Niesiołowski (bohater dalszej części książki). Oleksy pod koniec PRL-u był pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Białej Podlaskiej i krótko ministrem w rządzie Mieczysława Rakowskiego. Brał udział po stronie rządowej w obradach Okrągłego Stołu. W Trzeciej Rzeczypospolitej pełnił niemal wszystkie najwyższe funkcje polityczne: marszałka Sejmu (dwukrotnie), premiera, wicepremiera, ministra, posła, przewodniczącego komisji sejmowej, szefa dużej partii (SLD). Nie był tylko europosłem i głową państwa, choć w 2005 roku nie wykluczał kandydowania na prezydenta. Po Sejmie krążyła anegdota: taksówkarz pyta Oleksego, dokąd mają jechać, a ten rozkłada ręce i mówi: – Nie wiem, wszędzie mnie potrzebują.*
W grudniu 1995 roku ustępujący minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski z trybuny sejmowej posądził Oleksego – wówczas szefa rządu – o szpiegowską współpracę z rezydentami KGB w Polsce: Władimirem Ałganowem i Grigorijem Jakimiszynem. Oleksy uznał oskarżenia za „brudną prowokację". Po wszczęciu śledztwa przez prokuraturę wojskową podał się jednak do dymisji. Zarzuty wobec niego nie zostały nigdy potwierdzone, a postępowanie ostatecznie umorzono. Józef Oleksy zmarł dziewiątego stycznia 2015 roku. Przyczyną śmierci była choroba nowotworowa, z którą zmagał się przez wiele lat. „Nie uwierzysz, ja nigdy nie zadałem lekarzom pytania, ile mi zostało. Ani razu. I to nie ze strachu, po prostu będzie, jak będzie" [15] *– mówił Robertowi Mazurkowi w ostatnim wywiadzie.*

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 5

Poborowy Wojciech Fibak, rocznik 1952, kategoria nie do ustalenia

Pierwszy i przez długie lata jedyny Polak notowany w światowej czołówce zawodowego tenisa. Wojciech Fibak po mistrzowsku strzelał na korcie wolejami. Dzięki rakiecie tenisowej nie musiał natomiast strzelać z broni palnej. Był jednym z wielu sportowców w PRL-u, którzy zamiast po poligonie biegali na sportowych arenach.

Wojciech Fibak jest bardzo sympatycznym człowiekiem i chciałby każdemu nieba przychylić. Gdy zapytałem, w jaki sposób poradził sobie w PRL-u z obowiązkiem służby wojskowej, zrobił, co mógł, by zaspokoić moją ciekawość. Przede wszystkim sięgnął do pamięci matki – skarbnicy historii rodziny. Byłem świadkiem takiej oto sceny.

Chyba dzięki milicji

– Coś z wojska… – zastanawia się Wojciech Fibak. – Chwilka – idzie do stacjonarnego telefonu, dzwoni.

– Mamusiu, czy ja mam jakąś ciekawą historię o wojsku? – słucha.

– W Olimpii? – powtarza pytająco.

– A nie załatwialiście mi zaświadczenia z tym daltonizmem? – słucha.

– Dobrze. Dziękuję, mamusiu – odkłada słuchawkę.

Po konsultacji z mamą przedstawia rezultat ustaleń. Jedyny „wojskowy” trop prowadzi do milicyjnego Gwardyjskiego Klubu Sportowego Olimpia Poznań, w którym młody Wojciech Fibak na początku kariery trenował grę w tenisa. Olimpia miała siedzibę w Golęcinie na obrzeżach miasta. W klubie działała między innymi prężna sekcja tenisa ziemnego. Dziś na tym terenie znajduje się Park Tenisowy Olimpia z trzynastoma kortami. W czasach PRL-u pieczę nad klubem sprawowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Takich milicyjnych klubów (dla

baza ebooków

niepoznaki zwanych gwardyjskimi) było więcej. Najbardziej znane to Gwardia Warszawa, Wisła Kraków i właśnie Olimpia Poznań.

Strzelał piłką

Reprezentowanie resortowych klubów miało w PRL-u tę zaletę, że chroniło przed wojskiem. Dotyczyło to zwłaszcza piłkarzy. Wybijający się zawodnicy byli ze służby zwalniani, albo odbywali ją tylko na papierze. Z tej fikcji wyrastała potęga niektórych klubów, na czele z Centralnym Wojskowym Klubem Sportowym (CWKS) Legia Warszawa. Pod pretekstem służby wojskowej ściągały do siebie najlepszych graczy. Doprowadzało to do wściekłości cywilną konkurencję, ale na towarzyszy w mundurach nie było mocnych.

Tak trafił do Legii między innymi Kazimierz Deyna (1947–1989), legendarny piłkarz, którego pomnik stoi dziś przed stadionem przy ulicy Łazienkowskiej. Gdy w 1966 roku w barwach ŁKS Łódź zadebiutował w pierwszej lidze, zdążył w tym klubie zagrać tylko jeden mecz. Na celownik błyskawicznie wzięła go Legia. Dostał powołanie do wojska, a służbę odbywał rzecz jasna w drużynie stołecznego pierwszoligowca. Zamiast kulą na poligonie, strzelał piłką na boisku. I to bardzo celnie, jak rasowy snajper.

Podporucznik z mokrą głową

Po służbie zasadniczej Deyna przeszedł na etat zawodowego żołnierza. Stał się gwiazdą Legii i reprezentacji Polski. Wraz z sukcesami sportowymi szedł awans wojskowy: od szeregowca do chorążego. Ale chorąży to nadal był stopień jedynie podoficerski – zdecydowanie za niski jak na medalistę igrzysk olimpijskich i piłkarskiego mundialu. Działacze Legii postanowili coś z tym zrobić. Wystąpili do ministra obrony narodowej generała Wojciecha Jaruzelskiego, by awansował piłkarza na oficera. Generał postawił warunek – będzie awans, jeśli Deyna uzyska przepisowe średnie wykształcenie.

Piłkarz skończył korespondencyjnie liceum i nic już nie stało na jego drodze do szlifów podporucznika. Promocja nie obyła się jednak bez kłopotu. Deyna miał bujną czuprynę, która nie mieściła się pod oficerską czapką. A ściąć włosów nie chciał za żadne skarby. Bo jakby wyglądał na boisku wśród modnie zarośniętych kolegów. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby zawodnikowi namoczyć włosy, by sprawiały wrażenie krótszych. Ceremonia odbyła się w świetlicy pod trybuną krytą

baza ebooków

Stadionu Wojska Polskiego. Kazimierz Deyna z mokrą głową został mianowany na podporucznika Ludowego Wojska Polskiego.

Grunt to wypłata

Inny znany piłkarz, Zdzisław Kapka z Wisły Kraków, po latach musiał się tłumaczyć ze wstydliwego zatrudnienia w resorcie spraw wewnętrznych. Jak do tego doszło? W socjalizmie nie było oficjalnie zawodowego sportu, więc wyczynowców często lokowano na fikcyjnych etatach w kopalniach (kluby górnicze), w armii (kluby wojskowe), czy w jednostkach MO i SB, jak w przypadku klubów gwardyjskich, do których zaliczała się Wisła Kraków. Po zmianie ustroju miało to zaskakujące konsekwencje, o czym przekonał się właśnie Zdzisław Kapka.

Gdy w 2004 roku startował w wyborach do Parlamentu Europejskiego, w obowiązkowym oświadczeniu lustracyjnym napisał, że pracował w organach bezpieczeństwa PRL-u. W futbolowym środowisku Krakowa zawrzało. „Na nikogo nie donosiłem, nie inwigilowałem, nie podsłuchiwałem. Nawet na komisariacie nie byłem (…) – Jaki miał Pan stopień? – Nawet nie wiem. A co mnie to obchodziło? Grunt, że co miesiąc dostawałem wypłatę” [16] – tłumaczył Zdzisław Kapka.

Taki trochę daltonista

Wróćmy do Wojciecha Fibaka. Tenisista szybko wyjechał na Zachód i tam zrobił błyskotliwą karierę. Nie potrzebował w kraju żadnego etatu, bo dzięki sukcesom na zawodowych turniejach świetnie zarabiał w twardej walucie. Był niezależny, nie dawał sobą dyrygować, otwarcie potępiał stan wojenny wprowadzony w Polsce przez juntę generałów. Władze PRL-u odpowiadały szykanami.

„Związek tenisowy dyskwalifikował mnie za niesubordynację, bo na przykład wyjechałem na ważny dla mnie turniej, a nie na jakieś bezsensowne zgrupowanie”, wspominał tenisista. „Później, kiedy już byłem zawodowcem, zostałem też zdyskwalifikowany przez klub za moją postawę patriotyczną, kiedy krytykowałem stan wojenny. Największe amerykańskie stacje telewizyjne przyjechały do mojego domu pod Nowym Jorkiem, a ja udzielałem wywiadów, w których mówiłem o wolnej Polsce. Przez trzy lata nie mogłem widywać moich rodziców. Nie mogłem przyjechać do Polski. W Pucharze Davisa zagrałem dopiero po czterech latach i to był przełom” [17].

Ale paradoksalnie wielką karierę ułatwił mu na starcie milicyjny klub. Tak przynajmniej wynikało z konsultacji historycznych Wojciecha Fibaka z mamą.

baza ebooków

– A oto dlaczego się przeniosłem z rodzimego akademickiego klubu sportowego AZS na Golęcin do milicyjnego klubu Olimpia – referował. – Po pierwsze, rozwiązało mi to problemy z podróżowaniem. W klubie milicyjnym łatwiej było o uzyskanie paszportu. A po drugie, pomogło ze służbą wojskową, bo prawdopodobnie członek klubu milicyjnego nie był powoływany do służby. Więcej, niestety, nic ciekawego w tej sprawie nie mam. Wydawało mi się, że może… Jestem takim trochę daltonistą. Ale mama twierdzi, że nie uciekaliśmy się do żadnych zaświadczeń.

Wojciech Fibak

*Kiedy ruszał z siermiężnego PRL-u na podbój światowych kortów, matka wyposażała go w torbę pełną konserw. Dbała, żeby były urozmaicone i nie zepsuły się. Być może była wśród nich kaloryczna tuszonka. Osiemnastoletni Wojtek Fibak zabierał swoją spiżarnię na juniorski Roland Garros i Wimbledon, gdzie doszedł do ćwierćfinałów. Nie było go stać na restauracje, w których posilali się rywale. A smak coca-coli poznał dopiero wtedy, gdy zarobił na korcie pierwsze pieniądze. W 1973 roku za wygranie turnieju w Mediolanie dostał okrągły tysiąc dolarów. W przyszłości nigdy żadne pieniądze nie dały mu takiej satysfakcji. A zarobił ich na tenisie bardzo dużo – prawie trzy miliony dolarów z nagród i drugie tyle z reklam. Inwestował w nieruchomości i dzieła sztuki. Po upadku komuny miał prywatną galerię w Warszawie, był wydawcą prasy i producentem filmowym (*Psy 2*). Obracał się w elitarnym towarzystwie. Jak opisywała Ewa Wąsikowska-Tomczyńska, Hugh Grant przez rok mieszkał w jego paryskim domu. Z kolei apartament tenisisty w Nowym Jorku był ulubionym miejscem Erica Claptona. Sean Penn miał w sypialni plakat Fibaka, a przyjaciel Robert De Niro zajadał się w Poznaniu szarlotką jego mamy. Osiągnięcia Wojciecha Fibaka w zawodowym tenisie (sześćdziesiąt siedem wygranych turniejów w singlu i deblu; finał Masters, ćwierćfinały Roland Garros, Wimbledonu i US Open; deblowe zwycięstwo w Australian Open) robią wrażenie nawet dziś, gdy przyzwyczailiśmy się do sukcesów Igi Świątek i Huberta Hurkacza. W czasach PRL-u Fibak był sportowym idolem. Białe tenisowe skarpetki nazywano fibakówkami, a firma Stomil wyprodukowała rakietę Polonez, łudząco podobną do metalowego Heada, którym grał Fibak. Jego sportowe wyczyny wywołały w Polsce „fibakomanię”, porównywalną do późniejszej o trzydzieści lat „małyszomanii”.*

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 6

Poborowy Adam Małysz, rocznik 1977, kategoria A

– W pewnym momencie słyszę: „Małysz!”. Wchodzę do sali, za dużym stołem komisja. Trzech wojskowych, lekarz, pielęgniarka. Kazali mi rozebrać się do majtek za parawanem. Patrzą na mnie, przyglądają się, w końcu mówią: „no, myśleliśmy, że pan większy jest” – opowiada Adam Małysz.

Właściwie to nie powinien pojawiać się w tej książce. W czasach PRL-u był w wieku zdecydowanie przedpoborowym. Miał zaledwie dwanaście lat, gdy w 1989 roku aktorka Joanna Szczepkowska ogłaszała w *Dzienniku Telewizyjnym*, że w Polsce skończył się komunizm.

Przypadek Adama Małysza pokazuje jednak, że wojskowe absurdy nie zniknęły wraz ze zmianą ustroju. Dopiero w 2008 roku ówczesny minister obrony narodowej Bogdan Klich zniósł obowiązkową służbę wojskową. Zanim do tego doszło, młodzi sportowcy, tak samo jak w PRL-u, zdani byli na łaskę i niełaskę mundurowych „mecenasów sportu”.

– Do poboru stawałem w Cieszynie. W poczekalni tłum takich jak ja debiutantów, ale też dekowników, którzy od lat migali się od wojska. Wychodzi jakaś sekretarka i mówi, żeby się przygotować, bo będziemy wchodzić po kolei. A że ja ani wzrostem, ani ciałem nie górowałem nad innymi, to mnie zepchnęli na koniec kolejki – wspomina Adam Małysz.

Armia upomniała się o skoczka w 1997 roku. Miał już wtedy na koncie pierwsze sukcesy. Wygrał konkursy Pucharu Świata na skoczniach w Oslo, Sapporo i Hakubie. Przed komisją poborową wzbudził zdumienie wojskowych. Przy wzroście stu siedemdziesięciu centymetrów ważył niewiele ponad pięćdziesiąt kilogramów. – Byłem chudy jak przecinek. Tak szczupły, że wstydziłem się rozebrać na plaży – zwierzał się Adam Małysz. Teraz stał przed wojskowymi

baza ebooków

w samych slipkach, a oni mierzyli go wzrokiem. Nie sądzili, że sportowiec może mieć tak marną posturę.

Kompania reprezentacyjna

Dwadzieścia lat wcześniej przed komisją poborową stawał inny świetny skoczek narciarski – Piotr Fijas. Był 1977 rok, PRL-em rządził Edward Gierek, w sklepach puste półki, ale wokół pełno propagandy sukcesu. Poborowy Fijas miał sto osiemdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, ważył siedemdziesiąt cztery kilogramy. Dobrze zbudowany, chłop na schwał. Komisja bez namysłu skierowała go do kompanii reprezentacyjnej. Wojskowi zaliczyli sukces rekrutacyjny, ale musztra, defilady i honorowe warty nie pociągały ambitnego sportowca.

„Nie bardzo mi się to uśmiechało. Poszedłem więc do jednego wojskowego i powiedziałem, że uprawiam skoki narciarskie. Tak się złożyło, że ten człowiek znał szefa w Wojskowym Klubie Sportowym (WKS) Legia Zakopane i tak trafiłem szczęśliwie do tego klubu. To był taki przełom, bo zacząłem trenować na poważnie w bardzo dobrych warunkach pod okiem Jana Furmana, który był trenerem Staszka Bobaka, a ten przecież w tym czasie zaliczał się do światowej czołówki” [18] – wspominał.

W regularnym wojsku Piotr Fijas spędził kilka tygodni. W jednostce w Modlinie przeszedł tak zwaną unitarkę, czyli szkolenie podstawowe każdego żołnierza. Resztę dwuletniej służby zaliczył w zakopiańskim klubie. Zamiast „na ramię broń” wykonywał komendę „narty włóż”. Po zaledwie dwóch miesiącach treningu wyjechał na mistrzostwa świata w Lahti.

„Oczywiście nie obyło się bez problemów, bo skoro byłem w wojsku, musiałem mieć zgodę z MON na wydanie paszportu”, relacjonował skoczek. „Cała ekipa poleciała wcześniej, a ja dotarłem na dzień przed konkursem na średniej skoczni. Nawet nie brałem udziału w oficjalnym treningu” [19].

W rezultacie mistrzostwa mu nie wyszły. Był najlepszy z Polaków, ale w obu konkursach – na średniej i dużej skoczni – zajmował odległe miejsca. Za to rok później, wciąż jako wojskowy skoczek, osiągnął swój największy sukces. Na mistrzostwach świata w lotach (Planica, 1979) zdobył brązowy medal. Potem był też rekordzistą świata w długości skoku (sto dziewięćdziesiąt cztery metry – to do dziś najdłuższy skok wykonany stylem klasycznym), trzykrotnym zwycięzcą

baza ebooków

zawodów Pucharu Świata, olimpijczykiem z Lake Placid (1980), Sarajewa (1984) i Calgary (1988).

Mały, ale zdolny

Sukcesy Piotra Fijasa przeskoczył dopiero Adam Małysz. A co do armii, filigranowy skoczek nie nadawał się wprawdzie do kompanii reprezentacyjnej, ale wojskowi i tak zagięli na niego parol.

– Przybili mi pieczątkę „zdolny do służby” – relacjonuje Adam Małysz. – Nawet się ucieszyłem. Bo w zasadzie chciałem iść do wojska, tylko mój klub, KS Wisła, mnie nie puszczał. Bo wtedy przeszedłbym do WKS Zakopane. Dla mnie byłoby lepiej – służyłbym razem z kolegami, Wojtkiem Skupniem i Robertem Mateją. Na wszystkie zawody byłbym oddelegowywany, a po zasadniczej służbie zostałbym zawodowym żołnierzem.

Wojskowy Klub Sportowy Zakopane, do którego mógł trafić poborowy Małysz, to klub założony przez Ministerstwo Obrony Narodowej w 1950 roku. Impulsem była I Zimowa Spartakiada Wojska Polskiego, która odbyła się w Zakopanem rok później. Od samego początku WKS przyciągał najlepszych skoczków.

Startował tu legendarny Stanisław Marusarz, pierwszy polski medalista mistrzostw świata w skokach narciarskich (1938 rok – srebro w Lahti). Pod okupacją niemiecką działał w ruchu oporu. Był kurierem tatrzańskim, przeprowadzał ludzi przez zieloną granicę, przenosił materiały konspiracyjne i pieniądze na działalność podziemną. W WKS spotkał innego przedwojennego skoczka – Jana Kulę. On również był kurierem tatrzańskim, a potem walczył z Niemcami w utworzonej we Francji 2 Dywizji Strzelców Pieszych. W zakopiańskim klubie dostarczali kibicom wielu emocji. Ich rywalizację „Przegląd Sportowy” opatrzył tytułem: *Marusarzowi grozi Kula*.

W latach siedemdziesiątych WKS reprezentował Stanisław Bobak, podoficer Ludowego Wojska Polskiego, który jako pierwszy Polak wygrał konkurs Pucharu Świata i stanął na podium klasyfikacji generalnej. Zawodnikiem zakopiańskiego klubu pod koniec kariery był również Wojciech Fortuna – pierwszy polski mistrz olimpijski zimowych igrzysk, zdobywca złotego medalu na dużej skoczni w Sapporo w 1972 roku.

baza ebooków

W późniejszych latach w WKS Zakopane czołowi w kraju skoczkowie odbywali zasadniczą służbę wojskową. Przez klub przewinęli się między innymi Piotr Fijas, Robert Mateja, Wojciech Skupień, Kamil Stoch i Stefan Hula.

Z góry na Mazury

Wojskowe plany Adama Małysza rozwiały się za sprawą jego macierzystego klubu w rodzinnej Wiśle. Działacze poruszyli niebo i ziemię, by zatrzymać swój największy skarb.

– W Wiśle robiono wszystko, by wartościowy zawodnik został na miejscu. No i z pomocą władz miasta klub wybronił mnie przed wojskiem – mówi Adam Małysz.

Wyszło to Orłowi z Wisły na dobre, bo Wojciecha Skupnia i Roberta Mateję, do których chciał dołączyć, wojsko nie rozpieszczało.

Służbę chorążego Wojciecha Skupnia w WKS Zakopane (przez pewien czas działającym pod nazwą Legia Zakopane) brutalnie przerwała reorganizacja w wojsku. Klubom wojskowym odbierano sportowe etaty. Skupniowi zaproponowano przeniesienie do jednostki wojskowej… na Mazurach!

„Przeniesienie na północ Polski nie wchodziło w rachubę. Wolałem porzucić wojsko, chociaż do uzyskania emerytury w tym resorcie pozostało mi dziesięć lat” [20] – tłumaczył skoczek, który nad jeziorami mógłby uprawiać co najwyżej narciarstwo wodne.

Wojciech Skupień pozostał przy skokach narciarskich. Przeniósł się do klubu TS Wisła Zakopane, gdzie występował do 2009 roku. Po zakończeniu kariery sportowej chciał wrócić do munduru. Wylądował w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW).

„Pierwotnie miałem zamiar pójść do policji, jednak tam od razu powiedziano mi, że mnie nie przyjmą”, wyjaśniał. „Potem przyszedł pomysł wojska, gdzie już wcześniej zresztą byłem. Dwanaście lat. Chciałem dobić do emerytury. Usłyszałem, że okej, ale na szeregowego. No kur…, to nie wchodziło w grę. Jako chorąży miałem się tak daleko cofać? (…) Kwestia honoru. Teraz w budowlance lepiej płacą niż wtedy mi zaoferowali. Więc trafiłem do ABW. Do pracy cywilnej” [21].

Również Robertowi Matei nie było z wojskiem po drodze, a sprawa otarła się o politykę. W 2006 roku sejmowe Komisje Kultury Fizycznej i Sportu oraz Obrony Narodowej zajmowały się stanem sportu w polskich siłach zbrojnych. Podczas obrad przytoczono przypadek zakopiańskiego skoczka.

„Kiedy ministrem obrony narodowej był poseł Jerzy Szmajdziński, przez trzy lata zwracano uwagę Sztabowi Generalnemu Wojska Polskiego, dlaczego skoczek

baza ebooków

Robert Mateja nie jest żołnierzem w zespole sportowym” – referował pierwszy zastępca szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, generał Lech Konopka. „Problem polega na tym, że zanim ktoś zostanie żołnierzem, najpierw musi sam powiedzieć, że chce być żołnierzem” [22].

Z dalszej części wywodu wynikało niezbicie, że sportowcy nie garną się do służby wojskowej. „Na pewno byliby chętni, gdyby były wysokie uposażenia i wysokie stypendia, świetne warunki i mieszkania. Jednak w chwili obecnej Ministerstwa Obrony Narodowej na to nie stać”, raportował generał. „Przypomnę państwu, że w zespołach sportowych mamy etaty szeregowych zawodowych. W związku z tym sportowców kwaterujemy na terenie jednostek wojskowych, w takich warunkach, jakie mają wszyscy żołnierze zawodowi” [23].

Mam żyłkę do wojska

Adama Małysza ominęło zakwaterowanie w jednostce. Został powołany do służby zastępczej w gminie Wisła. Do jego obowiązków należało pomaganie starszym ludziom. Robił im zakupy, przynosił pieczywo. To była bardzo pożyteczna i szlachetna służba. Ale Małysz wciąż ma niezaspokojony głód prawdziwego wojska.

– Teraz nadrabiam, intensywnie współpracuję z armią – deklaruje z uśmiechem.

Jako prezes Polskiego Związku Narciarskiego snuł plany zatrudniania sportowców w wojsku. „To jest szansa dla zawodników”, przekonywał. „Wiemy, jak ciężko może wyglądać sytuacja sportowca, który zbliża się do końca kariery. Chcemy, żeby już wcześniej pracowali oni w służbach, dostawali zgodę na treningi, a po zakończeniu kariery dalej mieli możliwość powrotu do pracy w pełnym wymiarze” [24].

Gdy był kierowcą rajdowym, trenował na poligonach w Drawsku, Świętoszowie, Żaganiu. – Prowadziłem każdy model czołgu, jaki tylko w Polsce jest. Strzelałem z różnych rodzajów broni, brałem udział w defiladach i pokazach. Mam chyba jakąś żyłkę do wojska. Tylko munduru, poza strażackim, bo jestem strażakiem, nigdy na sobie nie miałem – mówi z sentymentem.

Adam Małysz
Miał sześć lat, gdy na nartach, przypiętych do za dużych butów, oddał pierwszy skok na prawdziwej skoczni. Wylądował na siódmym metrze w samych skarpetkach. Siedemnaście lat później wygrał jako pierwszy Polak Turniej Czterech Skoczni i w kraju wybuchła małyszomania. Ale zanim do tego doszło, były też lata chude, gdy zawodnik z Wisły o mało nie zajął się wyuczonym zawodem dekarza. Z pomocą nowego trenera, fizjologa i psychologa powrócił na skocznie w wielkim stylu. Zdobywał medale na igrzyskach olimpijskich i mistrzostwach świata. Dziewięćdziesiąt dwa razy stał na podium

baza ebooków

konkursów Pucharu Świata. Czterokrotnie na koniec sezonu był najlepszy w całym cyklu tych zawodów. Gdy skakał, wyludniały się w Polsce ulice. Miliony widzów dopingowały przed telewizorami Orła z Wisły, Króla Adama I, Polski Obiekt Latający. Kibice gromadzili się też w pubach, na czele z kultowym barem U Bociana w Wiśle. Nieprzebrane tłumy towarzyszyły zawodom na Wielkiej Krokwi w Zakopanem. Modne stały się wyjazdy zagraniczne na zawody Pucharu Świata, nie tylko w Europie. – Mówiło się „jedziemy na Małysza" – opisywał komentator sportowy Sebastian Szczęsny. – On był zjawiskowy. W Polsce stał się wielkim idolem – to był okres zupełnej sportowej posuchy. (…) I oto pojawił się skromny chłopak z wąsami i był najlepszy na świecie.

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 7

Kapral podchorąży Jan Lityński, rocznik 1946, kategoria A

Jako student matematyki na Uniwersytecie Warszawskim został przydzielony do artylerii przeciwlotniczej. Studenci z jego wydziału, a także z fizyki oraz ekonomii, nie trafiali do piechoty. Wcielano do niej natomiast adeptów szkół artystycznych. Jan Lityński z rozbawieniem obserwował jak Andrzej Seweryn i Jerzy Zelnik starali się być wzorowymi żołnierzami.

Ze świętej pamięci Janem Lityńskim spotkałem się w Warszawie w jego skromnym gabinecie, gdy za prezydentury Bronisława Komorowskiego był doradcą głowy państwa do spraw kontaktów z partiami i środowiskami politycznymi. Nie urzędował jednak w Pałacu Prezydenckim, tylko w biurowcu naprzeciw Domu Poselskiego przy ulicy Wiejskiej. W tym samym budynku znajduje się Państwowa Komisja Wyborcza.

Niedaleko stąd, w barakach przy ulicy Szwoleżerów 1, w latach sześćdziesiątych mieściło się studium wojskowe dla studentów Uniwersytetu Warszawskiego, Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej (PWST), Akademii Sztuk Pięknych (ASP) i Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej (PWSM). Jan Lityński swoją opowieść o wojsku zaczął od artystów, z którymi się kolegował: Andrzeja Seweryna i Jerzego Zelnika.

– Z uśmiechem niedowierzania patrzyłem na nich i nie mogłem się nadziwić, że tak się można przejmować wojskiem – wspominał polityk. – Może lubili służbę wojskową, a może, jako aktorzy, umieli się tak wczuć w swoje role. Szczególnie Andrzej, który jest niezwykle pracowitym człowiekiem i każde zadanie wykonuje bardzo dokładnie.

Młodzi aktorzy podchodzili poważnie do wojskowych ról, a mimo to dostawali do wiwatu. Zwłaszcza Jerzy Zelnik, który już na studiach stał się sławny.

Wojciech Markiewicz: „W 1966 roku, gdy niemal we wszystkich kinach w Polsce grany był *Faraon*, student PWST Jerzy Zelnik, odtwórca głównej roli,

baza ebooków

stawił się na porannym apelu. Legendarny major Kuźma przechadzał się dobrą chwilę przed frontem kompanii, wreszcie wyryczał: „Szeregowy Zelnik! Wyystą!”. Krążył wokół umierającego ze strachu Zelnika, starając się znaleźć jakieś niedoskonałości w jego umundurowaniu. Zadumał się, po czym zaryczał: „Wy tu, Zelnik, niby wielki faraon jesteście. Ale ja mogę wam w dupę dać!” [25].

Wyraz dzioba

Kilka lat później ze studium wojskowym zderzył się Marek Kondrat. Początkowo był tym doświadczeniem mocno przerażony. „Szybko jednak odkryłem, że nie jest to czas stracony”, oceniał znakomity aktor. „W tych niezwykłych okolicznościach szybko można się było dowiedzieć, kto jest okej, a komu raczej nie należy podawać ręki. Tam mogłem też podpatrywać idealne wzorce do ról” [26].

Gorzej z literatami. Ci nijak nie mogli w wojsku zaczerpnąć natchnienia. Nie wzruszały ich lśniące lufy KBK AK, nie potrafili ustać w postawie na baczność, ani dziarsko „strzelić w dach”, czyli zasalutować.

„Wojsko jest najwstrętniejszym z przymusów”, pisał literat Michał Łukaszewicz. „Te ryki, to wymyślanie nam, ten smród baraków, mundurów, towotu i podłóg. Mówią mi koledzy: śmiej się z tego, to przecież śmieszne. Nie dla mnie. Przysięgam zemstę zawsze i wszędzie, do końca moich dni” [27].

Armia, jak sugerował, zabijała w nim poetę i czyniła pacyfistą. Podobne odczucia miał Tomasz Jastrun, co wyraził krótko i dosadnie: „Jutro znowu wojsko! Precz! Nie chcę i koniec!”. [28]

Żeby przetrwać, trzeba było być uzbrojonym w stoicki spokój i niezłomne poczucie humoru. Tymi atrybutami dysponował Ryszard Parulski (1938–2017), adwokat oraz mistrz w szermierce (wielokrotny medalista igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata), który w latach sześćdziesiątych studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim.

„Byłem świadkiem w Studium Wojskowym Uniwersytetu Warszawskiego na Czerniakowie, kiedy major od map egzaminował Ryszarda Parulskiego, znakomitego polskiego szermierza”, relacjonował profesor Adam Czesław Dobroński, który w 1966 roku ukończył studia na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego. „Podchorąży wił się jak żmija, major zdenerwowany przedłużającym się odpytywaniem oświadczył: »Koniec z tymi unikami, daję wam ostatnie pytanie i albo, albo. Czy z ergepanca można strzelać do samolotów przeciwnika?«. RGpanc to był ręczny granatnik przeciwpancerny, rura trzymana na ramieniu, z cholernie silnym odrzutem. Podchorąży Ryszard, patrząc majorowi prosto w oczy, wycedził… »Można«. Nie skończył, tamten ryknął: »Mam was dość, dwója, wyjść«. A pytany spokojnie rozszerzył swą wypowiedź – »Można,

baza ebooków

panie majorze, jak samolot stoi na lotnisku«. Egzaminującego omal szlag nie trafił” [29].

Inny profesor Uniwersytetu Warszawskiego, geolog Andrzej Kozłowski, opisywał: „Około 1966 roku, egzamin na ówczesnym studium wojskowym, pytanie do studenta geologii, być może decydujące w ruletce »zdał – nie zdał«: »Czym się różni orzełek na czapce lotnika od orzełka na czapkach żołnierzy innych rodzajów broni?«. Chodziło o specyficzne »uskrzydlenie« tego pierwszego orzełka. Student po długim namyśle: »Wyrazem dzioba?«” [30].

Profesor Kozłowski zapamiętał też przygodę kolegi z dalmierzem optycznym. „Student geologii ma pokazać, jak używa się dalmierza optycznego”, relacjonował geolog. „Było to urządzenie zbudowane z dwóch długich rur-lunet, wsporników, rodzaju uprzęży z pasków; zakładało się je tak, aby wspornikami opierało się na obojczykach i na piersiach, paski oplatały między innymi plecy, lunety były skierowane do przodu, a wzierniki do lunet – przed oczami. Student przez długi czas usiłował założyć na siebie tę skomplikowaną uprząż, raz nawet lunety wylądowały na plecach, w końcu dalmierz został na studencie ulokowany prawidłowo i odległość do wskazanego miejsca – zmierzona. Student podaje wynik, tyle a tyle metrów. Na to pytający podoficer: Pomiar bardzo dobry, różnica w stosunku do prawdziwej odległości bardzo mała! Może nawet byłby jeszcze lepszy, gdybyście zdjęli przykrywki z obiektywów…” [31].

Zmora studiów

Początkowo na zajęcia wykrojone były dwa tygodnie w każdym semestrze. Ten system studentom odpowiadał. Jeśli ktoś nie opuszczał zajęć, po czternastu dniach miał spokój i unikał szykanowania z powodu wojska.

– Po marcu 1968 roku to się zmieniło – zaznaczył Jan Lityński. – Cotygodniowe całodzienne szkolenia ciągnęły się przez cały semestr. A do tego były obowiązkowe wyjazdy na obozy wojskowe, po trzecim i czwartym roku. Na zajęcia w studium wojskowym przychodziliśmy w mundurach. W zasadzie można powiedzieć, że był to rodzaj sukmany, która na ogół nie była dopasowana. Żeby jakoś porządnie wyglądać, musiałem pójść do krawca, który poprawił mi mundur.

„Szkolenie wojskowe było obowiązkowe dla studentów zakwalifikowanych jako zdolni do służby wojskowej, z zaliczeniem wpisywanym do indeksu”, zwracał uwagę doktor Jan Chojnacki z Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. „Stanowiło ono, zwłaszcza tuż po Marcu, zmorę studiów. Zajmowało jeden dzień w tygodniu przez cztery lata studiów, a ponadto dwa miesiące obozu wojskowego, organizowanego w normalnych jednostkach wojskowych w czasie wakacji: jeden

baza ebooków

miesiąc po pierwszym roku, a następny – po czwartym roku, czyli akurat w sezonie zbioru materiałów do pracy magisterskiej” [32].

„W ciągu roku akademickiego szkolenie wojskowe odbywało się w Studium Wojskowym UW, które mieściło się wówczas w barakach u zbiegu Czerniakowskiej, Szwoleżerów i 29 Listopada (można tam było dojechać między innymi trolejbusem numer 52)”, dodawał biolog. „Studenci UW, a także PWST i ASP, przebrani obowiązkowo w polowe mundury wojskowe i sformowani w plutony, kompanie i bataliony, od siódmej rano zaznawali nauki taktyki, musztry i ogólnie drylu wojskowego pod kierunkiem kadry oficerskiej, grupującej niezapomniane osobowości ze sławnymi majorami Kuźmą i Kucejką, o których krążyły całe historie, rozpowszechniane nawet na emigracji” [33].

Kopiec Kucejki

Szkolenia praktyczne często odbywały się na pobliskim wzniesieniu usypanym z wojennych gruzów Warszawy. Najpierw był to kopiec Pamięci Zburzonej Warszawy, potem – Powstania Warszawskiego. Dziś widnieje tu znak Polski Walczącej, ale kiedyś nikt ze studentów nie mówił o tym miejscu inaczej niż kopiec lub kurhan Kucejki.

– Kucejko był kapitanem w studium wojskowym, oficerem rezerwy i bardzo barwną postacią. Używał specyficznego języka. Pytał: „Bombardier mówi, o ile kaliber tego pocisku jest mniejszy niż kaliber lufy?”. Ktoś stoi i myśli, a Kucejko odpowiada: „O piczy włos” – wspominał Jan Lityński.

Dla tysięcy studentów Uniwersytetu Warszawskiego (w mniejszym zakresie również Politechniki Warszawskiej), którzy zdobywali wyższe wykształcenie od drugiej połowy lat pięćdziesiątych do początku lat siedemdziesiątych, Kucejko był symbolem absurdalności i opresyjności studium wojskowego. „W opinii dowódców byliśmy elementem wybrakowanym, pozaregulaminowym” – oceniał profesor Adam Czesław Dobroński. „Kapitan Kucejko, stary frontowiec, zwykł mawiać: »Student, żebym ja był tak wysoki, jak wy jesteście głupi, to bym mógł, klęcząc(!), księżyc w dupę pocałować«” [34].

„Kapitan Kucejko wrył się w pamięć pokoleń plugawym nazewnictwem części broni, którym poprzydzielał nazwy organów płciowych”, opisywał Wojciech Markiewicz. „Z lubością roztrząsał, jak to zamek wchodzi do komory. Gdy dokuczały mu hemoroidy i ogarniała antyinteligencka melancholia, syczał: »Wy, wy, studenci, studenci, kulturtregery«” [35].

Dziś pojęcia „kulturtreger” (od niemieckiego *kulturträger*) praktycznie się nie używa. Jak podaje współczesny *Słownik języka polskiego*, chodzi o osobę uzurpującą sobie prawo do narzucania innym społeczeństwom swoich zasad

baza ebooków

i swojej kultury. Z kolei *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych* z 1975 roku podawał, że „kulturtregerstwo" to „zaborcza ekspansja Niemiec maskowana frazesami o szerzeniu kultury".

Jak widać, Kucejko, czy to z powodu hemoroidów, czy melancholii, potrafił posługiwać się trudnymi wyrazami, zapewne zaczerpniętymi z kursów partyjnej propagandy. Bynajmniej nie był jednak typem intelektualisty, co skrzętnie wykorzystywali studenci.

„Pewnego razu wszedł do sali, na stole położył dziennik, na dzienniku czapkę, obowiązkowo orzełkiem w kierunku sali i zobaczył na stole niedopałek", ciągnął opowieść Wojciech Markiewicz. „»Czyj to pet?!« – zagrzmiał. Cisza. »Po raz ostatni pytam…«. Głos z sali: »Niczyj, obywatelu kapitanie. Może pan palić«. Odpowiedź tę przypisuje się najczęściej Jonaszowi Kofcie. Kapitan Kucejko był też autorem słynnej odpowiedzi na pytanie, czy kolba karabinu może być zrobiona z drzewa genealogicznego? »Tak, pod warunkiem, że *będzie ono dostatecznie twarde«*" [36].

Kucejko był specjalistą od tego rodzaju definicji. „»W obliczu ataku atomowego«, nauczał major (po awansie – J.K.) Kucejko, »trzeba położyć się na ziemi (…) nogami w kierunku eksplozji, zamknąć oczy i zaczerpnąć tchu na najbliższe parę minut«" [37] – przypominał felietonista, antropolog kultury, Ludwik Stomma.

Wiele mówi o Kucejce również historia, jaką opisał jeden z użytkowników internetowego *Forum-Broń.pl*, MarekP: „Dawno temu chodziłem na szkolenie wojskowe na studiach. To się nazywało studium wojskowe. Mieliśmy dużo zasłużonych frontowców jako dowódców – co najmniej majorzy to byli. Kiedyś zrobiliśmy eksperyment. Mianowicie grupa kolegów została namówiona, żeby oddać honory lewą ręką. Niestety jeden się wyłamał, bo zapomniał i mu się pomyliło. Wszyscy lewą – on jeden prawą. Do kogo się przyczepił major Kucejko? Oczywiście. Dobrze przypuszczacie. Ten jeden był inny. Nieważne, że on jeden poprawnie oddał honory – on był inny niż reszta grupy" [38].

Mentalność „nie wychylać się, stać równo w szeregu" była w wojsku powszechna. Kucejko pod tym względem szczególnie się nie wyróżniał. Ze swojej służby wojskowej pamiętam na przykład, że niemal wszyscy żołnierze palili. Również ci, którzy w cywilu nie brali papierosa do ust. Powód? Podczas częstych „przerw na papierosa" odstawaliby od palących. A kto nie palił, w oczach dowódców nie miał zajęcia. Dostawał więc coś do roboty, gdy inni odpoczywali „przy dymku". Bo przecież żołnierz nie może siedzieć bezczynnie.

„Palić zacząłem w wojsku jak wielu innych, takich samych, ponieważ na pierwszym apelu padło hasło: »Niepalący, wystąp!«" – opisuje Cezary Pazura, który w 1988 roku służył w Szkole Podchorążych Rezerwy w Zegrzu.

baza ebooków

„Wystąpiłem. »Niepalący za szmaty i jebać rejony, a palący do palarni«. Wstąpiłem. No co, głupi jestem? Zacząłem popalać. Tym bardziej że fajki na przydział za darmo dawali” [39].

Frontowiec i utrwalacz

Kucejko… Czy zauważyliście, że w kolejnych opowieściach ten oficer ma tylko nazwisko, ewentualnie ze stopniem wojskowym, a nie ma imienia? Przez moment pomyślałem nawet, że to postać wirtualna, jak blondynka z dowcipów. Ale Kucejko, Henryk Kucejko (1917–1987), bynajmniej nie był awatarem. O jego realnym życiu sporo mówią dokumenty, które zachowały się w archiwum Ośrodka Karta.

Wychował się w Białymstoku, który siedemnastego września 1939 roku został zajęty przez wojska sowieckie. W kwietniu 1941 roku dwudziestoczteroletni Henryk Kucejko został wcielony do Armii Czerwonej. Gdy dwa miesiące później Niemcy zaatakowali ZSRR, Kucejko trafił na front w rejon Homla, a następnie do batalionu budowlanego. Oddział, złożony z wielu Polaków, zatrudniony był przy budowie linii kolejowej z oblężonego Stalingradu do Saratowa. Kucejko, jak podawał w życiorysie, podczas bitwy stalingradzkiej został „kontuzjowany” i leżał w szpitalu.

W maju 1943 roku dołączył do formującej się w Sielcach nad Oką 1. Dywizji imienia Tadeusza Kościuszki. W batalionie rozpoznawczym Armii Berlinga brał udział między innymi w walkach o Kołobrzeg. Zasłużył wtedy na stopień podoficerski i wdzięczność samego Stalina: „Wódz Naczelny Armii Czerwonej Marszałek STALIN rozkazem z dnia 18 marca 1945 roku wyraża Wam obyw. Kucejko Henryk chorąży podziękowanie za udział we wspaniałych działaniach bojowych 1 Armii o zdobycie prastarego słowiańskiego portu nad Bałtykiem KOŁOBRZEGA. Na cześć zwycięstwa w Moskwie oddano dnia 18 marca 1945 roku 12 salw artyleryjskich z 120 dział. Chwała zdobywcom Kołobrzega!” [40].

Kucejko szybko awansował na podporucznika, zdobywał kolejne stopnie oficerskie. Po powrocie z frontu uczestniczył w „utrwalaniu władzy ludowej” w Polsce, czyli likwidacji zbrojnego podziemia niepodległościowego. Wyliczając swoje zasługi, nie omieszkał zaznaczyć: „Ponadto w okresie służby w Ludowym Wojsku Polskim od m-ca października 1945 r. jako oficer Wydziału II Sztabu W.O.W (Warszawski Okręg Wojskowy obejmujący województwa warszawskie, białostockie i olsztyńskie – J.K.) brałem czynny udział w pracy Komitetu Bezpieczeństwa. W ramach tej pracy wielokrotnie wykonywałem zadania patrolowania z powietrza rejonów działania band” [41].

baza ebooków

W 1954 roku kapitan Kucejko przeszedł do rezerwy i rozpoczął pracę w studium wojskowym przy Politechnice Warszawskiej. Dwa lata później przeniósł się do studium przy Uniwersytecie Warszawskim, gdzie dosłużył się stopnia majora. W 1973 roku, już jako emeryt, awansował na podpułkownika.

Śmieszne, bo tajne

Jan Lityński zapamiętał, że na korytarzach w studium wisiały plansze mające służyć „rozpracowaniu" wrogich sił. Pokazywały między innymi stopnie wojskowe NATO i samoloty amerykańskie. Widniał na nich napis „tajne".

„Pracowaliśmy na mapach sztabowych, ściśle tajnych, dawno nieaktualnych" – wspomina również Pepe Piasecki. „Zajęcia zaczynały się komunikatem: »Podchorąża albo podchorążowie. Proszę zorientować mapy, zwracając szczególną uwagę na jej struny«. Początkowo myśleliśmy, że wykładowca się przejęzyczył, ale za trzecim czy czwartym razem po takim poleceniu któryś nieśmiało powiedział: »Panie pułkowniku, mówi się strony, a nie struny«. Na to wykładowca, wcale niezrażony, że ktoś kwestionuje jego kwalifikacje: »Chwileczkę, zajrzę do konspektu. Rzeczywiście. Macie rację, podchorąży, mówi się oczywiście strony, a nie struny. Miałem niewyraźnie zapisane w swoich notatkach. Struny to w skrzypce«. Huraganowy śmiech nie popsuł mu wcale humoru" [42].

Takich absurdów było więcej. Pepe Piasecki podaje tematy zajęć z tamtego okresu: *„Pułk NATO w natarciu, Sposoby zabezpieczania się przed atakiem jądrowym albo Sposoby przeciwdziałania chorobom wenerycznym w pododdziałach Ludowego Wojska Polskiego*" [43].

Czasami, jak podkreśla autor *Generała*, były dodatkowe atrakcje. Pełny surrealizm panował, gdy wykład dostawał dodatkową klauzulę: „Tajne".

„To była mordęga, bo nie można było robić normalnych notatek, tylko na mocy specjalnej procedury, w tak zwanych tajnych zeszytach, z których korzystaliśmy tylko na zajęciach, bo kiedy indziej nie było takiej możliwości. Zeszyty były ściśle ewidencjonowane i stacjonowały w tajnej bibliotece. Tajne zeszyty przynosił dyżurny podoficer, przeliczał je przed i po wykładzie. Za zeszyty nieobecnych odpowiadał prowadzący oficer-wykładowca. Za zgubienie groziło więzienie lub karna kompania w Orzyszu" [44].

O czym tak skrycie nauczano studentów? Tematy ściśle tajnych wykładów to: *„Skład osobowy i uzbrojenie dywizji NATO, Taktyka Dywizji Układu*

baza ebooków

Warszawskiego w hipotetycznym ataku na Danię, Zabezpieczenie łączności na szczeblu pułku” [45].

Matuszyk *vel* Matuszczyk

Nic więc dziwnego, że studenci ignorowali ludową armię, a zwłaszcza kadrę studium. – Ogromna większość z nas miała lekceważący stosunek do wojska – przyznawał Jan Lityński. – Wtedy traktowaliśmy to jako stratę czasu. Oficerowie może mieli dużą wiedzę wojskową, ale przekazywali ją w sposób dość prymitywny. Był tam na przykład podpułkownik Matuszyk, który do wszystkiego wstawiał zwroty: „cholera jasna”, „niestety” i „bodajże”. Mówił na przykład: „Związek bodajże Radziecki, niestety, cholera jasna, wygrał drugą wojnę światową”. Albo: „Wielka bodajże Brytania”.

Podpułkownik/pułkownik Matuszyk *vel* Matuszczyk (w relacjach pojawiają się dwie formy nazwiska) należał do panteonu gwiazd studium wojskowego przy Uniwersytecie Warszawskim.

„Do toalety wchodzi pułkownik Matuszyk (stałem wtedy przed kiblem na warcie) i zderza się niemal z wychodzącym z niej kapitanem Tyńcem. »Witajcie, pułkowniku!« – rzecze Tyniec i wyciąga rękę na powitanie. »Kapitanie« – odpowiada Matuszyk. – »Przed chwilą żeście fujarę trzymali w tej łapie, a teraz mi podajecie?«. »Ależ nie« – załkał niemal Tyniec. – »Ja lewą, ja lewą!«. Czyż można mieć lepszą, piękniejszą i pełniejszą lekcję zasad hierarchii wojskowej i porządku w armii?” [46] – opisywał Ludwik Stomma.

Wojciech Markiewicz zwrócił uwagę na wybitne osiągnięcia Matuszyka/Matuszczyka w dziedzinie nowomowy. Dziennikarz podaje przykład stylu pułkownika: „Teraz odpytywanie was nie jest możliwe. Przyjdźcie jutro, bo przecież nikomu do siebie nie czynię braku możliwości uzyskania dostępu” [47]. Oficer potrafił też otrzeć się o lirykę („Idzie jesień, liście na dozorze żółkną”). Z ust do ust podawano sobie również ten cytat z pana M/M: „Już Leonardo da Vinci – wielki mistrz rekonesansu…” [48].

Czysta poezja, tylko czerpać jak ze źródła! Jak już zostało wspomniane, korzystali z tego zdroju filmowcy. „*Pułkownik Kwiatkowski* w reżyserii Kazimierza Kutza składa się po części z obserwacji takich frontowszczyków jak Omelan, Kurdaś, Rżysko, Matuszczyk czy Kuźma” [49] – ujawnił Marek Kondrat.

Ostatni z wymienionych wsławił się takim oto incydentem: „Wszedł do sali wykładowej i bez zbędnych wstępów zapytał: »Kto w kiblu napisał major Kuźma jest chuj? Nie ma odważnego celem przyznania się? To ja wam zrobię niespodziewankę. Pierwsza niespodziewanka – wyjąć kartki. Druga niespodziewanka – wyjąć ołówki. Trzecia niespodziewanka – napisać major Kuźma

baza ebooków

jest… Czwarta niespodziewanka – zebrać kartki. Ja to oddam do grafomana i będzie wiadomym, któż to tak popisał się«” [50].

Pułkownik Omelan

Z ekipy wymienionej przez Marka Kondrata grzechem byłoby nie zatrzymać się również przy postaci pułkownika Włodzimierza Omelana (1923–1978).

„O pułkowniku Omelanie krążą do dzisiaj anegdoty wśród absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych” – wspominała stryja Renata Omelan. „Wykłady w Studium Wojskowym UW były przez Niego prowadzone wierszem i z nieprzeciętnym poczuciem humoru. Jego sławne powiedzenia: »Ej, wy dwaj, coście za jeden?« albo: »Miała nas mama trzech synów, wszyscy chłopy jak dęby« (sto sześćdziesiąt centymetrów) oraz frazę z frontowych wspomnień »Jedziemy sobie drogą Goeringa – szosa prosta jak strzała wiła się między drzewami« – przytaczano niedawno w prasie oraz na różnych blogach wśród Jego byłych studentów, a dzisiaj literatów, dziennikarzy, reżyserów, aktorów, generałów, profesorów” [51].

Zacytujmy zatem kilka osób, które charakteryzują pułkownika Omelana.

Dziennikarz Wojciech Markiewicz: „Absolwenci każdego rocznika UW od lat pięćdziesiątych po osiemdziesiąte twierdzą, że słyszeli na własne uszy opowieść pułkownika Omelana o tym, jak został dowódcą plutonu: »Działo się to w czasie działań drugiej wojny światowej. Pewnego razu siedzimy sobie w okopie pod kulami. Wtem dowódca mówi mi: ‘Omelan, wyjrzyjcie no, sprawdźcie, co tam dzieje się na przedpolu’. To ja mu na to: ‘Sami sobie, obywatelu plutonowy, wyjrzyjcie’. No i on wyjrzał. W ten sposób zostałem dowódcą plutonu«” [52].

Pisarz Antoni Libera: „W niepojęty sposób pułkownik Omelan tworzył na poczekaniu małe dzieła. Na przykład ten dadaistyczny wiersz, wspomnienie z czasów wojny, prawdziwa etiuda składająca się z sześciu słów, brzmiała tak: »Lece, pędze, granat. Padam, macam, są«. Chodziło o jądra” [53].

Ponownie Wojciech Markiewicz: „Prowadząc wykład (terenoznawstwo), Omelan często używał przerywnika – coraz prędzej wypowiadanego zdania: »I co, kto wie, ręka do góry, nikt nie wie…« Na przykład: »Noc. Front. Jadę na rowerze po nasypie. Z jednej strony nasi, z drugiej Niemcy. Zachciało mi się lać. Odstawiam rower, odchodzę, leję. Wracam – icoktowierękadogóryniktniewie – roweru nie ma. Do dziś nie wiem, którzy mi go podp…«” [54].

Antropolog Ludwik Stomma: „Od pułkownika Omelana dowiedziałem się (…), czym różni się działo od czołgu. Otóż działo stoi w miejscu, a czołg przemieszcza się w przestrzeni. Pułkownik Omelan był zdecydowanym zwolennikiem czołgów: »Bo widzicie, jak artylerii zabraknie amunicji, to syf i beznadzieja. Czołg w takim

baza ebooków

przypadku też strzelać nie da rady, ale zawsze może jeszcze dopaść i rozjechać wroga. A jak już weźmie go pod gąsienice i zakręci się w kółko, tylko mokra plama zostanie«” [55].

Aleksander Fisz, Polak z Kanady: „Dobrze pamiętam pułkownika Omelana ze studium wojskowego. Pułkownik Omelan urządzał studentom klasówki, gdzie człowiek miał dwie minuty na rozwiązanie dwóch zadań, na przykład: Obliczyć odległość do drzewa, jeśli na linijce, wyciągniętej na długość ręki, drzewo zajmuje jeden centymetr. Prawidłowa odpowiedź: tysiąc metrów” [56].

Wyzwaniem latryna

Nie lada łamigłówki rozwiązywał w studium wojskowym również Jan Lityński.

– Mieliśmy zajęcia z tak zwanego przelicznika artyleryjskiego – wspominał polityk. – Raz postanowiłem pójść do biblioteki, żeby się tego pouczyć. Wypożyczyłem książkę, otworzyłem pierwszą stronę i stwierdziłem, że zagadnienie przewyższa moje możliwości. Znudziło mnie to. Z naszego, studenckiego punktu widzenia ta wiedza była bezsensowna. Ale dla wojskowych stanowiła oczywiście poważną dziedzinę, użyteczną na polu walki. Przelicznik był analogową maszyną służącą do skomplikowanych obliczeń. Wprowadzało się do niej dane samolotu nieprzyjaciela – jego prędkość i wysokość. Przelicznik ustawiał pod odpowiednim kątem armatę, żeby pocisk trafił w samolot, a nie obok. Dziś są zupełnie inne, cyfrowe urządzenia, o wiele sprawniejsze i skuteczniejsze.

Jan Lityński zaliczył dwa obowiązkowe wyjazdy na obóz wojskowy. Pierwszy był w Gołdapi, drugi na poligonie w Wicku Morskim. – W Gołdapi mieliśmy dowódcę ze szkoły podoficerskiej – opowiadał Lityński. – Niektórzy z podoficerów to byli bardzo równi chłopcy, ale zdarzali się też typowi zupacy (zupak – pogardliwa nazwa zawodowego podoficera – J.K.). Pod koniec szkolenia wypełniliśmy ankietę, którą zatytułowaliśmy *Największy chuj na obozie*. Wybrany został jeden kapral, chociaż – moim zdaniem – niesprawiedliwie. Był bardzo nierówny, ale w gruncie rzeczy dosyć miły i dowcipny. Podoficerowie, którzy byli na obozie, znali wyniki ankiety. Nawet byli zadowoleni, że znaleźli się na szóstym miejscu, a nie na pierwszym.

Lityński popadł w konflikt z pewnym kapralem. – Ciągle byłem z nim w zwarciu, dlatego lubił mi wyznaczać karę polegającą na obieganiu pododdziału. Oddział szedł w szyku marszowym, a ja musiałem go obiec dziesięć czy piętnaście razy dookoła. Ale gdy się ma dwadzieścia lat, takie rzeczy nie są trudne.

Większe wyzwanie stanowiła latryna. – Dla człowieka, który przyzwyczajony jest do korzystania z toalety, pomieszczenie, w którym obok siebie są deski i dziury, było przeżyciem – przyznawał Lityński. – Trzeba było coś w sobie

baza ebooków

przełamać, żeby korzystać z takiej „toalety”. Innych problemów z higieną raczej nie było.

Moment inicjacji

Po trzech tygodniach obozowych doświadczeń nadszedł dzień przysięgi. Uroczystość, a po niej upragniona przepustka. To dopiero było przeżycie! Wtedy człowiek zachowuje się jak normalne wojsko: chodzi do knajpy na wino, podrywa dziewczyny. Ale radości towarzyszy też tłumiony niesmak. – Już wtedy angażowałem się w opozycji, dlatego rota ówczesnej przysięgi wojskowej stanowiła dla mnie pewien problem – przyznawał Lityński. – Można było coś opuścić po cichu, żeby nie klepać tych kretynizmów, ale trzeba było przez to przejść. W latach siedemdziesiątych były już pomysły, że się odmawia służby wojskowej. Ale w moich czasach nikomu to do głowy nie przychodziło. Jeśli ktoś chciał uniknąć służby, usiłował sobie załatwić kategorię D.

Lityński nawet tego nie próbował. Miał przekonanie, że uciekanie przed służbą wojskową to dyshonor. Uważał, że trzeba być jak inni. Że przy całym braku szacunku dla peerelowskiego wojska, nie należy go unikać. Można się opieprzać w studium wojskowym, ale jak jest się zdolnym do wojska, trzeba to przejść.

– Kiedy dostałem kategorię A, mama się wzruszyła, że wychowała mnie na zdrowego człowieka, zdolnego do służby wojskowej – opowiadał Lityński. – Przyjechała do Gołdapi na moją przysięgę. To dla mężczyzny moment swego rodzaju inicjacji, istotny element dojrzewania. Nawet jeśli były tam słowa śmieszne, czy obrzydliwe. Przy całym sceptycyzmie i dystansie do tej chwili, fakt, że się dostało belkę, też był rodzajem przeżycia.

Co wy, chuju, wiecie o życiu?

Na kolejnym obozie wojskowym, w Wicku Morskim, studentom wydano kałasznikowy. Bojowe, choć bez ostrych naboi. Każdy miał swój stojak w magazynie, gdzie trzymał karabin. Po ćwiczeniach trzeba było broń czyścić. Jan Lityński miał niezłe wyniki w strzelaniu, nieco powyżej średniej.

– Wstawaliśmy o szóstej rano, potem przebieżka, gimnastyka – zapamiętał. – A potem zazwyczaj bardzo męczące ćwiczenia w polu. Co pewien czas byliśmy też kierowani do prac kuchennych, jak obieranie ziemniaków. Z czasem nauczyłem się unikać nadmiaru zajęć. Sztukę obijania się doprowadziłem do perfekcji. Umiałem zawsze znaleźć się w miejscu, w którym miałem mało roboty. Może nie było to bardzo koleżeńskie, bo przecież inni musieli wtedy pracować za mnie, lecz takie zadanie sobie postawiłem.

baza ebooków

– Obóz wojskowy był dla nas trochę stratą czasu, a trochę zabawą – oceniał. – Pamiętam jak znany dziś fizyk, Jurek Zawadzki, miał wartę nocną. Był z nami kapitan Wołyński, bardzo barwna postać, z którym niekiedy graliśmy w brydża. Właściwie dzięki temu gładko przeszedłem egzamin, bo kapitan mi pomógł przy zdawaniu z armaty. I właśnie kapitan Wołyński, jako oficer dyżurny, pojawił się kiedyś, gdy wartę miał Jurek. Wchodzą razem do namiotu, a tam jeden z żołnierzy-studentów śpi z głową włożoną w poduszkę. Kapitan dziwi się i mówi, że przecież gdyby tu były piece, to ten żołnierz by się udusił. Jurek na to, że przecież tu nie ma pieców kaflowych. Wtedy Wołyński popatrzył na niego z politowaniem: „Co wy, chuju, wiecie o życiu?”.

Jak przyznawał Lityński, ludowe wojsko, zwłaszcza to „studenckie”, było rozlazłe i źle zorganizowane. Dyscyplina była tylko na pokaz, ciągle się coś psuło, nikomu na niczym nie zależało. Jak to w PRL-u…

– Kiedy byliśmy na drugim obozie, na ostatnich kilka dni przejechaliśmy z Gołdapi do Olsztyna, gdzie mieliśmy zajęcia i egzaminy – relacjonował Lityński. – Mój kolega miał rodzinę w Olsztynie, więc wieczorem uciekaliśmy przez dziurę w płocie. A potem okazało się, że można spokojnie przejść koło wartownika i nikt nie zatrzymuje. To, co nasz dystans potęgowało, to peerelowska rozlazłość. Podczas strzelania za pomocą armat i przelicznika, nagle agregat stanął i przelicznik przestał działać. Tymczasem na ćwiczeniach był jakiś ważny generał… Wszystko było wówczas podłej jakości. Niedawno byłem na tym samym poligonie w Wicku Morskim i widzę, że dziś to już zupełnie inne wojsko: sprawne, wyszkolone, zawodowe. Na nich z przyjemnością się patrzyło, widać, że fachowcy wysokiej klasy.

To trzeba przejść

Jan Lityński dosłużył się w wojsku stopnia kaprala podchorążego, ale w latach siedemdziesiątych został zdegradowany. W demokratycznej Polsce stopień przywrócił mu minister obrony Bronisław Komorowski, późniejszy prezydent Rzeczypospolitej.

Po szkoleniu Lityński nie miał już kontaktu ze służbą wojskową. W 1967 skończył studium wojskowe, a w następnym roku dostał wyrok więzienia za wystąpienia marcowe.

– Dla wojska znalazłem się w kategorii archiwalnej, niczym zmarły – śmiał się Lityński. – Choć Jacek Kuroń, który był porucznikiem i też został zdegradowany, w 1976 roku dostał wezwanie na trzy miesiące na ćwiczenia. Od sierpnia do października siedział w jednostce, nic nie robił. We wrześniu dostał przepustkę

baza ebooków

i wtedy powstał Komitet Obrony Robotników (KOR). Ale Jacek musiał wrócić do jednostki.

– W sumie po szkoleniu wojskowym pozostały mi pozytywne wrażenia – oceniał Lityński. – Przy całym rozlazłym wojsku, niezdolnym do niczego, przekonanie się na własnej skórze, czym to się je, było ciekawe. Studium było męczące i nudne. Natomiast obozy wojskowe stanowiły ważne przeżycie, uczyły współpracy z innymi. To wojsko było śmieszne, ale dla chłopaka, czy mężczyzny jest zawsze czymś, co trzeba przejść.

Jan Lityński

Drobny, ruchliwy, szybko mówiący. Zawsze otwarty i przystępny, za co cenili go sejmowi dziennikarze. Polityka była mu przeznaczona. Wdepnął w nią nieświadomie już jako mały brzdąc. Polska Kronika Filmowa uwieczniła moment, gdy dwudziestego drugiego lipca 1952 roku kilkuletni Jaś podczas Narodowego Święta Odrodzenia Polski wręczał kwiaty Bolesławowi Bierutowi. Scenę tę po latach próbowali wykorzystać polityczni przeciwnicy Jana Lityńskiego, zarówno komuniści, jak późniejsi rywale. Natomiast wydarzeniem, które rzeczywiście go uformowało, był Marzec 1968 roku. Lityński należał do opozycyjnego środowiska tak zwanych komandosów, gdzie prym wiedli Adam Michnik, Jacek Kuroń i Karol Modzelewski. Udział w protestach studenckich skończył się dla niego więzieniem na Rakowieckiej i w Strzelcach Opolskich. Wyszedł na wolność na mocy amnestii w 1969 roku. Pracował jako robotnik, a później programista komputerowy. Nieprzerwanie działał w opozycji (KOR, „Solidarność"), za co był wielokrotnie więziony. W stanie wojennym internowany, a następnie aresztowany i oskarżony o próbę „siłowego obalenia ustroju PRL". Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W Trzeciej Rzeczypospolitej przez cztery kadencje był posłem – Komitetu Obywatelskiego „Solidarność", Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego. Zginął tragicznie dwudziestego pierwszego lutego 2021 roku. Utonął w Narwi w okolicach Pułtuska. Próbował ratować swego psa, pod którym załamał się lód.

baza ebooków

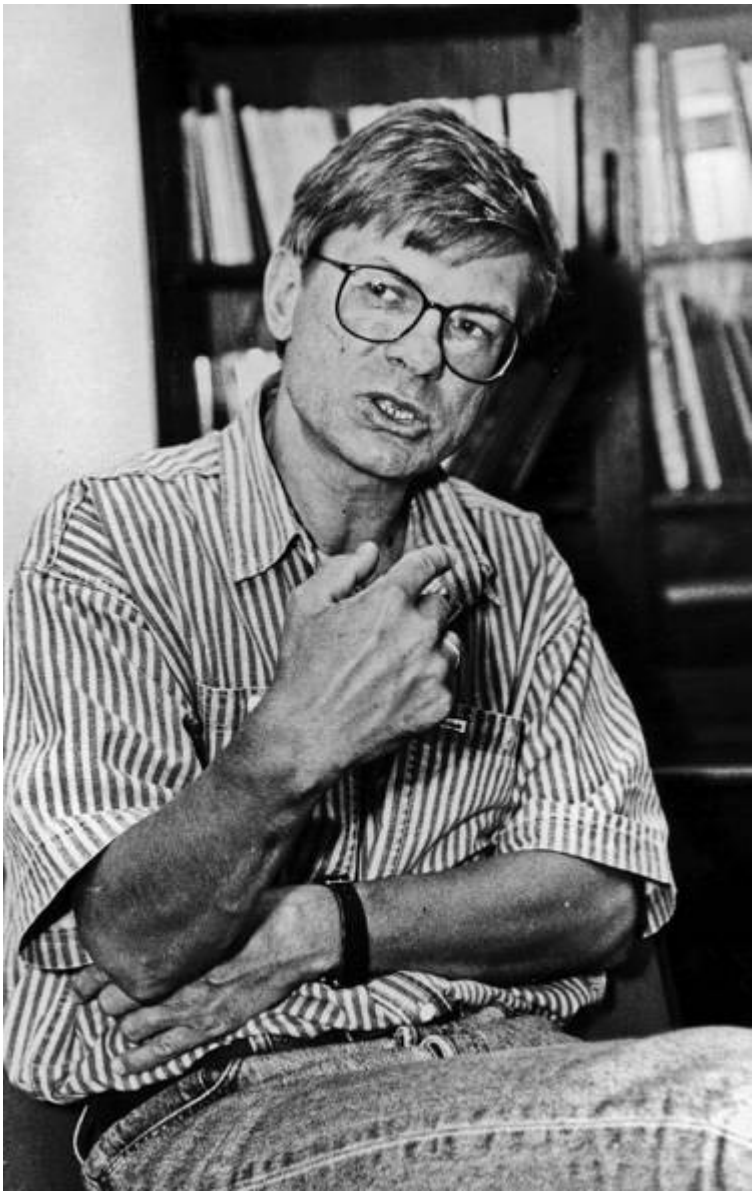

baza ebooków

Rozdział 8

Poborowy Andrzej Celiński, rocznik 1950, kategoria D

– Czułem się zniewolony, byłem chory z tego powodu. Dlatego tym bardziej nienawidziłem ludzi reprezentujących zniewalający mnie system. Miałem poczucie, że nic mnie z nimi nie łączy. Komisja poborowa to był namacalny, fizyczny dowód, że mam rację, nienawidząc ich – opowiada Andrzej Celiński. Syn oficera Armii Krajowej, opozycjonista, hipis, abnegat. Miał alergię na PRL i gardził wojskiem.

Andrzeja Celińskiego poznałem w 1992 roku. Spotkaliśmy się w jego biurze w Płocku. Byłem początkującym dziennikarzem, a Celiński znanym politykiem, senatorem Unii Demokratycznej. Represjonowany w PRL-u działacz KOR-u i „Solidarności", współpracownik Lecha Wałęsy, uczestnik rozmów Okrągłego Stołu. Ale zaciekawił mnie z innego powodu. Sprowadził do Płocka fabrykę kultowych dżinsów Levi Strauss. To był na owe czasy fenomen. W Polsce szalało bezrobocie, a amerykański inwestor dał ludziom pracę przy produkcji markowych spodni, które dawniej można było kupić wyłącznie za dolary w Peweksie. Do Płocka po tańsze dżinsy z firmowego sklepu przyjeżdżały wycieczki z całego kraju. Gdy w odrodzonej Polsce politycy skakali sobie do gardeł, Celiński pokazał, że można inaczej.

„Tak, tym wszystkim facetom o gębach pełnych frazesów i sieczce w mózgu chcę udowodnić, że można likwidować bezrobocie przez nowe inwestycje, że można mieć kapitał zagraniczny, że kapitał zagraniczny to nie jest wykupywanie Polski. Ale ja nie będę tego ludziom udowadniał, kłapiąc dziobem w telewizji, prasie itd. Ja to będę udowadniał, odnosząc sukces tam, u siebie, w Płocku. Przez konkretne inwestycje dla określonej społeczności, dla tych, co mnie wybrali" [57] – mówił wtedy.

Po latach rozmawiamy w nowocześnie urządzonym mieszkaniu Andrzeja Celińskiego w apartamentowcu na warszawskim Służewcu. Gospodarz częstuje

baza ebooków

mocną herbatą z sokiem malinowym. Do słodkiego naparu sypie sobie jeszcze kilka łyżeczek cukru. Drugą część rozmowy prowadzimy w samochodzie. Celiński trzyma kierownicę, ja dyktafon. Jedziemy Trasą Łazienkowską do kogoś, komu Celiński chce przekazać przesyłkę dla syna w Brukseli. Mówi o nim tajemniczo, że zajmuje się „obronnością".

Po prostu obrzydlistwo

Cofamy się do czasów, kiedy młodemu Andrzejowi Celińskiemu nawet się nie śniło, że kiedyś zostanie senatorem, posłem, ministrem kultury demokratycznej Polski. Jako nastolatek był harcerzem w warszawskiej Czarnej Jedynce – niepokornej drużynie przy liceum ogólnokształcącym imienia Tadeusza Reytana. Przewinęło się przez nią wiele znanych postaci, między innymi Ludwik Dorn, Janusz Korwin-Mikke, Janusz Onyszkiewicz, Antoni Macierewicz, Piotr Naimski. Członkowie drużyny mieli mundury, nosili do nich charakterystyczne czarne chusty. Harcerstwo i skauting zawsze i wszędzie kojarzą się z wojskiem. Ale w PRL-u to skojarzenie nie było dla harcerzy pozytywne. Druh Andrzej i jego koledzy z Czarnej Jedynki widzieli w komunistycznej armii symbol opresji i zniewolenia.

– Dla mnie wojsko było zbrodnicze – wspomina Andrzej Celiński. – Jakim upokorzeniem była już choćby komisja wojskowa! Chodziłem do szkoły średniej, chyba do jedenastej klasy. Przed komisją kazali nam się rozbierać. A poza mężczyznami była tam około czterdziestoletnia pielęgniarka. Ja z natury jestem bardzo „odyńcowaty". Nienawidzę cielesnego kontaktu z innymi ludźmi. To jest biologiczne, po prostu tego nie znoszę. Dla mnie jazda zatłoczonym autobusem to katorga. Dlatego stawanie przed komisją poborową było dla mnie niezwykle upokarzające. Rozbieranie się w tej zimnej sali, zaglądanie w majtki, czy się ma siusiaka w porządku… Obrzydlistwo, po prostu obrzydlistwo! W całej tej procedurze nie było żadnej intymności. Konieczność podporządkowania się takiej sytuacji odebrałem jako świadome poniewieranie mojej godności.

Student marcowy

Ponownie zderzył się z wojskiem podczas studiów (kierunek – socjologia). Po drodze uczestniczył w wydarzeniach, które ukształtowały jego środowisko i przeszły do historii walki o demokrację w Polsce.

– Byłem tak zwanym studentem marcowym – przypomina Andrzej Celiński. – Zaczynałem studia na Uniwersytecie Warszawskim w 1967 roku, a w marcu 1968 roku mnie wyrzucono. Poszedłem na Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie nie

baza ebooków

było studium wojskowego. Na UW wróciłem w lutym 1969 roku, razem z jedenastoma osobami, które w pierwszej transzy przywrócono na studia w Warszawie. Dopiero wtedy trafiłem do obowiązkowego studium wojskowego. Atmosfera była gęsta. W oparach absurdu można było zawiesić haubicę.

„Po Marcu 1968 roku w studium wymieniono część kadry", wyjaśniał Wojciech Markiewicz. „Ze sztabu generalnego przyszedł na przykład oficer, który nie wymawiał »y« – pamięć o jego nazwisku niestety zaginęła – i przedstawiał się mniej więcej tak: »Ja jestem jeszcze człowiek młodi i jędrni. Ja mam właśni stil wikładu. Na przikład zamiast owijać w bawełnę ja mówię krótko: jak nie zgracie instrumentów celowniczich, to ni chuj, ni dupa«" [58].

Marzec 1968 to jeden z „polskich miesięcy" naznaczonych protestami społecznymi przeciw komunistycznej władzy. Czerwiec 1956, Marzec 1968, Grudzień 1970, Sierpień 1980. Pod każdą z tych dat kryją się wydarzenia, które wstrząsnęły PRL-em.

Ósmego marca 1968 roku na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego zebrało się kilka tysięcy studentów. Stanęli w obronie kolegów, Adama Michnika i Henryka Szlajfera, których usunięto z uczelni. Przyczyną represji był udział w proteście przeciwko zakazowi wystawiania *Dziadów* Adama Mickiewicza w Teatrze Narodowym. „*Dziady* wbijają nóż w plecy przyjaźni polsko-radzieckiej" [59] – grzmiał ówczesny pierwszy sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka. Uczestnicy pokojowego wiecu zostali zaatakowani przez milicję i rzekomy „aktyw robotniczy", czyli uzbrojonych w pałki cywilnych osiłków.

Fala sprzeciwu rozlała się po kraju. Rządzący brutalnie pacyfikowali studenckie wystąpienia w Gdańsku, Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Katowicach i Gliwicach. Zatrzymano ponad dwa i pół tysiąca uczestników protestów. Wielu studentów relegowano z uczelni, a setki wcielono karnie do wojska. Jednocześnie w PZPR toczyła się walka konkurencyjnych frakcji. Dla wewnętrznych przetasowań wywołano nagonkę antysemicką. W rezultacie prześladowań i nacisków ponad trzynaście tysięcy obywateli pochodzenia żydowskiego zmuszono do emigracji.

Andrzej Celiński zawsze był wolnym człowiekiem, a po Marcu jeszcze bardziej odczuwał potrzebę wolności. – Dlatego moja obecność na zajęciach wojskowych była wyjątkowo dziwnym zjawiskiem. Kompletnie do nich nie przystawałem. Do tego stopnia czułem się wyalienowany, że nawet za bardzo jaj sobie nie robiłem.

Miał dziewiętnaście lat i wojsko absolutnie go nie interesowało. Jeden dzień w tygodniu musiał jednak spędzać w ponurych barakach na warszawskim Czerniakowie, gdzie mieściło się studium. Okolica była historycznie wojskowa, o czym przypominały nazwy pobliskich ulic pochodzące jeszcze z czasów Drugiej Rzeczypospolitej. Przy ulicy Szwoleżerów stacjonował niegdyś 1 Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Ulice 29 Listopada i Podchorążych nazwano ku

baza ebooków

czci elewów Szkoły Podchorążych Piechoty z niedalekich Łazienek, którzy atakiem na Belweder rozpoczęli Powstanie Listopadowe. Elewami dawniej nazywano żołnierzy kształcących się na podoficerów, dziś elew to przyszły szeregowy podczas służby przygotowawczej. Obecnie w Wojsku Polskim w rocznicę wybuchu powstania obchodzony jest Dzień Podchorążego. Podchorążym przewodził podporucznik Piotr Wysocki. Dwudziestego dziewiątego listopada 1830 roku przerwał zajęcia z taktyki i wygłosił mowę: „Polacy! Wybiła godzina zemsty. Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba! Idźmy, a piersi wasze niech będą Termopilami dla wrogów” [60].

Żołd na Czerniakowie. W latach osiemdziesiątych, gdy studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim, studium wojskowe znajdowało się przy ulicy Żwirki i Wigury. Niedaleko wielkiego szpitala klinicznego przy ulicy Banacha na warszawskiej Ochocie. Jeździliśmy tam przez rok w każdy czwartek. Natomiast historyczne tereny Czerniakowa wojsko przybliżyło mi kilkadziesiąt lat później. Zostałem wezwany, jako kapral podchorąży, na szkolenie rezerwy w bazie 10 Pułku Samochodowego przy ulicy 29 Listopada. Na czas ćwiczeń dostałem buty, mundur, pas i czapkę. Nocowałem we własnym domu, ale przez tydzień codziennie musiałem meldować się w jednostce. Przebierałem się w mundur, stawałem w dwuszeregu i maszerowałem na zajęcia. Trochę musztry, strzelania z KBK AK, rozbierania i składania broni, pierwszej pomocy medycznej. I dużo teorii (taktyka pola walki i temu podobne), od której kleiły się oczy. Dostawałem całodniowe wyżywienie, a na koniec „turnusu” wypłacono mi żołd. Zawodowo.

Andrzej Celiński też miał zajęcia z taktyki, ale poza ziewaniem mogły one wywołać jedynie uczucie absurdu. – Na pierwsze zajęcia przyszedł jakiś major i czytał listę obecności – zapamiętał. – W sali byli studenci socjologii z mojego roku i jacyś z Instytutu Nauk Politycznych (INP). Nawiasem mówiąc, INP dopiero powstał i wszyscy wiedzieliśmy, że miał być przyłączony do Wydziału Socjologii po to, żeby ten wydział spacyfikować. Socjologia i filozofia były praktycznie bezpartyjne, a INP miał tworzyć kuźnię młodych, partyjnych kadr. I rzeczywiście oni byli nieco inni, działali w jakichś młodzieżowych organizacjach i byli w to bardzo zaangażowani. A myśmy ich olewali. Ale mniejsza z tym.

Czarna reakcja, Kliszko i Jeruzalski

– Więc na tych pierwszych zajęciach major odczytuje listę obecności – wraca do wątku Celiński. – Akurat nasze nazwiska, z socjologii. I czyta: Henryk Kliszko. To był bardzo porządny chłopak, prawdziwy komunista. Członek ZMS-u (Związku

baza ebooków

Młodzieży Socjalistycznej – przypis J.K.), ale był w tym związku kontestatorem, bo miał większość jego członków za łże-komunistów. Uważał, że zamiast budować komunizm, robią kariery. Chociaż socjologia była raczej opozycyjnym wydziałem, a on był walczącym komunistą, mnie akurat bardzo lubił. Mieszkaliśmy niedaleko siebie, więc często wracaliśmy z zajęć pieszo do domu. I toczyliśmy ideologiczne debaty. Byłem absolutnie czarną reakcją, niczym się wówczas nie różniłem od Macierewicza. Więc ja – czarna reakcja, a Henio – komunista, ale uczciwy, taki, który nie donosi. Kłóciliśmy się ze sobą, ale nigdy z tego powodu nic złego mi się nie stało.

Celiński wspomina dalej: – No więc major czyta: Henryk Kliszko. Henio wstaje, a major pyta: „Czy wy jesteście może kuzynem Zenona Kliszki?”. Na to Henio, który był nieprawdopodobnie uczciwy, walczył zawsze z przywilejami, wszelką nierównością i niesprawiedliwością, mówi: „Nie, nic mnie z nim nie łączy”. Ale to nie była prawda, bo był jego stryjecznym wnukiem. Major dalej czyta listę: „Andrzej Jaruzelski”. W rzeczywistości to był Andrzej Jeruzalski, porządny zgrywus, nieźle się na studiach bawił. Oczywiście, major zapytał go: „Czy wy jesteście może kuzynem generała?”. A on mówi: „Tak, ale nie bliskim”.

Zenon Kliszko (1908–1989) – przedwojenny komunista, w powstaniu warszawskim podporucznik Armii Ludowej. W pierwszych latach Polski Ludowej działacz Polskiej Partii Robotniczej (PPR). W 1948 roku usunięty z partii za tak zwane „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”, więziony w latach 1953–1954. Wrócił do łask po politycznej „odwilży” 1956 roku. Był między innymi członkiem Biura Politycznego KC PZPR, wicemarszałkiem Sejmu, wiceministrem sprawiedliwości. Należał do najbliższych współpracowników pierwszego sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki. To on nakłonił Gomułkę do zdjęcia *Dziadów* z afisza Teatru Narodowego, co doprowadziło do protestów studenckich i czystki antysemickiej w marcu 1968 roku. W grudniu 1970 roku kierował krwawą akcją stłumienia przez wojsko i milicję protestów robotniczych na Wybrzeżu. Mówił wtedy: „Mamy do czynienia z kontrrewolucją i nieważne jest, że zginie dwustu czy więcej stoczniowców. Stocznia zostanie zburzona, a na gruzach starej zbudujemy nową” [61]. Po przejęciu władzy przez ekipę Edwarda Gierka został usunięty z kierownictwa PZPR i władz państwowych.

– Na szkoleniu wojskowym byłem tylko kilka miesięcy, bo potem mnie wyrzucili – kontynuuje Andrzej Celiński. – Ale koledzy mi opowiadali, że przez wszystkie cztery lata studiów Jeruzalski leżał do góry brzuchem, nic nie robił, natomiast Kliszko regularnie dostawał w dupę. Po prostu oficerowie, jeśli mogli bezkarnie przypieprzyć człowiekowi o nazwisku Kliszko, chętnie z tego korzystali. Henio

baza ebooków

oczywiście nic z tym nie zrobił, bo był wyjątkowo uczciwy. Ten jego komunizm był tak śmieszny, że trudno było znaleźć rzecz śmieszniejszą.

Buntownik, hipis, abnegat

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Andrzej Celiński był, jak mówi, „takim trochę hipisem". „W temacie służba wojskowa ówczesna młodzież męska miała własne przekonania, niezbyt przychylne zakładaniu kamaszy" – przywołuje atmosferę tamtych lat Pepe Piasecki. „Wpływały na to poglądy hipisów, pacyfistów i sytuacja polityczna (Wietnam)" [62].

Celiński kontestował realia PRL-u, mieszkał w komunie ze starszym od siebie koleżeństwem. – To było bardzo duże, wielopokojowe mieszkanie w Warszawie – wspomina. – W starym, przedwojennym domu, między Placem Narutowicza a ulicą Wawelską. W każdym pokoju mieszkał kto inny, niektórzy mieszkali parami. W środku był ciemny hol, bez okien, w którym stał wielki stół. Na stole ciągle paliły się świece – tam było nasze miejsce spotkań. Wspólne były jeszcze kuchnia, łazienka i toaleta. Wspólnie kupowaliśmy wino. Chyba mieliśmy też wspólną kasę na jedzenie, bo pamiętam, że wszyscy razem przygotowywaliśmy kolację. Stół był cały ubrudzony woskiem, który kapał ze świec ustawionych na butelkach po winie. Tam w ogóle był straszny burdel, wszędzie walały się stare butelki. Ale ludzie, z którymi mieszkałem, byli bardzo ciekawi. Jednym z nich był brat Teresy Boguckiej, Michał Bogucki. Mówiliśmy na niego Miszka, bo był prawosławny. To był bardzo interesujący człowiek, malował obrazy. Mieszkał tam też Jura, czyli Jerzy Kamiński, ze swoją dziewczyną Ingą. On był rusycystą, wyjechał potem do Szwecji i stamtąd wyemigrował dalej. Różni ludzie przychodzili też do nas w gości. Z takich bardziej znanych – Yoshiho Umeda.

Warto zatrzymać się przy wymienionych przez Celińskiego postaciach. Yoshiho Umeda (1949–2012) to Japończyk w służbie „Solidarności". Miał czternaście lat, gdy trafił do naszego kraju. Stało się to za sprawą jego ojca, zakochanego w Polsce przedwojennego ambasadora Japonii w Warszawie. Yoshiho (po polsku – Józef) skończył liceum w Łodzi, a potem studiował filologię polską i historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Po marcu 1968 roku wspomagał represjonowanych studentów. Później zaangażował się w opozycyjną działalność KOR-u, sprowadzał z Japonii sprzęt dla nielegalnych drukarni. Działał również w „Solidarności", zorganizował wizytę Lecha Wałęsy w Japonii, współtworzył związkowe radio. W stanie wojennym deportowany z kraju. Wrócił w 1989 roku, obserwował obrady Okrągłego Stołu. W Polsce założył rodzinę, był przedsiębiorcą, autorem publikacji dotyczących ekologii.

baza ebooków

Inny bywalec komuny na warszawskiej Ochocie, Michał Bogucki (urodzony w 1946 roku), to absolwent ASP w Warszawie, wszechstronny artysta. Malarz abstrakcjonista, performer, autor polichromii i ikon, projektant witraży i wnętrz kościelnych, scenograf i komisarz wystaw. Uczestnik międzynarodowych festiwali sztuki, jego prace były prezentowane w polskich i zagranicznych galeriach. W stanie wojennym był animatorem niezależnych przedsięwzięć artystycznych. Jego siostra, Teresa Bogucka (urodzona w 1945 roku), to dziennikarka i pisarka, działaczka opozycji demokratycznej w PRL-u. Uczestniczyła w protestach studenckich Marca 1968, następnie współpracowniczka KOR-u. „Wiedzieliśmy, że nie zmienimy PRL-u, póki istnieje Związek Radziecki, ale chcieliśmy go choć trochę poprawić, bo przecież mieliśmy w nim spędzić całe życie” [63] – mówiła. Zatrzymywana i skazywana na więzienie. Kolporterka nielegalnych wydawnictw. W stanie wojennym internowana w Ośrodku Odosobnienia w Jaworzu.

Andrzej Celiński należał do grona buntowników i wyglądał jak buntownik. – Byłem abnegatem – opisuje swój ówczesny wygląd, jakże nieprzystający do wojskowego drylu. – Moje ubranie to był jeden czarny sweter, jedne czarne spodnie, dwie koszule flanelowe. Czasem się to prało, czasem nie. Włosy miałem bardzo długie i gęste, do ramion, i na dodatek kręciły się. Opowiadam o tym, żeby pan wiedział, że chodziłem niezbyt starannie ubrany. A w studium wojskowym trzeba było być w mundurze. Dostałem za duży płaszcz, za duże buty. Jak to w wojsku, mundury leżały na ławach i każdy brał jak leci. Niektórzy próbowali je potem dopasowywać, żeby lepiej leżały. Nawet do krawca z nimi chodzili, ale ja, z moimi poglądami, uważałem, że takie pomysły są z pogranicza choroby psychicznej.

Plaster na buty

Całość militarnego odzienia studentów stanowiły spodnie i bluza z drelichu, podkoszulek, szynel, bawełniane rękawiczki. Na nogach buty wojskowe ze skórzaną obejmą, zapinane z boku na dwie sprzączki. Andrzej Celiński dość szybko pozbył się tego ekwipunku, do czego jeszcze wrócimy. Ale na przykład jego brat Wojciech (zmarły w 2024 roku), który w 1972 roku ukończył Akademię Medyczną w Warszawie, musiał trzymać mundur w szafie całymi latami. Jeździł w nim na przymusowe obozy wojskowe. Wzywano go na ćwiczenia również po studiach. Wojciech, podobnie jak Andrzej, kontestował PRL. Był współorganizatorem strajku studentów Akademii Medycznej podczas wydarzeń Marca 1968. Zapłacił za to czteromiesięcznym pobytem w mokotowskim więzieniu na Rakowieckiej. Działał potem w opozycji demokratycznej. Współpracownik KOR-u, delegat na I Krajowy Zjazd „Solidarności”, internowany w stanie wojennym. A jednak w wojsku był

baza ebooków

porucznikiem. Nie ma w tym nic dziwnego, bo armie całego świata potrzebują lekarzy, zwłaszcza chirurgów. – Chirurdzy w wojsku to w ogóle arystokracja – zauważa Andrzej Celiński.

Przy okazji warto zaznaczyć, że wojsko korzystało z kadry medycznej obu płci. Panie również były umundurowane, a niektóre części militarnej garderoby sprawiały kłopot. „Przez wszystkie lata studiów jeden dzień w tygodniu przypadał na wojsko", wspominała neurolog doktor nauk medycznych Krystyna Szyrocka-Szwed. „Każda z nas otrzymała mundur wojskowy, buty, ciężki płaszcz, szalik, rękawice, czapkę, pas i torbę. Mundur wojskowy i czapkę otrzymałyśmy na własność, a resztę, po zakończeniu studium, zdawałyśmy do magazynu. Buty były bardzo porządne, skórzane, wiązane na sznurówki, z podeszwą również skórzaną, ale tak gładką i śliską, że nie sposób było w nich chodzić. Jak sobie radziłyśmy? Gwoździem rysowałyśmy bruzdy poprzeczne na podeszwie, nalepiałyśmy na nią plastry tak, aby zwiększyć przyczepność do podłoża. Dopiero w tak przygotowanych butach, mogłyśmy poruszać się bez ryzyka upadków" [64].

Odlot kompletny

W twórczy sposób podchodził do ekwipunku również Andrzej Celiński. Kiedyś zimą szedł w mundurze przez warszawskie Łazienki. Marzł, więc włożył rękawiczki pod czapkę, żeby służyły za nauszniki. – Takie uszy miałem z tych rękawiczek, wyglądałem jak cocker spaniel – śmieje się. – Dłonie schowałem do rękawów płaszcza jak do mufki, a na podniesionym kołnierzu zawiązałem pstrokaty szalik. Odlot kompletny. W pewnym momencie dostrzegłem, że naprzeciwko mnie idzie jakiś żołnierz. Z daleka nie widziałem dystynkcji. Dopiero gdy się zbliżył – patrzę, a to generał. To był generał Tadeusz Pióro, jeden z najwybitniejszych intelektualistów wojskowych, któremu później strasznie skórę przetrzepano, bo był krytyczny w stosunku do rozmaitych spraw. Był teoretykiem wojska, zajmował się systemem bezpieczeństwa państwa, a nie duperelami jak czołgi czy haubice. Prawdziwy strateg. Poznałem go, bo znałem jego córki i kiedyś nawet byłem u niego w domu. Na mój widok tylko się uśmiechnął. Musiał widzieć nonsens zajęć wojskowych dla takich osobników jak ja.

Tadeusz Pióro (1920–2010). Niepokorny generał. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej ukończył Wołyńską Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim (obecnie zachodnia Ukraina). W trakcie kampanii wrześniowej 1939 roku dostał się do niewoli sowieckiej. W ZSRR zgłosił się do Armii Berlinga. W 1950 roku został absolwentem sowieckiej „szkoły generałów" – Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie. Siedem lat później został generałem brygady. Był

baza ebooków

członkiem Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego, przedstawicielem Sztabu Generalnego LWP w Naczelnym Dowództwie Układu Warszawskiego, szefem sztabu Okręgu Pomorskiego, zastępcą komendanta Akademii Sztabu Generalnego. W 1967 roku podał się do dymisji. Przyczyną miało być wsparcie, jakiego udzielał zwalnianym z wojska oficerom pochodzenia żydowskiego. Zajął się publicystyką i historią wojskowości. W sierpniu 1980 roku dołączył do apelu sześćdziesięciu czterech intelektualistów o podjęcie dialogu ze strajkującymi robotnikami.

Wojskowi, jak ocenia Andrzej Celiński, lepiej traktowali studentów matematyki, fizyki, czy kierunków politechnicznych. Okazywali się na ogół bardziej lotni od słuchaczy szkół wojskowych. Natomiast humaniści, z punktu widzenia obronności, byli dla armii kompletnie nieprzydatni. – Wojskowi może trochę przychylniej patrzyli na ludzi z wydziału prawa czy z medycyny. Mój brat opowiadał, że ich rzeczywiście na wypadek wojny przygotowywali do poważnych ról. On miał być komendantem szpitala polowego pod Kopenhagą. To znaczy miał bić się, nacierać i w końcu rozwinąć szpital polowy pod Kopenhagą. Mnie nie uczyli niczego rozwijać – ubolewa żartobliwie polityk.

Myśl strategiczna Układu Warszawskiego przez dziesięciolecia była niezmienna. Jeszcze w 1989 roku, gdy autor niniejszej książki przechodził obowiązkowe szkolenie w Szkole Podchorążych Rezerwy w Elblągu, pokazywano nam mapy sztabowe, obrazujące ofensywę Ludowego Wojska Polskiego na zachód, wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Jednocześnie przekonywano nas, że to doktryna jak najbardziej obronna. W razie wojny z NATO mieliśmy zająć Danię oraz północną część RFN i Holandii. I to wszystko w jakieś dwa tygodnie. „Była to doktryna wybitnie ofensywna. Sowiecki sztab opracował unowocześnioną wersję *blitzkriegu*” [65] – ocenia historyk Jarosław Pałka.

Zesłanie i degradacja

Na uniwersytecie było oczywiste, zwłaszcza po Marcu, że szkolenie wojskowe ma być kolejnym elementem dyscyplinowania studentów. A jednocześnie, co zauważył Andrzej Celiński, oficerowie ze studium wojskowego mieli kompleksy. Nie chcieli się skompromitować, a wiedzieli, że się z nich robi idiotów. Traktowali swoją pracę jak zło konieczne.

Podobnie było na innych uczelniach. „Generalnie były to »odrzuty«, nieudacznicy, oficerowie bez kwalifikacji, czekający na emeryturę frontowcy czy »podpadziochy«”, pisał Pepe Piasecki o kadrze studium wojskowego stołecznej politechniki. „Jeden z wykładowców taktyki na polu walki doczekiwał emerytury, ucząc przyszłych oficerów rezerwy. Podobno jako dowódca pułku czołgów podczas

baza ebooków

manewrów na poligonie w Żaganiu utopił dwie załogi: ośmiu chłopa. A może to nie było w Żaganiu tylko w Orzyszu i nie utopił tylko zgubił drużynę rowerzystów, też ośmiu chłopa. Ktoś mówił, że nie ośmiu rowerzystów zwiadowców tylko osiem rowerów” [66].

„Oficerowie w studium wojskowym mieli poczucie, że praca tam to zesłanie i degradacja. Mieli nas za kupę obiboków i durniów. My mieliśmy podobne zdanie o nich” [67] – oceniał dziennikarz Marek Przybylik, student geografii na Uniwersytecie Warszawskim w latach 1964–1971.

– Jednym z nielicznych wyjątków był Maksymilian Sznepf – zaznacza Andrzej Celiński. – W 1968 roku został wyrzucony ze stanowiska komendanta studium wojskowego za żydowskie pochodzenie. Miał bardzo dobrą opinię, nie był zupakiem. Gdy kierowano do niego niesfornych studentów, nie wyciągał wobec nich konsekwencji, krył ich. Był na tyle inteligentny, że nikogo nie konfliktował. Dzięki temu miał autorytet zarówno wśród studentów, jak w korpusie. Znam to z opowiadań, bo nigdy nie poznałem Sznepfa osobiście.

Maksymilian Sznepf (1920–2003) – dyplomowany pułkownik, długoletni kierownik studium wojskowego przy Uniwersytecie Warszawskim. Pochodził z Drohobycza na polskich kresach wschodnich (obecnie zachodnia Ukraina). Tereny te zostały we wrześniu 1939 roku zajęte przez ZSRR. Rok później Sznepf dostał powołanie do Armii Czerwonej. Po agresji Niemiec na ZSRR brał udział między innymi w walkach pod Rostowem, był dwukrotnie ranny. W 1943 roku wstąpił do 1 Dywizji imienia Tadeusza Kościuszki i ukończył szkołę oficerską w Sielcach. Przeszedł szlak bojowy od Lenino do Berlina, dowodził drużyną, plutonem i kompanią. „Po wojnie brałem udział w likwidacji band w Białostockim” [68] – napisał w zachowanym życiorysie z 1954 roku.

Maksymilian Sznepf uczestniczył w pacyfikacji podziemia niepodległościowego, przeprowadzonej w lipcu 1945 roku w rejonie Augustowa. Była to największa powojenna sowiecka zbrodnia dokonana na Polakach. W obławie augustowskiej aresztowano ponad siedem tysięcy osób, z czego sześćset zamordowano. „Obława Augustowska została wykonana na rozkaz władz sowieckich i głównie siłami Armii Czerwonej. Jednak nie można zapomnieć, że po stronie Sowietów do walki z Polakami stanęli także żołnierze dwóch kompanii 1 Praskiego Pułku Piechoty pod dowództwem por. Maksymiliana Sznepfa, funkcjonariusze UB z Augustowa i Suwałk oraz lokalnych posterunków MO” [69] – podaje Jarosław Wasilewski, historyk z białostockiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej (IPN).

baza ebooków

Sprawa stała się głośna po publikacji w 2016 roku książki *Resortowe dzieci. Politycy*, w której przeszłość pułkownika Sznepfa powiązano z jego synem – dyplomatą Ryszardem Schnepfem, między innymi byłym polskim ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. „Mój ojciec był żołnierzem. Pod Lenino nie walczył za Związek Radziecki, tylko za wolną Polskę. To jego oddział pierwszy przeszedł ze wschodniego na zachodni brzeg Wisły. Był dwukrotnie odznaczony orderem Virtuti Militari. Brał udział w zdobyciu Berlina. Nie mam powodu, by się tego wstydzić” [70] – mówił wtedy Ryszard Schnepf.

Pytany o obławę augustowską tłumaczył: „Sprawa nie jest taka prosta. Trzeba znać jej kontekst. Od 1944 roku w Polsce trwała właściwie wojna domowa. Ludzie różnie wybierali. Dziś historię tę opisuje się jednostronnie. Wyklętych pokazuje się wyłącznie jako patriotów, którzy do końca nie złożyli broni” [71]. Dodał też, że jego ojciec w 1968 roku próbował wybronić aresztowanych studentów, a za brak lojalności wobec władzy ludowej został „elementem niepewnym” [72].

Kołnierzyk pod kołnierzykiem

Wróćmy do mundurów, w których musieli paradować adepci studium wojskowego. Przez nonszalancki stosunek do umundurowania można było nawet zawalić studia. Andrzej Celiński: – Pod płaszczem każdy z nas miał coś, co przypominało marynarkę. Wyświechtane to było, z drelichu, no obrzydlistwo. Na kołnierz tej marynarki należało naszywać cienki, biały kołnierzyk. Wyglądało to niczym koloratka u księdza. Jak kołnierzyk zrobił się brudny, trzeba było go odpruć, uprać i ponownie przyszyć. Przyszywanie go do twardego drelichu to była cholerna robota, zwłaszcza dla chłopaka. Mój kołnierzyk zrobił się okropnie brudny, a podczas zajęć oficerowie sprawdzali, czy jest czysty. To była kompletna paranoja! Sprawdzali nam kołnierzyki jak małym dzieciom.

– Żeby się nie męczyć z przyszywaniem kołnierzyka, pożyczyłem mundur od starszego brata, który studiował na Akademii Medycznej – kontynuował. – Zajęcia w studium wojskowym miał w inne dni, a jego mundur był zdecydowanie czystszy, choć kołnierzykowi do ideału też sporo brakowało. No i wpadłem! Staliśmy w szeregu na placu apelowym, zmarznięci, bo to było zimą. Major podszedł do mnie i mówi ze złością: „Buty macie brudne, kołnierzyk brudny. Oderwijcie go!”. Więc kołnierzyk oderwałem, ale nie przewidziałem, że mój brat, spryciarz, nie prał kołnierzyków, tylko naszywał kolejne! Pod pierwszym kołnierzykiem był drugi, jeszcze bardziej brudny. Major się wściekł i wrzeszczy: „Oderwijcie to!”. Oderwałem, a tam był trzeci kołnierzyk… Oczywiście major zinterpretował tę sytuację jako moje celowe, lekceważące działanie. Według niego nic nie działo się przypadkiem. O mało mnie na tym apelu nie zabił!

baza ebooków

Tym majorem był słynny Henryk Kucejko, którego mieliśmy okazję już poznać. Po zajściu z kołnierzykami Andrzej Celiński trafił na celownik wojskowych wykładowców. Jeszcze tego samego dnia dostał pięć dwój. To tylko sprawiło, że bardziej się zbuntował. Przychodził na kolejne zajęcia, ale nie robił notatek, nie uczył się, nie czytał tego, co kazali wojskowi. – To wszystko było zupełnie poza mną – opisuje. – Można powiedzieć, że stałem się integralnym opozycjonistą. Byłem jak w letargu. Kierowałem się zasadą „jakoś to będzie". Trochę trwało, zanim uświadomiłem sobie, jaka naprawdę jest moja sytuacja.

Niezdolny wśród dziewczyn

A sytuacja nie była wesoła. Krnąbrnemu młodzieńcowi groziło zawalenie studiów z powodu braku zaliczenia szkolenia wojskowego. Wybawieniem okazały się problemy zdrowotne. – Miałem wtedy stwierdzone owrzodzenie żołądka – opowiada Andrzej Celiński. – Pomyślałem, że muszę coś z tym zrobić i zacząłem chodzić do lekarzy. Natychmiast mnie skierowano do szpitala. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu okazało się, że podpadam pod dwa paragrafy, które kwalifikują mnie do kategorii D, czyli jako niezdolnego do służby wojskowej. Po pierwsze – owrzodzony żołądek, a po drugie – astygmatyzm, który był schorzeniem dużo poważniejszym, bo nieuleczalnym. Jak się okazało, wrzód żołądka dawał przejściową kategorię D, a astygmatyzm pozwalał na stałe przyznać mi tę kategorię. To oznaczało, że z wojskiem już więcej nie będę miał do czynienia.

Andrzej Celiński, jako trwale niezdolny do służby wojskowej, dołączył do studentek, które wprawiały się w obronie cywilnej. Zajęcia odbywały się nieopodal akademików przy ulicy Żwirki i Wigury. Przystojny Andrzej był jednym z zaledwie kilku facetów wśród siedemdziesięciu–osiemdziesięciu dziewczyn. Można więc powiedzieć, że karierę wojskową kończył jak pączek w maśle.

Gdy oddawał mundur, czuł się szczęśliwy i wyzwolony. Dla niego Ludowe Wojsko Polskie było armią okupacyjną. Dlatego wiele lat później przeżył wielkie zaskoczenie, poznając Lecha Wałęsę. Po raz pierwszy w życiu miał wtedy do czynienia z człowiekiem, który okazywał szacunek mundurowi LWP i stopniom wojskowym. Andrzej Celiński, który był szefem gabinetu Lecha Wałęsy, przecierał oczy ze zdumienia.

Kapral Wałęsa

– Kiedyś odwoziłem Lecha Wałęsę na spotkanie z Wojciechem Jaruzelskim, gdy ten został premierem – wspomina Andrzej Celiński. – Z wielkim szacunkiem opowiadał potem, że w drzwiach witał go podpułkownik, który był porucznikiem

baza ebooków

w czasie, gdy Wałęsa służył w wojsku. I że Jaruzelski pamiętał o tym fakcie. Poza tym Wałęsa podkreślał, że Jaruzelski zachowywał się szarmancko. Nie mówiąc już o tym, że zawsze mówił o nim „generał".

Do zdarzenia, o którym mowa, doszło dziesiątego marca 1981 roku. Było to pierwsze spotkanie Wałęsa—Jaruzelski. Zostało starannie zaaranżowane przez generała, który miesiąc wcześniej objął tekę premiera i apelował o „dziewięćdziesiąt spokojnych dni". Przyjął przewodniczącego NSZZ „Solidarność" w swym gabinecie w Urzędzie Rady Ministrów. Zawczasu przejrzał dokumentację służby wojskowej swojego gościa. Wezwał do Warszawy dawnego dowódcę Wałęsy i sprawił, by panowie „przypadkowo" zetknęli się ze sobą w korytarzu Urzędu Rady Ministrów.

Około półtora roku później szerokim echem odbił się list internowanego Wałęsy do Jaruzelskiego, podpisany „kapral Wałęsa". – To był dowcip, a może nawet coś więcej – ocenia Andrzej Celiński. – Ludzie mają rozmaite opinie o Wałęsie. Ja mam taką, że Wałęsa jest niespotykanie inteligentnym człowiekiem. Prezentuje jednak zupełnie inny typ kultury, niż ten, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. Zupełnie inaczej jego inteligencja się objawia. Ten „kapral", to było bardzo ważne sformułowanie, nie zleciało mu z pióra przypadkiem. To było: „patrz, jestem twoim partnerem, mimo że jestem kapralem", a z drugiej strony: „jesteśmy razem, ty jesteś Polakiem, ja jestem Polakiem". Czyli że było to określenie ironiczne, ale też pokazujące wspólnotę. Piekielnie inteligentne sformułowanie.

Szok, niedowierzanie i strzelanie

Andrzej Celiński bardzo długo nie miał dobrego zdania o wojsku. Zmieniło się to dopiero w demokratycznej Polsce, gdy już jako doświadczony polityk został zaproszony na kurs wojskowy prowadzony przez wyższych dowódców Wojska Polskiego.

– Zgłosiłem się, bo chciałem na koniec życia przekonać się, czy moja opinia o wojsku była prawdziwa – relacjonuje Andrzej Celiński. – Kurs był w Rembertowie, w Akademii Obrony Narodowej. Przeżyłem szok. Wszystkie wykłady i zajęcia coś mi dawały, były niezwykle ciekawe. Dotyczyły rozmaitych dziedzin, nie tylko związanych z samym wojskiem. Chociaż jestem człowiekiem rozgarniętym, naprawdę byłem zszokowany wysokim poziomem zajęć. Prowadzili je generałowie, czasem pułkownicy. Widziałem, że to jest już inne pokolenie, że to są ludzie mający naprawdę ogromną wiedzę. Wtedy moje dawne wyobrażenie o wojsku legło w gruzach.

Na kursie w Rembertowie Andrzej Celiński miał też zajęcia strzeleckie. Pierwsze od czasów młodości. – W szkole miałem przysposobienie wojskowe

baza ebooków

i strzelałem z KBKS-u (karabinek sportowy – J.K.), ale byłem kiepskim strzelcem – opowiada Andrzej Celiński. – Chociaż należałem do harcerstwa – i to dobrego, bo do Czarnej Jedynki – zachowałem sceptyczny stosunek do wojska, munduru, wszelkiej dyscypliny, zbiórek i tak dalej. Gdy więc na szkoleniu w Akademii Obrony Narodowej zaproponowano nam strzelanie, początkowo się żachnąłem. Potem uznałem jednak, że może być całkiem fajnie. Wtedy po raz pierwszy strzelałem z pistoletu. Najpierw byłem w tym strzelaniu najgorszy. Ale podszedł do mnie jakiś chorąży i spokojnie mi wytłumaczył, jaki popełniam błąd. No i potem już byłem najlepszy.

Andrzej Celiński
– To zabawne, że dla wielu osób jestem czerwony, stary komuch i tyle. Daj Boże każdemu z polskiej skrajnej prawicy tak kontestować PRL jak ja, we wszystkim! – mówi o sobie z przekąsem. W PRL-u opozycjonista, działacz KOR-u i „Solidarności", założyciel Uniwersytetu Latającego i Towarzystwa Kursów Naukowych, internowany w stanie wojennym, uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W Trzeciej Rzeczypospolitej parlamentarzysta, bohater jednego z najgłośniejszych transferów politycznych. W 1996 roku zrezygnował z uczestnictwa w Unii Wolności, a w 1999 przystąpił do SLD. Podjął się napisania nowego programu tej partii. Dwa lata później został ministrem kultury w rządzie Leszka Millera. Pożegnał się z SLD w 2004 roku, by wraz z Markiem Borowskim budować nową formację na lewicy – Socjaldemokrację Polską (SdPl). Ugrupowanie nie odniosło sukcesu, a Andrzej Celiński próbował jeszcze odbudować swoją pozycję w Partii Demokratycznej, której przewodniczył. W 2018 roku powrócił do gry jako bezpartyjny kandydat koalicji SLD Lewica Razem na prezydenta Warszawy. Jego kandydatura została jednak wycofana. Ostatnio dał się poznać w roli świadka historii – przewodnika po Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku.

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 9

Szeregowy Stefan Niesiołowski, rocznik 1944, kategoria A

Niewielki gabinet w peryferyjnej części Sejmu. Tu mieściła się kwatera główna posła Stefana Niesiołowskiego, gdy kierował parlamentarną Komisją Obrony Narodowej. Były wicemarszałek Sejmu w wojsku dosłużył się stopnia kaprala podchorążego. Ale w czasach Polski Ludowej siedział w więzieniu i zdegradowano go do stopnia szeregowca. Potem nie zabiegał, żeby to zmienić i tak już zostało.

Nie było oficjalnego pozbawiania dystynkcji, zrywania naszywek, nic takiego. – Kiedy poszedłem do więzienia, dostałem po prostu pismo w tej sprawie – opowiada Niesiołowski. – Nie wiem nawet, kto je podpisał. Nie mam do nikogo pretensji, bo uważam, że było to zdarzenie całkowicie bez znaczenia. Nie miało dla mnie żadnych przykrych konsekwencji.

Jak każdy młodzieniec, z wojskiem zetknął się po raz pierwszy na komisji poborowej. – To bardzo nieprzyjemne wspomnienie – ocenia po latach. – Człowiek czuł się jakiś zdegradowany, bo go mierzą, ważą, oglądają, usta każą otwierać i w zęby patrzą jak koniowi na targu. Ale trudno, trzeba było przez to przejść.

Potem były studia na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Łódzkiego. W ciągu pierwszych trzech lat jeden dzień w tygodniu był poświęcony na szkolenie wojskowe. Zajęcia odbywały się albo w studium wojskowym przy ulicy Kopernika, albo na poligonie Brus pod Łodzią. Po czwartym roku studenci musieli zaliczyć sześciotygodniowy obóz wojskowy w Braniewie. Był rok 1965.

Przysięgam na „tsang”

– Na pewno pobyt na tym obozie był traktowany przez wszystkich jako pewnego rodzaju nieszczęście – wspomina Niesiołowski. – Bo to sześć tygodni zmarnowanych wakacji, więc przyjemnie nie było. Jednak dzisiaj z wielkim

baza ebooków

sentymentem myślę o wojsku. Na obozie puszczali nam film z Andrzejem Łapickim *Życie raz jeszcze*. Łapicki grał lotnika RAF-u, który wrócił do PRL-u i niesłusznie został zamknięty w więzieniu. Pamiętam, że gdy pokazywane były sceny z jego pobytu w stalinowskim więzieniu, na sali słychać było pomruki i docinki, że nasza jednostka też jest jak więzienie. Ale jednostka wojskowa w Braniewie to z pewnością nie było więzienie. Mało kto jest zadowolony, gdy powołują go na szkolenie do wojska, ale też nie było to nic specjalnie przykrego. Można powiedzieć, że nie wywołało u mnie żadnych negatywnych reakcji w stosunku do wojska, nawet jeśli było to wojsko Polski niedemokratycznej. Bo ja generalnie mam dużo sympatii do polskiej armii, jakakolwiek by ona była.

Standardowo po trzech tygodniach szkolenia odbyła się uroczysta przysięga. Trzeba było przysięgać na wierność socjalizmowi i sojuszowi ze Związkiem Radzieckim. Najprostszym sposobem na pominięcie tego fragmentu było po prostu zamknięcie w tym czasie ust, ale były też inne metody poradzenia sobie z komunistycznym przyrzeczeniem.

– Pamiętam kolegę, nazywał się Wierzbowski, który podczas przysięgi stał koło mnie i słyszałem, jak mówił wtedy „tsang” – opowiada Niesiołowski. – Dlaczego? Otóż był taki dowcip o chińskim tłumaczu. Podczas wizyty Breżniewa w Chinach, gdy przemawiał Mao Tse Tung, Chińczyk na bieżąco tłumaczył jego przemówienie, a gdy przemawiał Breżniew mówił tylko jedno słowo: „tsang”. Wreszcie Breżniew skończył, a Chińczyk mówi „tsang tse”. Więc go pytają: jak to możliwe, chiński tak długo trzeba tłumaczyć na rosyjski, a to co mówił Breżniew wystarczyło skwitować jednym słowem? Co znaczy „tsang” i co znaczy „tsang tse”? A tłumacz mówi: „tsang” to znaczy „pieprzy”, a „tsang tse” – skończył pieprzyć. Wierzbowski, nawiasem mówiąc bardzo sympatyczny człowiek, który później został radnym Zgierza, podczas przysięgi mówił właśnie „tsang”. Nie wiem, czy ja mówiłem coś podczas przysięgi. Na pewno z entuzjazmem nie powtarzałem słów o ustroju socjalistycznym, bo w tym czasie już działałem w podziemiu antykomunistycznym i ten ustrój zwalczałem.

Na przysięgę Stefana Niesiołowskiego nie przyjechali ani rodzice, ani znajomi. – Dla studentów przysięga wojskowa nie była takim wydarzeniem jak dla tych, którzy mieli przed sobą dwa czy trzy lata służby – tłumaczy Niesiołowski. – Dla nas to naprawdę był incydent bez większego znaczenia. Z tego, co pamiętam, do chłopaków z naszej kompanii – a było nas około trzydziestu – przyjechały może

baza ebooków

dwie rodziny, które mieszkały w pobliżu. Ja mieszkałem w Łodzi, prawie czterysta kilometrów od Braniewa, więc nikomu się nawet nie śniło, żeby tam przyjeżdżać.

Salutował wszystkim

Wydarzeniem nie były też przepustki. – Chodziliśmy bez celu po tym Braniewie, trochę w piłkę graliśmy – zapamiętał Niesiołowski. – W niedzielę starałem się iść do kościoła. Krótko mówiąc, nie było tam specjalnych atrakcji. W takim małym, wojskowym miasteczku nie było możliwości, żeby jakoś sensownie zagospodarować wolny czas.

Studenci, zaraz po przyjeździe na obóz, zdawali do magazynu cywilne ubrania i przez całe sześć tygodni chodzili wyłącznie w mundurach. Na przepustki również. Wbrew powiedzeniu, że „za mundurem panny sznurem", nie było jednak okazji do szczególnych podbojów miłosnych. – Jakie tam dziewczyny?! – zarzeka się Niesiołowski. – Na dziesięciu czy dwudziestu żołnierzy może jedna by się znalazła. To było wojskowe miasteczko. Jak poszliśmy do restauracji, to niemal wszystkie stoliki były zajęte przez żołnierzy. Może oni mieli jakieś dziewczyny miejscowe, ale mnie specjalnie nie zależało, żeby nawiązywać tam znajomości. Obóz wojskowy był dla mnie po prostu przystankiem w czasie wakacji. Mój świat to nie był świat jednostki wojskowej.

Konsekwencją chodzenia w mundurze był natomiast obowiązek salutowania starszym stopniem. – Przeważnie wojskowi odróżniali studentów od żołnierzy zasadniczej służby, traktowali nas z sympatią – opowiada Niesiołowski. – To byli rozsądni ludzie. Nie przypominam sobie żadnych incydentów. Pamiętam za to spór, czy milicjantom trzeba salutować. Jedni salutowali, inni nie. Milicjanci byli bardzo dumni, kiedy im się salutowało. Z radością wtedy „odsalutowywali".

Niesiołowski, mimo opozycyjnych zapatrywań, nie miał z tym problemu. – Przecież milicjant, którego mijałem na ulicy, nie był jakimś oprawcą – mówi. – Na ogół byłem najniższy stopniem, bo kaprala dostałem na koniec obozu, więc salutowałem właściwie każdemu. Poza tym z daleka nie zawsze widać stopień, więc na wszelki wypadek salutowałem wszystkim.

To ja, koń

Urozmaiceniem obozowej służby były warty, zwłaszcza nocne. – Pamiętam jedną zabawną sytuację – relacjonuje Niesiołowski. – Był u nas student, nazywał się Geremek (nie chodzi o Bronisława Geremka – J.K.). Pełnił wartę w nocy, w strasznej mgle. To były bardzo nieprzyjemne warunki, daleko od jednostki, stał przy jakiejś zbrojowni na poligonie. Nagle z zarośli wyszedł koń. Geremek nic nie

baza ebooków

widział przez tę mgłę, więc krzyknął: „Stój, kto idzie?!”. Żartowaliśmy, że za trzecim razem na to pytanie koń odpowiedział: „To ja, koń”. I że Geremek, gdy już go rozpoznał, powiedział: „A, koń, to proszę bardzo”. Śmialiśmy się długo z tej sytuacji. Były też jednak przykre incydenty, na przykład takie, że podczas warty wartownik użył broni. Wcześniej wbijali nam do głowy, że będą w nocy sprawdzać, czy żołnierz na warcie nie zasnął, czy jest czujny. Przez to byliśmy przeczuleni. Wartownik, stojący sam, poza jednostką, gdzieś w krzakach na poligonie, był po prostu zdenerwowany, bał się, że go ktoś napadnie i zabierze mu broń. Tymczasem mieliśmy zakodowane, że jeśli wartownik da sobie odebrać broń, to czeka go najsurowsza kara. Dlatego żołnierze czasem dość nerwowo reagowali i strzelali. Na szczęście na naszym obozie nikomu nic się nie stało.

Na wartę wydawana była ostra amunicja. Uczucie, że ma się broń, którą można zabić, powodowało duże napięcie. – Nie wiem, po jaką cholerę była nam ta ostra amunicja – zastanawia się Niesiołowski. – Wiadomo, że nic nam nie groziło, bo to był czas absolutnego pokoju w Europie. Do dziś pamiętam warty jako coś nieprzyjemnego.

Inną sytuacją, która budzi w Niesiołowskim niemiłe wspomnienia, były całodobowe manewry. – Na ogół łączyły się ze spaniem w okopie – zapamiętał polityk. – Najpierw trzeba było ten rów wykopać. Bardzo szybko podchodził wodą, co sprawiało, że nocleg w takim miejscu nie należał do przyjemności. Chociaż obóz był w sierpniu, to noce bywały zimne, do tego czasem padało. Myślałem wówczas, co czuli żołnierze, którzy walczyli na wojnie na froncie wschodnim, pod Stalingradem, gdzie w nocy było 40 stopni mrozu. Jak człowiek mógł to w ogóle przeżyć? Wtedy uświadomiłem sobie, czym musiała być wojna w trudnych warunkach klimatycznych.

Strzelec piechoty

Na manewrach nie sposób było zmrużyć oka. – Nie, no skąd! – zapewnia Niesiołowski. – Manewry nie polegały na tym, żeby spać, bo ciągle mieliśmy jakieś zajęcie. Maszerowaliśmy w tych okopach, coś tam sprawdzaliśmy, kogoś atakowaliśmy. Byliśmy przecież na ćwiczeniach. Do dziś wspominam je jako przykre przeżycie.

Szeregowy Niesiołowski był strzelcem piechoty, wyposażonym w pistolet maszynowy Kałasznikowa, saperkę, hełm, granaty ręczne i ładownice. Rewelacyjnym strzelcem nie był. W terminie zaliczał jednak wszystkie testy, uzyskując średnie wyniki na tle całej grupy. Obsługa kałasznikowa nie sprawiała mu kłopotu. – Kałasznikow to bardzo prosty karabin – wyjaśnia. – Po każdym strzelaniu trzeba było go przeładować, rozłożyć, przeczyścić, wytrzeć. Był egzamin

baza ebooków

ze znajomości budowy tego karabinu, trzeba było umieć nazwać wszystkie części. Nie najgorzej sobie z tym radziłem. Muszę dodać, że ja byłem dość wysoki. Niżsi żołnierze nosili RKM, czyli ręczny karabin maszynowy Diegtiariowa. On jest dosyć długi i chodziło o to, żeby gazy odrzutowe nie poparzyły w nogi. Jeśli żołnierz jest niewysoki, wtedy karabin za kolano wystaje. Z kolei ciężki karabin maszynowy, czyli CKM, musieliśmy nosić we czterech. Noszenie tego na poligonie, zwłaszcza w natarciu, czasem w błocie ciągnięcie na tych kółeczkach – to już naprawdę dawało w kość i było nieprzyjemne.

Niesiołowski cenił kontakt z bronią. – Lubiłem to, lubiłem – przyznaje. – Strzelanie na strzelnicy to było coś przyjemnego. Nieprzyjemne były nocne manewry, bieganie po poligonie i leżenie w okopach. Okropne było też sprzątanie. Mieszkaliśmy w poniemieckich koszarach, posadzka w sali z niepojętych względów miała strasznie dużo głębokich rowków. Trzeba było szorować je trocinami.

Piekielnym doznaniem były biegi z maską przeciwgazową na twarzy, która uniemożliwiała normalne oddychanie. – Oj, to było męczące – przyznaje Niesiołowski. – Miałem wtedy dwadzieścia lat i ledwo dawałem radę, więc dziś pewnie bym tego nie przeżył. Niektórzy koledzy nie wytrzymywali i tracili przytomność.

Będziecie żreć te czarne oczka!

Stosowaną często formą kary, na przykład za spóźnienie czy niewykonanie jakiegoś zadania, była dodatkowa musztra. – To było przykre, bo wiedzieliśmy, że część kompanii leży już w łóżkach, podczas gdy my musimy biegać – zapamiętał podpadziocha Niesiołowski.

Sporo było też tupania na placu musztry, ale Niesiołowski, jak sam mówi, nie przyjechał na ćwiczenia, żeby leżeć na łóżku. Był młody, miał niewyczerpane rezerwy siły i wilczy apetyt.

– Jedzenie nie było specjalnie smaczne, ale nie narzekałem – ocenia. – Trzeba było szybko jeść. Tak się w wojsku przystosowałem do szybkiego jedzenia, że dotąd mi to zostało. Dostawaliśmy grochówkę, kaszę, kartofle, jakiś gulasz, kapustę. Dowódca kompanii przychodził, gdy ostatni jeszcze odbierali od kucharza napełnione miski i krzyczał: „Pierwsza kompaniaaa!!!”. Niektórzy biegli na zbiórkę i jeszcze dojadali, a byli i tacy, którzy dopiero zaczynali. Czasem, jak ktoś miał pecha, to w ogóle nie zdążył zjeść. Ale, jak widać, jakoś przeżyliśmy.

W kuchni były dyżury przy obieraniu ziemniaków. – Na czas się obierało – opowiada Niesiołowski. – Nużące zajęcie, ale przecież ktoś to musiał zrobić.

baza ebooków

W tym pośpiechu niektóre ziemniaki były źle obrane, więc przychodził szef kuchni i krzyczał: „Będziecie żreć te czarne oczka!”.

Ale jakoś nikt nie zalazł Niesiołowskiemu za skórę wyjątkowo mocno. – Stosunki były poprawne, więc nie mogę powiedzieć, że kogoś szczególnie źle wspominam – zapewnia marszałek. – Były oczywiście dowcipy o przełożonych. Na przykład taki, jak dowódca opowiada żołnierzom: „Jadę rowerem, dynamo włączyłem, i widzę, jak światełko ucieka przede mną. To ja przyspieszam, a to światełko jeszcze szybciej ucieka. No to ja jeszcze szybciej, ale światełko też jeszcze szybciej przede mną. I – słuchajcie żołnierze – ja znowu przyspieszam *aż osiągnąłem szybkość światła*”. Na ogół się z wojska szydziło. I „chatkę” każdy miał na ścianie. To była po prostu kartka papieru, na której skreślało się kolejne dni. Potem to samo miałem w więzieniu.

Po studiach Niesiołowski był powoływany na kilkudniowe szkolenia w jednostce wojskowej. Gwałtownie się to urwało, gdy w 1970 roku za działalność opozycyjną został aresztowany, oskarżony o „przygotowania do obalenia przemocą ustroju PRL”, a następnie skazany na siedem lat więzienia. Po wyjściu na wolność nie miał już z wojskiem do czynienia.

Stefan Niesiołowski

Barwna postać opozycji demokratycznej w PRL-u. Współzałożyciel konspiracyjnej organizacji „Ruch”. Podejmował spektakularne akcje, przywodzące na myśl działania Polski Walczącej w czasach okupacji niemieckiej. W 1965 roku namalował hasło „Katyń” na pomniku przyjaźni polsko-radzieckiej w Łodzi. Trzy lata później zrzucił tablicę z płaskorzeźbą Lenina ze szczytu Rysów w Tatrach. W 1970 roku był pomysłodawcą wysadzenia pomnika i podpalenia muzeum Lenina w Poroninie. Miał to być protest przeciwko obchodom setnej rocznicy urodzin „wodza światowej rewolucji”. Do akcji nie doszło (całe szczęście, bo była fatalnie przygotowana), ponieważ „Ruch” został rozbity przez Służbę Bezpieczeństwa. Konspiratorzy, w tym Niesiołowski, trafili do więzienia. Niesiołowski wyszedł na wolność w 1974 roku, zwolniony na mocy amnestii. Kontynuował działania opozycyjne, między innymi w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO) Leszka Moczulskiego. W 1980 roku zakładał „Solidarność” na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie był pracownikiem naukowym (dziś jest profesorem biologii, specjalistą od owadów). Po zmianie ustroju długoletni parlamentarzysta, wicemarszałek Sejmu, działacz między innymi Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego (ZChN) i Platformy Obywatelskiej (PO). Słynie z ostrego języka. Pod adresem byłego rzecznika Prawa i Sprawiedliwości (PiS), Adama Hofmana, rzucił: „Szkoda, że na wiosnę wszystkie bałwany nie topnieją”. A Ryszarda Kalisza nazwał „pornograbasem”.

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 10

Szeregowy Ryszard Kalisz, rocznik 1957, kategoria B

Spotykamy się na korytarzu sejmowym. Ryszard Kalisz jest zdziwiony, że umawiał się na rozmowę o wojsku. Tyle ma tych wywiadów. Wreszcie sobie przypomina. „A! Mogę coś opowiedzieć!”. O tym, jak przez Cytadelę trafił do Zurychu.

W 1983 roku Ryszard Kalisz był po studiach prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim, zrobił aplikację sądową i czekał na aplikację adwokacką. Wszystko pięknie się układało, zwłaszcza że wystarał się o staż i stypendium na Uniwersytecie w Zurychu!

– Jeśli chodzi o wyjazd do Szwajcarii, to był on efektem moich starań czynionych zupełnie poza władzami polskimi – zastrzega. – Stypendium dostałem w wyniku decyzji szwajcarskiego Uniwersytetu.

Do pełni szczęścia brakowało jednego niezbędnego „drobiazgu” – paszportu. Młodsi czytelnicy być może nie zdają sobie sprawy, że obywatel PRL-u nie mógł ot tak wyrobić sobie paszportu i trzymać go w domowej szufladzie. Wydawanie dokumentu uprawniającego do przekroczenia granicy państwowej było ściśle reglamentowane. A gdy ktoś już paszport dostał, po powrocie z zagranicy musiał bezwzględnie oddać go władzom.

– Zgody na paszport nie dostałem – opowiada Ryszard Kalisz. – WKU na Żoliborzu odmówiło mi, bo po studiach podlegałem rocznemu obowiązkowemu szkoleniu w szkole podchorążych rezerwy.

Wezwany do twierdzy

Wojsko nie chciało wypuścić za granicę rekruta przed „uregulowaniem stosunku do służby wojskowej”. Najpierw, ptaszku, przez rok cię przeszkolimy, zrobimy z ciebie podoficera. A potem sobie wyfruniesz z gniazdka, byle nie w siną dal. Takie z grubsza było rozumowanie wojskowych włodarzy. Ale Ryszard Kalisz nie

baza ebooków

dawał za wygraną. Stypendium w Szwajcarii było jak szczęśliwy los na loterii. Grzech nie skorzystać.

– W takich sytuacjach nie poddawałem się – relacjonuje Kalisz. – Jako młody prawnik, tuż po studiach, napisałem odwołanie do zarządu mobilizacyjno-operacyjnego podległego dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Ku mojemu zaskoczeniu dostałem wezwanie, pamiętam jak dzisiaj, do Cytadeli, do siedziby WOW.

> **Cytadela Warszawska** – górująca nad Warszawą rosyjska twierdza była przez prawie sto lat symbolem zniewolenia Polski. Powstała na rozkaz cara Mikołaja I po zdławieniu powstania listopadowego. Miała raz na zawsze zapewnić zaborcom kontrolę nad niepokornym miastem – ośrodkiem polskiego ruchu niepodległościowego. Załoga liczyła pięć tysięcy żołnierzy, a w czasie powstania styczniowego została zwielokrotniona. Twierdza pełniła też funkcję więzienia. X Pawilon był miejscem kaźni tysięcy wybitnych Polaków, patriotów i rewolucjonistów. Egzekucje wykonywano na stokach Cytadeli w pobliżu Bramy Straceń. Zginął tu między innymi przywódca powstania styczniowego Romuald Traugutt.

Obecnie na Cytadeli znajduje się nowoczesny kompleks muzealny – między innymi Muzeum Wojska Polskiego i Muzeum Historii Polski – ale w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku był to nadal dość ponury teren wojskowy. W jednej z historycznych cel więziennych widniał napis: „Miły bracie, próżna praca, kto tu zaszedł, nie powraca”. Wezwanie do Cytadeli nie wyglądało zachęcająco…

Student inteligentny

– Przechodzę przez bramę, prowadzą mnie do jakiegoś budynku – opowiada Kalisz. – Idę, a tam jedne kraty, drugie kraty, trzecie kraty. W końcu wchodzę do gabinetu, w którym siedzi jakiś pułkownik i mówi do mnie: „A wy co, student?”. A ja już wtedy byłem po studiach. „Co wy, do wojska nie chcecie iść?” – pyta drwiąco. Ale nie tak łatwo było zbić mnie z tropu. „Jeżeli do tej szkoły podchorążych rezerwy idzie około tysiąca czy dwóch tysięcy absolwentów rocznie, a stypendium do Szwajcarii dostałem właśnie ja, to co jest lepsze dla Polski?” – odpowiadam pytaniem na pytanie. „Czy lepiej, żebym był jednym z tysiąca podchorążych, czy żebym jako jedyny uczył się na tym stypendium na jednym z najlepszych uniwersytetów na świecie? Bo jak stypendium przepadnie, nikt inny już go nie dostanie”. Pułkownik spojrzał na mnie badawczo i powiedział: „O, wy student, inteligentny!”. W efekcie dał mi zgodę i wyjechałem.

baza ebooków

Pewnego dnia do Zurychu zadzwonił do niego Aleksander Kwaśniewski, z którym się przyjaźnił.

„Wtedy został po raz pierwszy ministrem”, wspominał Kalisz. „I mówi: »Słuchaj, ja cię bardzo proszę, przyjedź do Polski. Bo mamy coś jeszcze w tej Polsce do zrobienia. Żeby była demokratyczna«. (…) Wiem, że trudno dziś uwierzyć, że mówił tak on, minister w PRL-owskim rządzie. A ja do dziś pamiętam sformułowanie, którego użył. Powiedział, że wolałby być ministrem rządu, który który ma legitymację z demokratycznych wyborów. A nie rządu, który tej legitymacji nie ma” [73].

Kalisz z Kwaśniewskim poznali się w organizacji studenckiej. Obydwaj działali w Socjalistycznym Związku Studentów Polskich. Kalisz doszedł w nim do stanowiska wiceszefa komisji rewizyjnej, a Kwaśniewski znacznie wyżej – do Zarządu Głównego. Kalisz chciał zmieniać Polskę w kierunku demokratyzacji. Wybrał jednak drogę do zawodu adwokata. Kwaśniewski był natomiast stworzony do polityki. Przyjaźnili się i blisko współdziałali.

„Ryszard miał zawsze wielkie ambicje polityczne, ale przekonywałem go, żeby pozostał prawnikiem i adwokatem, bo każdy polityk potrzebuje dobrego adwokata” [74] – przyznawał Aleksander Kwaśniewski.

Pamiętam, pamiętam

Ryszard Kalisz wrócił do kraju i rozpoczął praktykę adwokacką. Kilka lat później jako ekspert prawny i członek jednego z „podstolików” wziął udział w obradach Okrągłego Stołu. Gdy Aleksander Kwaśniewski wygrał wybory prezydenckie, Kalisz został jego przedstawicielem w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, a następnie prawnikiem prezydenckim i Szefem Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej.

Już jako prezydencki minister, na jednej z uroczystości zwrócił uwagę na wojskowego emeryta, który bacznie mu się przyglądał. – Podszedł do mnie i mówi: „To ja jestem tym pułkownikiem, który dał panu wiele lat temu zgodę na wyjazd do Szwajcarii”. A ja na to: „Panie pułkowniku, jak miło mi Pana widzieć. Widzi pan, do czego pan doprowadził…”.

Minister Ryszard Kalisz nie wystarał się dla swojego dobrodzieja o odznaczenie za dawną przysługę. – No nie, to byłaby prywata – mówi ze śmiechem. – Niech pan

baza ebooków

da spokój! Ale byłem mu bardzo zobowiązany. Bo z perspektywy lat uważam, że podjął naprawdę słuszną decyzję.

Nagi i niezdolny

W sumie nie było to żadnym zaskoczeniem, bo już na warszawskiej komisji poborowej młody Rysiek nie zapowiadał się na wojaka. W Śródmieściu przy Koszykowej przeszedł badania, a na Żoliborzu przy Mierosławskiego usłyszał werdykt: kategoria B. „Czasowo niezdolny do czynnej służby wojskowej", czyli coś na kształt wyroku w zawieszeniu.

– Nawet do naga się wtedy rozbierałem, o ile dobrze pamiętam – opowiada. – Nie byłem chorowity, ale tak się tą komisją przejąłem, że mi ciśnienie skoczyło. Poza tym muszę powiedzieć, że kiedyś byłem sportowcem – kajakarzem. Bardzo dobrym zresztą, mówiąc nieskromnie, bo miałem duże osiągnięcia. Wtedy właśnie, gdy trenowałem, odkryto u mnie dodatkowe skurcze w sercu. Musiałem przestać uprawiać sport. Więc na komisji przedstawiłem zaświadczenia lekarskie dotyczące mojego stanu zdrowia.

Większość chłopaków chciała się wyłgać od służby wojskowej, ale udawało się nielicznym.

– No, chorowici wszyscy byli wtedy – żartuje Kalisz. – Tyle że ja niczego nie załatwiałem. Po prostu pokazałem prawdziwy dokument. I wcale się wtedy nie wyłgałem. Bo przecież dopiero dzięki późniejszej decyzji pułkownika nie trafiłem do szkoły podchorążych rezerwy.

Ryszard Kalisz
Sympatyczny, jowialny grubas, dusza towarzystwa, a jednocześnie skuteczny adwokat i bezwzględny polityk. Bywalec salonów, „Rysiek fajny chłopak", w walce politycznej potrafi przemienić się w drapieżnego rysia. Tak było, gdy przed laty obciążał PiS za śmierć Barbary Blidy, a niedawno tę samą partię pozbawiał finansowania. Karierę polityczną związał z Aleksandrem Kwaśniewskim. Był jego najwierniejszym współpracownikiem w Pałacu Prezydenckim. Kwaśniewski też wręczył mu nominację na Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji w rządzie Marka Belki. Należał do założycieli SLD. Stąd być może jego freudowskie przejęzyczenie, gdy jako szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji (MSWiA) chwalił się przejęciem przez policję „siedemnastu i pół tysiąca tabletek SLD". „Co to za różnica: SLD czy LSD?" [75] *– śmiał się ze swojej pomyłki. Co rzadkie wśród polityków, ma do siebie dystans i nie jest pamiętliwy. Nie obraził się nawet za „pornograbasa", jak nazwał go Stefan Niesiołowski. „Za co miałbym się obrażać? Jestem grubasem? Jestem. Walczyłem o to, żeby miękka pornografia była dostępna? Walczyłem. Byłem więc pornoministrem i pornograbasem"* [76] *– mówił ze śmiechem. Co do tuszy, tłumaczył, że zaczął tyć, gdy lekarze zabronili mu uprawiania sportu. Jeszcze na początku studiów się trzymał, ale później poooszło… – Teraz zeszczuplałem już ponad dwadzieścia kilogramów – zaznacza.*

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 11

Starszy kapral podchorąży Leszek Balcerowicz, rocznik 1947, kategoria A

Zachował wojsko w nie najlepszych wspomnieniach. Podczas studiów w warszawskiej Szkole Głównej Planowania i Statystyki (od 1991 roku Szkoła Główna Handlowa) raz w tygodniu musiał oblekać się w mundur. Taki strasznie gruby, nieprzyjemny, do tego te ciężkie buty... brrr. Podążał na zajęcia w studium wojskowym, które po latach kojarzą mu się przede wszystkim ze stratą czasu. A profesor Leszek Balcerowicz czasu tracić nie lubi.

Autor błyskawicznego przejścia polskiej gospodarki z socjalizmu do kapitalizmu (terapia szokowa) studiował w SGPiS w latach 1965–1970. Po latach sprawowania rozmaitych funkcji pozostaje wierny macierzystej uczelni. I właśnie w murach SGH, w siedzibie Katedry Międzynarodowych Studiów Porównawczych, piętnastego kwietnia 2013 roku, rozmawiamy o wojskowych doświadczeniach profesora.

– Zajęcia teoretyczne odbywały się na uczelni, a praktyczne na poligonie, chyba w Rembertowie – wspomina Balcerowicz.

Zawahanie profesora jest uzasadnione, bo ogromny poligon, pochodzący jeszcze z czasów rosyjskiego zaboru, rozciągał się pomiędzy kilkoma podwarszawskimi miejscowościami, między innymi Rembertowem, Zielonką, Ossowem i Sulejówkiem. Po odzyskaniu niepodległości w dawnych carskich koszarach rozmieściły się jednostki Wojska Polskiego. W czasie wojny polsko-bolszewickiej w rejonie tym rozegrały się zażarte walki w ramach Bitwy Warszawskiej. W osławionym boju pod Ossowem śmierć poniósł ksiądz Ignacy Skorupka. W Polsce międzywojennej teren poligonu był ważnym ośrodkiem szkolenia wojskowego i badań technicznych uzbrojenia. Podobną rolę odgrywa do dziś,

baza ebooków

służąc Wojskowemu Instytutowi Technicznego Uzbrojenia. W Rembertowie, który stał się częścią Warszawy, działa Akademia Sztuki Wojennej.

Niskich lotów dowcipy

Kawał historii, ale Leszek Balcerowicz i jego koledzy nie dowiedzieli się na studium wojskowym ani o bohaterskim kapłanie, ani o tym, że we wrześniu 1939 roku z lotniska polowego pod Zielonką startowały samoloty broniące Warszawy.

– Zajęcia wojskowe mogły być bardzo ciekawe, gdyby na przykład uczono strategii wojskowych, przedstawiano historię największych bitew czy dowódców – ubolewa profesor. – Jednak nie przypominam sobie takich tematów na zajęciach. Miałem wrażenie, że były ogromną stratą czasu. Po pierwsze, ze względu na rozwlekłość zajęć, po drugie – ich bezsensowność. Jaki sens miało uczenie się na pamięć, które części pistoletu działają w trakcie naciskania cyngla? Żaden. Nic z tego nie zapamiętałem.

Poziom intelektualny większości oficerów kształcących studentów SGPiS nie był najwyższy. Zdarzały się wyjątki, ale większość co najwyżej siliła się na niskich lotów dowcipy.

– Im były głupsze, tym bardziej się z nich zaśmiewaliśmy, a właściwie z tych, którzy je wygłaszali – opowiada Balcerowicz. – Miałem nawet specjalny notesik (niestety gdzieś mi się zawieruszył), gdzie kolekcjonowałem wszelkiego rodzaju wojskowe lapsusy. Na przykład jeden z naszych wykładowców opowiadał, że w dawnych czasach ludzie myśleli, iż ziemia opiera się na łbach – jak to określił – „słońskich". Nie wiem, czy ten sam, czy inny chwalił się, że nigdy nie nastawia budzika, a jednak zawsze budzi się o czasie, ponieważ czynność tę reguluje… oddawaniem moczu. Jeśli chce się obudzić wcześniej, to wieczorem przyśpiesza porę oddawania moczu. A jak chce pospać dłużej – odpowiednio zwleka z sikaniem. Mówił o tym z dużą dumą.

Wojsko na trójkę

W tym samym czasie medycynę studiowała w stolicy siostra Leszka – Ewa. Tak się złożyło, że zajęcia wojskowe miała tego samego dnia co brat.

– Pochodzimy z Torunia, w Warszawie wspólnie wynajmowaliśmy pokój, więc zawsze razem maszerowaliśmy w tych okropnych mundurach – zapamiętał Leszek Balcerowicz. – Najgorzej było, gdy natknęliśmy się na oficera, zapominając mu zasalutować, a on domagał się, żeby to robić.

Profesor przyznaje, że nie był orłem w studiowaniu zagadnień wojskowych. Wiedza serwowana w studium zupełnie nie wchodziła mu do głowy.

baza ebooków

– Na egzaminie końcowym miałem pytanie, na które ewidentnie nie potrafiłem odpowiedzieć – wspomina. – Wówczas jeden z oficerów, chcąc mi pomóc, zapytał: „Balcerowicz, a gdzie wy uprawiacie sport? Czy w Legii?”. Odburknąłem, że trenuję w AZS, bo byłem wówczas znany z wyczynowego uprawiania sportu, biegałem na czterysta i tysiąc pięćset metrów.

Biegał z powodzeniem. Należał do kadry narodowej juniorów, a już jako student zdobył mistrzostwo Polski w biegu przełajowym na dystansie tysiąca pięciuset metrów. Wygrał po morderczym finiszu pod górkę. Był pewniakiem do wyjazdu na akademickie mistrzostwa świata, ale cała polska drużyna nieoczekiwanie została wycofana z zawodów.

Świata nie zawojował, ale sportowe zasługi prawdopodobnie pomogły mu zaliczyć studium wojskowe.

– Z egzaminu końcowego wyszedłem przekonany, że „zarwałem” sesję – wspomina Balcerowicz. – Byłem zły, bo ze wszystkich przedmiotów miałem bardzo dobre lub dobre oceny, a tutaj będę miał dwóję. Już się nawet przygotowywałem na sesję poprawkową, ale – ku mojemu zaskoczeniu – po odebraniu indeksu zauważyłem, że egzamin z wojska zdałem na trójkę. To była jedna z najprzyjemniejszych niespodzianek, jaka mnie spotkała w czasie studiów.

Rozpaczliwe poszukiwanie onuc

Po egzaminie studenci wyjechali na pięciotygodniowy obóz wojskowy do Bartoszyc.

– Wrył mi się mocno w pamięć – opowiada profesor. – Po zaliczeniu obozu dostawało się stopień. Od razu mogę powiedzieć, że wysoko nie awansowałem: zatrzymałem się na szarży starszego kaprala podchorążego. Niektórzy moi koledzy awansowali znacznie wyżej.

Studentów wpakowano do koszar z piętrowymi łóżkami. Wszyscy byli skonani po wielogodzinnej podróży pociągiem, a tu już pierwszej nocy ogłoszono alarm.

– Widocznie chciano nam pokazać co to prawdziwe wojsko – sądzi Balcerowicz. – Pamiętam jak rozpaczliwie szukałem onuc, bo obawiałem się, że będę musiał maszerować kilka kilometrów. Na szczęście tylko postawiono nas na nogi, a potem kazano wrócić do sali.

Onuce – poprzedniczki skarpet. Prostokątne lub kwadratowe kawałki tkaniny, którymi owijano stopy. Latem lniane lub bawełniane, zimą – wełniane. Z mody cywilnej zwinęły się w Polsce w osiemnastym wieku, za czasów dynastii saskiej. Setki lat dłużej służyły w wojsku. W butach z cholewami żołnierzy LWP przetrwały aż do lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Jeszcze dłużej owijały stopy rosyjskich

baza ebooków

sołdatów, oficjalnie wycofane rozkazem ministra obrony Siergieja Szojgu dopiero w 2013 roku. Pożegnanie z onucami żołnierze przyjęli z ulgą. Sztuka ich prawidłowego zawijania była trudna i pracochłonna. Na dodatek nieświeże onuce działały ponoć mocniej niż gaz bojowy. Dziś określenie „ruskie onuce" oznacza internetowych trolli powielających kremlowską propagandę.

– Utkwił mi też w pamięci bardzo nieprzyjemny zapach – taki zatęchły, skisły – z wojskowej kantyny – kontynuuje Balcerowicz. – Nie mam wyrafinowanego gustu, nie wywodzę się z arystokracji, mieszkałem w akademiku i żywiłem się w akademiku. Ale zapach tej kantyny – być może z powodu cynowych naczyń – był naprawdę odrażający. Choć same posiłki nie były złe. Dawali zupę grochową, którą lubiłem, czasem kapuśniak. Nawet mogłoby to smakować, gdyby nie ten zapach.

Wkuwał angielskie słówka

Leszek Balcerowicz zapamiętał też wojsko… z nauki angielskiego.

– Trzeba zacząć od tego, że w czasie studiów starałem się jak najlepiej wykorzystywać czas i poświęcałem go na różne zajęcia – tłumaczy. – Wyczynowo uprawiałem sport i uczyłem się języków obcych, bo to było moje hobby. Przyjechałem na studia ze znajomością niemieckiego i rosyjskiego, potem dołączyłem hiszpański, francuski i angielski. Ten ostatni szlifowałem szczególnie intensywnie właśnie w Bartoszycach. Miałem notesik, do którego wpisywałem zwroty z lektur, a potem je powtarzałem, żeby zapamiętać. Akurat tak się złożyło, że rodzice znaleźli znajomych, którzy zaprosili mnie do Anglii. Po obozie wojskowym miałem wyjechać na parę tygodni, żeby poduczyć się języka. Starałem się przygotować do wyjazdu. Podczas zbiórek stawałem w drugim, trzecim rzędzie, kryłem się za kolegami, wyjmowałem notesik i wkuwałem słówka.

Po studiach szczęśliwie ominęła Balcerowicza służba wojskowa. Jak się domyśla, być może z powodu częstych zmian adresu.

– Kolejny kontakt z wojskiem miałem dopiero wtedy, gdy zostałem wicepremierem i ministrem finansów. Nie zajmowałem się sprawami ściśle wojskowymi, nie chcę też zdradzać żadnych tajemnic. Ale pamiętam, jak rząd, chyba Tadeusza Mazowieckiego, rozpatrywał projekt związany z obronnością. Ponieważ zmieniło się położenie geopolityczne Polski, główny wróg – Niemcy – przestał być wrogiem, a nowy wróg pojawił się na wschodzie. Dlatego rząd postanowił poświęcić spore nakłady na rozlokowanie wojsk. Zadałem wtedy zdroworozsądkowe pytanie: czy nie lepiej zainwestować w mobilność wojska i porównać, który wariant jest lepszy z punktu widzenia relacji nakładów do

baza ebooków

efektów? Nie przypisuję sobie wielkich zasług, bo każdy wyszkolony ekonomista zawsze ocenia dany wariant przez porównanie z innym. Jednak generałowie wyraźnie skupili się na tej nowej opcji i – mam wrażenie – nie odrzucili mojej propozycji. Zawsze powtarzam, że dobra strategia wojskowa jest niezwykle interesująca i ma pewne wspólne elementy z postępowaniem w czasie pokoju.

Leszek Balcerowicz

Jego nazwisko nieodłącznie kojarzy się z wielkimi przemianami, po których niemal z dnia na dzień zapełniły się puste półki w sklepach. „Plan Balcerowicza" – tak do dziś nazywa się gospodarcze reformy zapoczątkowane w 1990 roku. Wolny rynek, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, uwolnił przedsiębiorczość Polaków. Ale dla wielu przyniósł też bezrobocie i biedę, czego symbolem były „zupy Kuronia" (od nazwiska ówczesnego ministra pracy Jacka Kuronia) rozdawane ubogim. Z tego powodu przeciwnicy „terapii szokowej" długo wykrzykiwali hasło: „Balcerowicz musi odejść!". On sam wrył się w pamięć nie tylko jako profesor ekonomii, stypendysta renomowanych uczelni zagranicznych i wykładowca SGH. Pokazał również twarz twardego polityka. Był wicepremierem i ministrem finansów w rządach Tadeusza Mazowieckiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego i Jerzego Buzka. Stał na czele Unii Wolności i kierował Narodowym Bankiem Polskim. Dzień zaczyna od porannego biegu, a kończy kryminałem do poduszki. W dzieciństwie przypędzał krowy z pastwiska, na rowerze woził serwatkę dla świń i odstawiał mleko do mleczarni. Mówi o sobie: „Jestem z awansu społecznego".

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 12

Szeregowy Artur Andrus, rocznik 1971, kategoria A2

Sporo było o historii, nie tylko wojskowej i nie tylko czasów PRL-u. Żeby nieco urozmaicić narrację, wzorem dobrej audycji radiowej, nastąpi teraz przerywnik muzyczny. W rytmie marszowym o swoim zamiłowaniu do piosenek żołnierskich opowiada niedoszły żołnierz, szeregowy Artur Andrus.

Popularny dziennikarz, artysta kabaretowy, autor i wykonawca piosenek, urodził się kilka lat za późno, żeby mieć szansę załapania się na Ludowe Wojsko Polskie. A w demokratycznej Polsce armia nie była już tak chciwa w łowieniu rekrutów. W rezultacie jedyny kontakt z wojskiem miał na zajęciach z przysposobienia obronnego w liceum w Sanoku. Całkowicie legalnie przysługuje mu jednak stopień szeregowego. Szarża ta należy się bowiem każdemu, kto przeszedł kwalifikację wojskową. A Artur Andrus miał (nie)przyjemność stanąć przed majestatem komisji poborowej.

– Wygląda na to, że wojsko mnie nie chciało, ale prawdę mówiąc, ja też nie bardzo się do służby wojskowej paliłem – przyznaje Andrus.

Rozmawiamy w siedzibie radiowej Trójki przy ulicy Myśliwieckiej 3/5/7 w Warszawie. Chyba dla każdego, kto przeżył młodość w PRL-u, była to kultowa stacja. Takie audycje jak *Zapraszamy do Trójki*, *MiniMax*, *Lista Przebojów*, *60 minut na godzinę*, czy *Powtórka z rozrywki* przyciągały miliony słuchaczy. Wiernych fanów mieli popularni prezenterzy muzyczni Trójki: Piotr Kaczkowski, Wojciech Mann, Marek Niedźwiecki, czy Tomasz Beksiński. Artur

baza ebooków

Andrus zaczął obracać się w tym doborowym towarzystwie w 1994 roku, kiedy był jeszcze studentem dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim.

Ni pies, ni wydra

– W czasie gdy studiowałem, nie było już zajęć w studium wojskowym, ani obowiązkowej służby wojskowej absolwentów – podejmuje zadany temat. – Pamiętam, że na komisji poborowej w Sanoku zapytano mnie, na jakie studia chcę się wybrać. Gdy powiedziałem, że na dziennikarstwo, kazali mi od razu wybrać rodzaj wojska, do jakiego chcę iść, bo bez znajomości i tak się (na studia – J.K.) nie dostanę.

Poborowemu Andrusowi przydzielono nieco zagadkową kategorię A2. – Mój brat, który był żołnierzem zawodowym, powiedział, że kategoria A2 to ni pies, ni wydra: zdolny do służby wojskowej, ale nie we wszystkich rodzajach wojsk – opowiada. – Nie wnikałem, w jakich rodzajach wojsk mógłbym służyć, ale podejrzewałem, że w żadnych nie będę.

Teraz, gdy koledzy opowiadają anegdoty o zajęciach w studium wojskowym, trochę żałuje, że ich nie miał. – To przecież byłby gotowy materiał do pracy! – żartuje. – Nie musiałbym opowiadać o tym, co przeżyli inni. Ale mówiąc poważnie, szkolenie wojskowe studentów było jedną wielką stratą czasu. Jak się słuchało o kopaniu rowów „odtąd do południa” – czy to miało sens?

Brak wyszkolenia wojskowego nadrabiał zamiłowaniem do piosenek żołnierskich. Jest fanem nieistniejącego już festiwalu w Kołobrzegu. – Nie wiem dlaczego, ale robiły na mnie piorunujące wrażenie piosenki typu: „Ech dywizjo, masz coś w sobie, sam już nawet nie wiem co, że dla ciebie wszystko zrobię, żebyś była oho ho”. Kawał poezji – śmieje się Andrus.

Cytat pochodzi z pieśni *Moja dywizja*, która w wykonaniu Edmunda Piotrowskiego, solisty Teatru Muzycznego ze Szczecina, zdobyła Srebrny Pierścień na festiwalu w Kołobrzegu w 1985 roku. Melodię skomponowała Katarzyna Gaertner, a autorem tekstu był Ryszard Ulicki (1943–2016) – działacz PZPR, późniejszy poseł SLD, znany też jako twórca słów do *Kolorowych jarmarków*.

Moja dywizja
Nie za mała, nie za duża
Taka właśnie, ot w sam raz,
Ostra jak wiosenna burza
I jak pierwszy po niej grad

Do natarcia gdy wyrusza,
To po wrogu marny ślad,

baza ebooków

Lecz ćwiczenia bardziej woli,
Zawsze od prawdziwych walk

Ech, dywizjo, masz coś w sobie,
Sam już nawet nie wiem co,
Że dla ciebie wszystko zrobię,
Żebyś była oho ho
(…)

Kołobrzeskie klimaty

Festiwale kołobrzeskie obsługiwał swoim piórem również Janusz Przymanowski, scenarzysta serialu *Czterej pancerni i pies* i autor powieści pod tym samym tytułem. Twórczość literacką łączył z karierą wojskową (był pułkownikiem LWP) i działalnością polityczną po stronie władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Był zwolennikiem wprowadzenia stanu wojennego, a w jego trakcie straszył rzekomą zemstą „Solidarności". Jako poseł PZPR w 1982 roku grzmiał w Sejmie: „Były przygotowywane listy proskrypcyjne, kogo i w jakiej kolejności na latarnie, a niektóre regiony wymieniały na tych listach również i dzieci. Co prawda powyżej lat sześciu. Ale Dżyngis-chan był bardziej łaskawy, wyrzynając bowiem podbite narody, wyrzynał je powyżej osi wozu, a wozy miał na wysokich kołach".

Za pieniądze zarobione na *Czterech pancernych i psie* pułkownik Przymanowski kupił willę na warszawskim Mokotowie, gdzie stał się sąsiadem generała Wojciecha Jaruzelskiego. Napisał ponad 200 tekstów piosenek, w tym wielki przebój kołobrzeski *Myśmy są wojsko* (słowa Janusza Przymanowskiego, muzyka Benedykta Konowalskiego, wykonanie Daniela Kłoska), nagrodzony Złotym Pierścieniem w 1976 roku. Jeśli komuś nic nie mówi tytuł utworu, pomocny może być refren.

Myśmy są wojsko
Piąty raz dojrzały wiśnie i maliny,
Czy też nas poznają panny i dziewczyny,
Bośmy poszli cicho, a wracamy głośno,
Bo nam dziś u ramion karabiny rosną.

Witaj, Zosieńko, otwórz okienko na wschodnią stronę,
Daj dla ochłody łyk zimnej wody – usta spragnione.
Witaj nam, Polsko, myśmy są wojsko biało-czerwone
Wolność za nami idzie polami: marsz, marsz, marsz
(…)

baza ebooków

– Piosenki Przymanowskiego to były prawdziwe perełki – ocenia Andrus. – *Siódma kompania bój zawzięty toczy i krew serdeczną wciąż wylewa z żył / Ranny porucznik w słup postawił oczy, sanitariusze pracują co sił* (*Przed nami Odra* – piosenka z *Czterech pancernych i psa* w wykonaniu Edmunda Fettinga – J.K.). Takie wesołe klimaty tworzył.

Jak przystało na satyryka, Andrus ironizuje, ale widać, że kołobrzeskie klimaty go pociągają i jest w tej twórczości osłuchany.

– Albo coś, co śpiewał słynny Adam Zwierz (do słów Janusza Przymanowskiego i muzyki Benedykta Konowalskiego): *Płynie przez Kołobrzeg Parsęta, Parsęta / Dziesięć dni kto przeżył, pamięta, pamięta* – dorzuca kolejną perełkę. – To był poważny refren, bo zwrotki wprowadzały w skoczny, wręcz satyryczny nastrój tekstem typu: *Ośmiu było fizylierów w drużynie szturmowej, kiedy braliśmy gazownię, jeden dostał w głowę*. A kończyło się opowieścią o ślicznych dziewczynach, które chodzą dzisiaj po plaży w Kołobrzegu i są orderem za żołnierskie czyny. Klasyk czarnego humoru!

Płynie Parsęta *(…)*
Przyszli do nas z batalionu, rany przewiązali,
Gęby umyć z tłustej sadzy i czekać kazali.
Sam pułkownik miał przyjechać czy też kto i wyżej,
W morze złoty pierścień wrzucić, a nam przypiąć krzyże.

Płynie przez Kołobrzeg Parsęta, Parsęta
Dziesięć dni kto przeżył, pamięta, pamięta.
Płynie przez Kołobrzeg Parsęta, Parsęta.

Sznapsa miarkę z tej radości pod tuszonkę świńską
Wypiliśmy w jednej sieni, co od fortu blisko.
Nocą cisza nas zbudziła po spaniu serdecznym,
Innym chłopcom przywiesili te Krzyże Walecznych.

Płynie przez Kołobrzeg Parsęta, Parsęta
Dziesięć dni kto przeżył, pamięta, pamięta.
Płynie przez Kołobrzeg Parsęta, Parsęta.

Krzyże muszą być rozdane, jak przyjeżdża władza,
Żalu żaden z nas trzech nie ma, w sumie to się zgadza.
Dziś po plaży takie chodzą frontowe dziewczyny,

baza ebooków

Gdy czym błysną, to jak order za żołnierskie czyny.
(…)

Dowodził kapitan Kloss

Fascynacja kołobrzeskim festiwalem sprawiła, że Artur Andrus zrobił kiedyś w radiu audycję na temat piosenki żołnierskiej. – Tak się nam rozwinęła dyskusja na antenie, że w pewnej chwili zadzwoniła tajemnicza słuchaczka, w której rozpoznałem Ewę Bem – relacjonuje dziennikarz. – Opowiadała, jak spotkała na lotnisku artystów wracających z festiwalu w Kołobrzegu, którzy cytowali jej co ciekawsze teksty. Zachwyciła się wówczas piosenką *Marsz dla desantu* (właściwie: *Nie ma marsza dla desantu* – J.K.).

Zachwycony odkryciem Pierwszej Damy Polskiego Jazzu był również autor audycji. Zwracał uwagę na refren utworu (słowa Krzysztofa Drzewieckiego, muzyka Jacka Malinowskiego, wykonanie Janusza Jędrzejczyka z zespołem Primo Voto): *Nie ma marsza dla desantu / No bo kiedy maszerować / Gdy się spada prosto z nieba / Na głębokich tyłach wroga*. „To jest wyższa szkoła jazdy, żeby wpaść na taki pomysł, proszę państwa” – komentował w jednym z wywiadów.

Nie ma marsza dla desantu
(…)
Nie ma marsza dla desantu,
No bo kiedy maszerować,
Gdy się spada prosto z nieba
Na głębokich tyłach wroga.

Desant sobie sam wystarcza,
Brak im czasu na parady.
Ja bym chciała do desantu,
Tu dziewczyna nie da rady.

Rząd beretów, twarz przy twarzy,
O nich wiele dziewcząt marzy,
Bowiem żołnierz z tej dywizji
To fizyczny wzór precyzji.
(…)

W latach 1968–1989 na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu wykonano ponad tysiąc utworów. Wielkimi przebojami stały się takie piosenki, jak: *Powołanie* (*Gdy piosenka szła do wojska*) Maryli Rodowicz, *Przyjedź, mamo, na przysięgę* Trubadurów, *Nie żałujcie serca, dziewczyny* Anny Jantar, *Chabry z poligonu*

baza ebooków

Jerzego Rynkiewicza, *Takiemu to dobrze* Józefa Nowaka, *Strzelec Podhalański* Daniela Kłoska czy wspomniany już hit *Myśmy są wojsko*.

Żelaznym konferansjerem festiwalu był Stanisław Mikulski – popularny kapitan Kloss z serialu *Stawka większa niż życie*. Uczestnicy konkurowali o nagrodę Złotego, Srebrnego i Brązowego Pierścienia. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na deskach amfiteatru w Kołobrzegu występowała czołówka polskiej muzyki rozrywkowej. Jednak później, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego, większość znanych piosenkarzy omijała Kołobrzeg szerokim łukiem. Propagandowy charakter imprezy stał się wtedy nie do zniesienia.

Z rozdziawioną gębą

„Piosenka żołnierska, która (…) była przejawem kultury masowej PRL-u, nie służyła wyłącznie rozrywce, ale przede wszystkim przez odpowiedni dobór treści miała pełnić funkcję perswazyjno-propagandową” [77] – zaznacza historyk Instytutu Pamięci Narodowej Karolina Bittner.

Nad festiwalem od początku czuwał Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. Piosenki miały między innymi upowszechniać „ideę braterstwa broni Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej z innymi armiami państw socjalistycznych”.

„Wielka polityka, kwestie gospodarcze, rocznice, sukcesy znalazły odbicie w tekstach kołobrzeskich przebojów” – opisuje Karolina Bittner. „Piosenka żołnierska miała wychowywać polskie społeczeństwo, przede wszystkim przez dobór odpowiednich treści. Miłość do ojczyzny, sojusze wojskowe, tak zwane Ziemie Odzyskane, pochwała munduru i wojskowego życia to tematy stale obecne w Kołobrzegu” [78].

Artur Andrus był dzieckiem, gdy kołobrzeski festiwal przeżywał swój rozkwit.

– Siedziałem z rozdziawioną gębą, bo nie wiedziałem, dlaczego ci żołnierze na scenie tak tańczą i machają nóżkami – wspomina. – Przedziwny był ten festiwal. Dziś inaczej się na niego patrzy niż wtedy, ale tamto propagandowe zacięcie i zadęcie dodawało mu nie tyle uroku, ile zabawnego charakteru. Dopiero po latach zacząłem się zastanawiać, co takiego zabawnego było w tym festiwalu. Znajomi wyszukiwali dla mnie na aukcjach internetowych śpiewniki związane z Kołobrzegiem, a w mojej twórczości zaczęły się pojawiać elementy wojskowe.

Zafascynowany żołnierskimi klimatami z Kołobrzegu, napisał *Balladę o moździerzach spod Pucka*, z takim refrenem: *Pluton moździerzy pod Puckiem stał ukryty w posępnych świerkach / Dziesięciu żołnierzy, piętnaście dział i stara żołnierska manierka*.

Potem, gdy w Polsce zaczęły się przemiany, przymierzał się do napisania cyklu ballad lotniczych. Ale cierpliwości wystarczyło mu na jeden wiersz: *Stare migi*

baza ebooków

światła gaście, leci nowy F-16 / Leci F-16 nowy z małym workiem offsetowym. Więcej nie napisał.

Wykorzystywał też bardziej tradycyjne tematy. W poszukiwaniu inspiracji przejrzał tytuły piosenek wydanych w dwudziestoleciu międzywojennym przez Syrena Grand Rekord, pierwszą polską wytwórnię płytową.

– To było ponad osiem tysięcy tytułów – opowiada. – Zastanawiałem się, czym się różnią współczesne piosenki od tamtych i zauważyłem, że teraz jest mniej piosenek o ułanach. Postanowiłem to nadrobić. Zauważyłem też, że przed wojną wiele tekstów dotyczyło różnych części ciała człowieka, a zwłaszcza kobiety. Pomyślałem, że napiszę jakąś piosnkę o ułanie, a w zasadzie o części ułana – i napisałem *Biodro ułana* (muzyka Marcin Partyka).

Biodro ułana
Nie śpiewali rewelersi
O kobiecej piersi,
Bo to wyuzdane zbyt
I w ogóle wstyd.
Ale dzisiaj, ale dzisiaj
Nie wstydziłaby się Krysia
Nagą piersią szczodrą
O ułana biodro…

Biodro ułana,
Doświadczone, chociaż młode,
Biodro ułana,
Najpiękniejsze z wszystkich bioder.
Ucałuj, ucałuj, dziewczyno kochana,
Pachnące pszenicą biodro ułana.
Tu gdzie Wisła, tu gdzie Odra,
Tylko w Polsce takie biodra,
Kiedy życie z marzeń odrze,
Możesz wesprzeć się na biodrze.

Bardzo długa asymptota

Artur Andrus uwielbia anegdoty związane z wojskiem. Najczęściej są to opowieści dotyczące studium wojskowego.

– Niektóre z nich stały się tak bardzo popularne, że często ludzie opowiadają, iż przydarzyło im się to naprawdę, akurat na ich uczelni i na ich roku – zauważa. – A po dziesięciu latach ktoś z całkiem innej uczelni zarzeka się, że to on przeżył takie właśnie zdarzenie. Niestety, żadna z tych anegdotycznych historii nie mogła mi się przydarzyć, bo nie miałem zajęć w studium wojskowym. Ktoś mi na

baza ebooków

przykład opowiadał historię, jak studenci filologii skandynawskiej postanowili uciec z zajęć. Zdenerwowany pan kapitan chodził przed salą, aż wypatrzył jakiegoś studenta, złapał go i pyta: „Czy pan zna kogoś z filozofii szwedzkiej?”. Student, przerażony, myślał, że to jakaś forma egzaminu i bąknął jakieś nazwisko na odczepnego: „Znam Bergsona”. Kapitan polecił przekazać Bergsonowi, że wszyscy mają nieobecność… Nie wiem, czy to jest prawdziwa historia, ale za to bardzo ładna.

Kiedyś słuchacz podesłał redaktorowi Andrusowi anegdotę – potem okazało się, że opowiadał ją słynny poeta i satyryk Jonasz Kofta – jak dwóch studentów postanowiło urwać się z zajęć wojskowych.

– Chyłkiem wychodzą z budynku, a tu nagle staje przed nimi kapitan i pyta, dokąd się wybierają – odtwarza historię Artur Andrus. – Jeden ze studentów o mało nie zemdlał od razu, ale drugi postanowił, że będzie walczył i wyrecytował: „Obywatelu kapitanie, melduję, że z rozkazu dowódcy batalionu udajemy się po asymptotę”. Nastąpiła wówczas chwilowa wewnętrzna walka w obywatelu kapitanie, ale ją podjął i po krótkim zastanowieniu zapytał, dlaczego idzie aż dwóch. Gdy student wyjaśnił, że to wyjątkowo długa asymptota (w geometrii: prosta, której odległość od danej krzywej nieograniczenie maleje w miarę posuwania się po tej prostej – J.K.), kapitan odpuścił.

Innym razem Artur Andrus dostał list od pewnej pani, która pracowała z żołnierzem zawodowym. Człowiek ów używał specyficznego języka.

– Na imieniny przyniósł do pracy czekoladki – relacjonuje Andrus. – Chciał, żeby ta pani rozdała je wszystkim, więc powiedział: „rozprowadź”. Ktoś inny napisał, że kiedyś brat, który jest żołnierzem zawodowym, kazał mu iść i „stwierdzić”, czy matka jest w domu. To są ciekawostki językowe, które gdzieś tam w człowieku zostają.

Strzelanie nr 1

Osobiście szeregowy Andrus jedyny kontakt z wojskiem miał w postaci zajęć z przysposobienia obronnego w liceum w Sanoku. Właściwie było to „przysposobienie filmowe”.

– To był czas, kiedy pojawiły się pierwsze magnetowidy – wspomina. – W Sanoku jeden magnetowid był w komitecie partii, a drugi – na plebanii u księdza. Na przysposobieniu obronnym chodziliśmy do komitetu partii i oglądaliśmy *Rambo*, a na religii oglądaliśmy *Akademię Policyjną*. To było ciekawe wykorzystanie magnetowidów w Sanoku.

Potem pojawiła się w liceum pierwsza kamera wideo…

baza ebooków

– Postanowiliśmy w klasie nagrać film instruktażowy z przysposobienia obronnego pod tytułem *Strzelanie nr 1* i wysłać go na konkurs – wspomina. – Kręciliśmy na strzelnicy: pozycja strzelecka, KBKS, wszystko jak należy. Byłoby dobrze, ale wtedy dowiedziałem się, co to są tak zwane postsynchrony. Okazało się bowiem, że dźwięku tam nagranego nie możemy wykorzystać, bo moi koledzy wydawali na przykład komendy: „Pierwsza brygada imienia psa Cywila – za mną!”.

Jak żartował Andrus, pokazanie takiego podejścia do obronności kraju groziłoby rozpadem Układu Warszawskiego.

– Musieliśmy dołożyć do filmu oddzielny komentarz – ciągnie opowieść Andrus. – Prześmiesznie to wyglądało, bo nagrałem go na podkładzie jakiejś romantycznej muzyki granej przez Marka i Wacka. Była to jedna z niewielu płyt z muzyką instrumentalną, jaką miałem. Wyszło komicznie, ale zdaje się, że film *Strzelanie nr 1* wygrał konkurs.

KBKS – karabinek sportowy. Służy do nauki strzelania, używany też na zawodach strzeleckich. Waży niespełna cztery kilogramy i strzela lekką amunicją. W Polsce popularny był KBKS wzór 48 produkowany w latach pięćdziesiątych przez radomską Fabrykę Broni „Łucznik”. Jego prosta konstrukcja zbliżona była do używanych wtedy w LWP rosyjskich karabinków Mosin wzór 44. Radomski KBKS to broń jednostrzałowa. Karabinek nie miał magazynka, strzelec po oddaniu strzału musiał załadować broń pojedynczym nabojem. Nie był zabawką. Mechaniczny celownik umożliwiał precyzyjne strzelanie na krótkie i średnie dystanse. Z odległości pięćdziesięciu metrów można było nim przebić bal o grubości sześćdziesięciu milimetrów. Wykorzystywany do szkolenia żołnierzy, ale też między innymi w Lidze Obrony Kraju i w szkołach w ramach przysposobienia obronnego.

Jajeczko na strzelnicy

Artur Andrus nie był na strzelnicy mistrzem świata, ale też nie przypomina sobie, żeby dostał ze strzelania dwóję. Pamięta za to taką historię:

– Kiedyś mój znajomy, były żołnierz, zaprosił mnie na firmowe spotkanie przy jajeczku. Takie przed świętami Wielkiej Nocy. Wstałem rano, głowa mnie bolała strasznie, bo coś dziwnego działo się z ciśnieniem. Kompletnie nie skojarzyłem, że spotkanie, na które mam jechać, odbywa się na strzelnicy. Pojechałem z tym bolącym łbem, wchodzę, a tam główną atrakcją dla gości jest strzelanie z każdego rodzaju broni. Myślałem, że umrę. Jak kogoś głowa boli, to raczej w prawdziwym wojsku nie powinien być. Powinien być przesunięty do rezerwy, można go co najwyżej skierować na ćwiczenia zastępcze. Na przykład codziennie przed pracą

baza ebooków

musiałby się zgłosić do miejscowej Wojskowej Komisji Uzupełnień i przez godzinę słuchać piosenek żołnierskich, typu *Ech*, *dywizjo*, *masz coś w sobie*.

Artur Andrus
Śpiewa, pisze, recytuje… Człowiek wielu talentów: dziennikarz, prezenter radiowy i telewizyjny, konferansjer, satyryk, poeta, pisarz, autor tekstów piosenek, artysta kabaretowy, aktor (drugoplanowy), piosenkarz. Wydał kilka przebojowych płyt z takimi hitami jak Cyniczne córy Zurychu*,* Piłem w Spale, spałem w Pile*,* Ciocia w gablocie*. Przez ponad dwie dekady pracował w radiowej Trójce. Odszedł w 2017 roku, gdy zarząd Polskiego Radia nie zgodził się na jego współpracę ze* Szkłem kontaktowym *TVN24. Komentatorem tej audycji był przez osiemnaście lat (2005–2023). Trafił tam na zaproszenie kolegów z Trójki – Tomasza Sianeckiego i Grzegorza Miecugowa. „Ja tam zacząłem chodzić ze względów towarzyskich" – tłumaczył. „Jak mi pokazują jakiegoś polityka i pytają, co ja o tym myślę, to ja myślę o tym tylko w kategoriach takich: czy on jest zabawny, czy nie jest zabawny. Żadnego poważnego komentarza tam jeszcze nigdy nie wygłosiłem".*

baza ebooków

Ks. 92

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

KSIĄŻECZKA WOJSKOWA

Seria H Nr 717490

[illegible] Grzegorz

nazwisko

imiona i imię ojca

Data urodzenia 22. listop. 1950

podpis posiadacza książeczki

Książeczka wydana przez

WKSzW Kraków Śródmieście

Dnia [illegible] 19[illegible]

podpis

baza ebooków

Rozdział 13

Szeregowy Grzegorz Miecugow, rocznik 1955, kategoria A

Chciał zażartować sobie z komisji wojskowej. Chodził w Krakowie do liceum, miał siedemnaście lat i podkusiło go, żeby do książeczki wojskowej przynieść zdjęcie z trzeciej klasy szkoły podstawowej. Tak dla hecy. Był przekonany, że wojskowi zorientują się, krzykną, że żarty sobie stroi i będzie śmiesznie. A oni ten portret wzięli! I wydali mu książeczkę wojskową, w której na zdjęciu jest mały, pucołowaty chłopczyk, a w rubryce „kategoria" – A.

Przez tę najwyższą kategorię świętej pamięci Grzegorz Miecugow trafił później do najmniej atrakcyjnej grupy w studium wojskowym. O swoich militarnych doświadczeniach opowiadał w małej salce na parterze siedziby TVN-u przy ulicy Wiertniczej na warszawskim Wilanowie. Pamiętałem go jeszcze ze swoich studiów dziennikarskich. W ramach pracowni radiowej miałem praktyczne zajęcia na Myśliwieckiej. Grzegorz Miecugow nie pracował jeszcze w Trójce i nie był powszechnie znany. Po sąsiedzku prowadził młodzieżowe audycje w Programie IV i zajmował się studentami. Pamiętam, że wprowadzał nas w tajniki profesjonalnego magnetofonu Nagra, konstrukcji Stefana Kudelskiego – Polaka mieszkającego w Szwajcarii. Ten sprzęt był wtedy marzeniem każdego reportera radiowego.

Po latach, gdy Miecugow był już jednym z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy w Polsce, widywałem go w Sejmie. Rzeczowo, z dystansem i poczuciem humoru komentował polityczne spięcia, spory i awantury. Podobnie opowiadał o swoich perypetiach z wojskiem.

Jacyś okularnicy

Wychował się w Krakowie, gdzie mieszkał w słynnym Domu Literatów przy Krupniczej 22. Za sąsiadów miał między innymi Wisławę Szymborską i Sławomira Mrożka. Jego ojciec, Bruno Miecugow, był gwiazdą krakowskiej prasy. Przez wiele

baza ebooków

lat pisał felietony w „Dzienniku Polskim” i teksty dla słynnego kabaretu Jama Michalika. Dorastający Grzegorz na każdym kroku był kojarzony z ojcem. Dlatego jeszcze w liceum zarzekał się, że nigdy nie będzie dziennikarzem. Uważał, że byłoby to pójściem na łatwiznę. W 1974 roku zaczął studiować filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim.

– Wyznam panu, że poszedłem na filozofię, bo moja ukochana polonistka odwiodła mnie od polonistyki – zwierzał się. – Powiedziała, że się tam zanudzę i spytała, co bym w życiu chciał robić. Odpowiedziałem wtedy, że wiem, czego nie chcę robić: otóż nie chcę być dziennikarzem. Mój ojciec był dziennikarzem, a we mnie siedzi jakaś przekora. Zauważałem bowiem, że wszystko staje się takie strasznie łatwe, gdy ma się rzadkie nazwisko i czerpie się korzyści z przetartych szlaków.

Z tych samych powodów szybko przeniósł się na filozofię do Warszawy. Uciekł do stolicy w poszukiwaniu własnej tożsamości. Tylko od wojska uciec nie mógł.

– Na Uniwersytecie Warszawskim od trzeciego roku mieliśmy zajęcia w studium wojskowym przy ulicy Żwirki i Wigury, razem ze studentami socjologii – wspominał. – Dziewczyny chodziły na zajęcia z chłopakami, którzy mieli kategorię B (czasowo niezdolny do służby – J.K.) lub D (niezdolny w czasie pokoju). Natomiast w grupie z kategorią A (zdolny) i C (zdolny z ograniczeniem) byli tylko faceci, do tego głównie jacyś okularnicy, wymoczki troszkę. Paradoksalnie wszyscy, którzy wyglądali jako tako, mieli „gorsze” kategorie wojskowe i zostali przydzieleni do zajęć z dziewczynami. Tak więc grupa, która z założenia miała bronić kraju, składała się z samych okularników. Ale bardzo mi to nie przeszkadzało, bo i tak zawsze siedziałem w ostatniej ławce i grałem z kolegami w kości. Taką akurat mieliśmy wtedy pasję.

Gra w kości nie sprzyjała wchłanianiu wiedzy wojskowej. Gdy przyszedł czas egzaminu, student Miecugow został rzucony na głęboką wodę i cudem nie zatonął.

– Trzech wojskowych siedziało w sali, do której wchodził student, i zadawali pytania – zapamiętał. – Zdałem na trójkę, bo odpowiedziałem na jedno tylko pytanie: jakie są przeprawy? Powiedziałem, że przez rzekę – dobrze, przez jezioro – dobrze. Ale widzę, że jeszcze na coś czekają. Mówię nieśmiało, że przez morze, ale to była zła odpowiedź. Wtedy taki młody wykładowca, któremu chyba zrobiło się mnie żal, wyszeptał: „kanał”. Powtórzyłem i zdałem.

Maszynista sceny

Po studiach nie za bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Miał świadomość, że czeka go roczna służba wojskowa, ale zupełnie tym się nie przejmował.

baza ebooków

– Myślałem, że jak pójdę do wojska, to będzie trochę jakby przedłużenie dzieciństwa. Bo na przykład pogram sobie w siatkówkę, w koszykówkę – opowiadał ze śmiechem.

Pod koniec studiów, zanim jeszcze obronił magisterkę, zatrudnił się w warszawskim Teatrze na Rozdrożu, na etacie… maszynisty sceny.

– Dosyć szybko zostałem przeniesiony na stanowisko wicedyrektora i asystenta reżysera – zaznaczał. – To jednak nie zmieniło faktu, że gdy były spektakle, pracowałem w szatni. W teatrze w zasadzie robiłem wszystko. Miałem wykłady dla aktorów z filozofii, z Heideggera, Leibniza, a wieczorem malowałem ściany.

Teatr mieścił się w jednym z ocalałych pawilonów historycznego Szpitala Ujazdowskiego, niedaleko Zamku Ujazdowskiego. Obecnie znajduje się tu Instytut Teatralny imienia Zbigniewa Raszewskiego. – Zrobiliśmy salę do występów, widownię, rury, na których wisiały światła, wszystko własnym sumptem – referował Miecugow.

Awangardowa scena finansowana była, jak widać niedostatecznie, przez Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe, podobnie jak w przypadku krakowskiego Teatru STU.

Miecugow: – Naszym szefem był Marcin Idziński, reżyser z ambicjami, który potem wyjechał do Niemiec, pracował w Radiu Wolna Europa. Miał taki pomysł, żeby założyć teatr, nie jak Teatr STU złożony z amatorów, tylko z aktorów, którym nie udało się zrobić większej kariery. Nie mieliśmy zbyt wielu sukcesów. Zrobiliśmy beznadziejny spektakl *Biblia*. Potem była wiązanka wierszy *Kanon polski* – wyszło jak na akademii. Naszym największym sukcesem było to, że zatrudniliśmy Jacka Kaczmarskiego, Przemka Gintrowskiego i Zbyszka Łapińskiego. I to u nas odbyła się premiera *Murów*. Mieliśmy też całkiem nieźle zrobioną sztukę Mrożka *Policjanci*. Padliśmy na początku 1980 roku, dlatego że Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe poczuły kryzys, który nadchodził wielkimi krokami, i cofnęły nam dotację.

Według innych relacji teatr został zlikwidowany z powodów politycznych. „Główną przyczyną zamknięcia teatru była jednak prapremiera spektaklu Jacka Kaczmarskiego, Przemysława Gintrowskiego i Zbigniewa Łapińskiego *Mury*” – podaje autor sylwetki Idzińskiego na portalu *Salon24*. „Teatr nie ograniczał się do prezentacji tego spektaklu w swej stumiejscowej sali, wykorzystując prawną możliwość grania spektakli o charakterze »zamkniętym«, które nie podlegały cenzurze. W ten sposób grano spektakle przed wielotysięcznymi widowniami, w tym robotniczymi, na przykład na terenie budowanej wówczas elektrowni

baza ebooków

Kozienice – wyłącznie dla pracowników budowy! Ten spektakl obejrzało w Kozienicach ponad piętnaście tysięcy budujących elektrownię robotników” [79].

Przydział do Elbląga

Wojsko przypomniało sobie o szeregowym Miecugowie jeszcze gdy pracował w teatrze. Ni stąd, ni zowąd dostał przydział do jednostki w Elblągu. Miał stawić się na miejscu drugiego stycznia 1979 roku.

Dzielące go od służby kilka miesięcy postanowił wykorzystać na wyjazd do Francji. O dziwo, dostał paszport.

– To był ewenement, że mnie puszczono, choć miałem wojsko na karku – opowiadał. – Pracowałem w Paryżu jako *babysitter*. Zupełnie przypadkowo znalazłem tę pracę. Mój podopieczny ma dziś trzydzieści parę lat i jest adwokatem. Wtedy miał dwa latka. Moja pryncypałka chciała mnie zatrzymać, ale jej wyjaśniłem, że nie mogę zostać, bo mam niezałatwioną sprawę służby wojskowej.

W październiku 1978 wrócił do Polski. Napisał do wojska podanie z prośbą o odroczenie służby.

– A potem była zima stulecia, cały kraj zasypany śniegiem – relacjonował. – Gdy wracałem z sylwestra w Zakopanem, nie wiedziałem jeszcze, czy moje podanie zostało zaakceptowane. Wysiadłem na dworcu w Warszawie po morderczej podróży i nie byłem pewien, czy przypadkiem nie muszę zaraz jechać do Elbląga.

Na szczęście okazało się, że dostał odroczenie. Wojsko łaskawie podarowało mu pół roku. Ale to było tylko pół roku.

– Wtedy poszedłem do lekarza na Żoliborzu – kontynuował Miecugow. – Zameldowałem, że miałem wypadek na nartach, po którym mam kłopoty ze wzrokiem, bo niewyraźnie widzę na jedno oko. Młoda lekarka bardzo się tym przejęła i dała mi jakieś zastrzyki. Przyjąłem całą ich serię, nic mi się nie poprawiało, ale za to miałem coraz większy plik dokumentów medycznych. Poszedłem z nimi na komisję lekarską, żeby mi zmienili kategorię. Zabawne było to, że razem ze mną zgłosiło się trzydziestu młodych ludzi, którzy chcieli zdawać do szkoły wojskowej. I nawet jeśli na coś chorowali, to udawali, że nie chorują. Było też chyba siedmiu takich jak ja, którzy z kolei byli zdrowi, a chcieli jakoś udowodnić, że zdrowi nie są. Lekarze nie bardzo wiedzieli, kto jest kim, i nawet jeśli chcieli komuś zaszkodzić, to nie wiedzieli, co komu zaszkodzić może.

Lekarze wojskowi w czasach PRL-u należeli do elity w swoim zawodzie. Władze nie szczędziły sił i środków na mundurowych medyków. W Łodzi przez niemal pół wieku działała Wojskowa Akademia Medyczna, która kształciła lekarzy na potrzeby czterystutysięcznej armii. „Zaszczytem było tu studiować, a ukończyć studia

baza ebooków

niezwykle trudno” [80] – zapewnia absolwent akademii profesor Krzysztof Zeman z Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Dyplomy łódzkiej uczelni zdobyło ponad sześć tysięcy oficerów. Wiedzę ze studiów sprawdzali na poligonach. Na przykład w warunkach polowych przystosowywali dachy pojazdów do przeprowadzania operacji. W 2003 roku Wojskowa Akademia Medyczna (WAM) została zlikwidowana. Uznano, że skurczona o połowę armia nie potrzebuje aż tylu lekarzy. W rezultacie dziś dramatycznie brakuje w wojsku medyków. Władze zapowiedziały już reaktywację WAM-u.

Zwiał wojsku po linijce

Poborowy Miecugow przeszedł skrupulatne badanie. Na komisji lekarskiej zaliczał kolejne punkty kontroli medycznej.

– Tam, gdzie badano słuch, słabo słyszałem, przyznałem się do dwukrotnego złamania ręki, która nigdy nie była złamana – relacjonował. – Ale moim prawdziwym atutem były zaświadczenia, że się leczę na oko. Więc u lekarza okulisty wyciągam te papiery, opowiadam historię choroby. Ale widzę, że on nie zwraca na mnie uwagi, tylko grzebie w biurku. Grzecznie pytam, czy pan doktor mnie w ogóle słucha? „Tak, tak, słucham” – mówi – „tylko mi linijka wpadła za szufladę”. „To może ja panu doktorowi tę linijkę wyciągnę, bo mam szczupłe ręce?”. Wchodzę za biurko, znajduję linijkę, wyciągam ją i mu daję. A on, nie patrząc w ogóle na moje ciężko zdobyte dokumenty, mówi: „To co mam panu wpisać?”.

Można powiedzieć, że tym szczęśliwym trafem Miecugow zwiał wojsku po linijce. Konkurencję miał ogromną, bo w PRL-u niemal każdy poborowy chętnie wymigałby się od wojska. Jak zauważa krakowski publicysta Paweł Stachnik, zasadnicza służba wojskowa w PRL-u kojarzyła się z przymusem, bezmyślnością i ideologicznym praniem mózgu. Dla młodych mężczyzn były to lata wyjęte z życiorysu.

„W czasach, kiedy studiowałem, tuż po stanie wojennym, pójście do wojska było jednoznaczną deklaracją polityczną” – wyjaśniał były wicepremier Jarosław Gowin, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Robiliśmy wszystko, stawaliśmy na głowie, żeby uniknąć służby wojskowej. I mnie się to udało” [81].

Zapytany o szczegóły odparł jedynie z uśmiechem, że „trochę miał kłopotów ze zdrowiem” [82].

„Najbardziej popularną metodą uniknięcia służby w Ludowym Wojsku Polskim było symulowanie poważnej choroby”, opisuje Paweł Stachnik. „Fantazja poborowych była wielka. Wspierali ją zaprzyjaźnieni lekarze, wystawiający potrzebne zaświadczenia” [83].

baza ebooków

W ten właśnie sposób służby wojskowej uniknął legendarny lider Czerwonych Gitar Krzysztof Klenczon (1942–1981). „Jego ojciec przez swoje znajomości w Mikołajkach i Szczytnie załatwił mu odroczenie”, ujawnia Alicja Klenczon, żona muzyka. „Mój teść miał szerokie kontakty. Znał ordynatora szpitala, aptekarza, sekretarza partii. Krzysztof zaszantażował ojca, że jeśli go wezmą w kamasze, to popełni samobójstwo” [84].

Artyście przydzielono kategorię D (niezdolny do czynnej służby wojskowej w czasie pokoju), dzięki czemu polski bigbit wzbogacił się o wiele niezapomnianych przebojów.

Kocham cię jak psychiatra

Nie powiodło się natomiast innemu muzykowi z pierwszego składu Czerwonych Gitar. W 1966 roku gitarzysta basowy Henryk Zomerski (1942–2011) dostał bilet do wojska, gdy był w trasie koncertowej. Nie zgłosił się do jednostki, a na scenie występował pod fikcyjnym nazwiskiem i w peruce. Kiedy podczas występu w warszawskim Domu Chłopa dowiedział się, że na sali pojawiła się Wojskowa Służba Wewnętrzna (WSW), ukrył się za podium pod perkusją. „Mało nie ogłuchłem”, opowiadał. „W końcu wyszedłem z ukrycia i dobrowolnie zgłosiłem się do wojska” [85].

Zomerski miał zostać namierzony za sprawą własnej matki. Alicja Klenczon: „Był bardzo zakochany w Ludce, a jego matka nie akceptowała tego związku, więc informowała WKU, gdzie można znaleźć syna. W końcu wzięli go do wojska” [86].

Skorzystał na tym Seweryn Krajewski, który zajął w zespole miejsce nieszczęsnego rekruta. Zomerski wrócił do Czerwonych Gitar dopiero w 1999 roku.

Wojskowa Służba Wewnętrzna była postrachem poborowych i wojaków na przepustkach. Żołnierze tej formacji wyróżniali się białymi elementami umundurowania, takimi jak pas, kabura, otok na czapce. Patrolowali miasta – zwłaszcza okolice dworców oraz popularnych wyszynków – w poszukiwaniu dezerterów, maruderów i młodzieńców uchylających się od służby wojskowej. Mieli prawo legitymować i zatrzymywać nie tylko tych, którzy paradowali po ulicach w mundurze, ale również przypadkowych cywili. Zadania typowe dla żandarmerii wojskowej były jednak tylko częścią rozległych kompetencji WSW. Była jednym z organów bezpieczeństwa PRL-u, wyspecjalizowanym w kontrwywiadzie wojskowym. „W 1986 r. w sieci agenturalnej WSW pracowało ponad szesnaście tysięcy ludzi, z którymi spotykano się w ponad tysiącu mieszkań i lokali konspiracyjnych pozostających w dyspozycji kontrwywiadu” [87] – pisał historyk

baza ebooków

profesor Antoni Dudek. W 1990 roku WSW została zastąpiona przez Żandarmerię Wojskową, a od 1991 roku również przez Wojskowe Służby Informacyjne. Piętnaście lat później WSI podzieliły los WSW – zostały rozwiązane.

Dwie dekady po przejściach Zomerskiego wojsko niechcący przyczyniło się do powstania kultowej dziś toruńskiej grupy Kobranocka. Wszystko zaczęło się od „żółtych papierów", których pożądał Andrzej „Kobra" Kraiński. Rockowemu muzykowi groziło pójście do woja, przed czym chroniła choroba psychiczna. Rzeczywista czy urojona – mniejsza z tym. Ważny był papier.

„Kiedy dawno temu (w 1984 roku – J.K.) upomniało się o mnie Ludowe Wojsko Polskie, postanowiłem udawać wariata, co z naturalnych predyspozycji przyszło mi bez problemu, potem trafiłem do psychiatryka" – relacjonował Kobra. „W tymże szpitalu moim lekarzem był Andrzej Michorzewski, czyli kobranockowy Ordynat Michorowski, który okazał się nieprawdopodobnie oryginalnym poetą, autorem wielu odjazdowych tekstów" [88].

Muzyk z psychiatrą założyli zespół Latający Pisuar. Wkrótce zmienili nazwę na Kobranocka i podbili polską scenę rockową między innymi nieśmiertelnym utworem *Kocham cię jak Irlandię*. Spod pióra doktora Michorzewskiego wyszły też słowa dowcipnej piosenki o poborze do wojska *Ela, czemu się nie wcielasz*. W latach 1987–1989 utwór znalazł się na czarnej liście cenzury.

Ela, czemu się nie wcielasz
Na komisji powiedzieli – niedojrzały, trzeba wcielić,
Twoją barwą ma być zieleń i wcielili mnie, jak cielę.
Na zebraniu Ligi Kobiet tłusta baba, choć też człowiek,
Bełkotała do toastów, żeby wcielać pederastów.

Jak garnkowi gadał kocioł, siląc się na dobroć kocią,
Niedojrzałość ci wypomną, choć im bardziej jest zielono.
Ela, czemu się nie wcielasz, twoich oczu blask niewinny
Przypomina mi mundur, co z tego, że inny.
(…)

Metoda „na babcię"

Forteli, by wymigać się od służby wojskowej, albo przynajmniej odsunąć ją w czasie, było znacznie więcej. Desperaci łamali sobie rękę lub choćby palec, zazwyczaj ten od naciskania spustu. Uczęszczano na spotkania anonimowych alkoholików, przedstawiano zaświadczenia o moczeniu nocnym, zmieniano miejsce pobytu, by nie odebrać wezwania do WKU, czy jednostki. „A on w mateczniku

baza ebooków

siedział, by się pobór nie dowiedział” – głosiło ówczesne przysłowie. Niektórzy próbowali schronić się za granicą. Ale nie było to takie proste.

„Koledzy (…) namawiali mnie do wspólnego wyjazdu na narty do Włoch” – opisuje Karol Życzkowski, dziś profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Aby uzyskać w Polsce paszport, należało jednak wcześniej otrzymać zgodę z wojska. Z elegancko napisanym podaniem i kopią zaproszenia z Włoch pomaszerowałem więc do Wojskowej Komisji Uzupełnień. (…) Zawiodłem się srodze. Gdy tydzień po złożeniu podania o wyrażenie zgody na wyjazd do Włoch zameldowałem się w Komendzie Uzupełnień, znany mi już dobrze chorąży oświadczył, że zgody na wyjazd dla mnie nie ma, ale na pociechę da mi bilet do SPR (Szkoły Podchorążych Rezerwy – J.K.) na najbliższy, majowy pobór…” [89]

Był koniec lat osiemdziesiątych, Karol Życzkowski właśnie obronił doktorat z fizyki teoretycznej i nie chciał przerywać kariery naukowej. Skoro nie udało się z wyjazdem do Włoch, może wzruszy wojskowych metodą „na babcię”? Składa wniosek o uznanie go jedynym opiekunem osiemdziesięcioześcioletniej nestorki rodu. Nic z tego – znowu odmowa. Postanawia uderzyć z grubej rury. Pisze do ministra obrony narodowej sążnisty list, w którym domaga się zmiany roty przysięgi żołnierskiej.

„Obecna rota przysięgi nasuwać może przypuszczenie o niepełnej suwerenności naszej armii. (…) Miast kształtować przyjaźń między narodami, powoduje jedynie szkodliwy wzrost nastrojów antyradzieckich wśród społeczeństwa polskiego” [90] – apeluje.

Jednocześnie odsyła do WKU w Krakowie swoją kartę powołania i wnioskuje o służbę zastępczą. Ale, jak mawiał poeta, „daremne żale, próżny trud”. Armia nie zrezygnowała z młodego fizyka. Koniec końców trafił na pięć miesięcy do wojska.

Wdzięczni losowi

Nie można też pominąć jeszcze jednej metody wymigiwania się od wojska, bodaj najbardziej skutecznej.

„Młodzi ludzie szukali różnych sposobów, aby uniknąć służby” przyznawał pułkownik rezerwy Tomasz Szulejko, były rzecznik prasowy Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. „Najczęściej robiono to przez edukację, co dawało odroczenie na czas studiów. Po zakończeniu nauki służba trwała zdecydowanie krócej. Tak zwani »wieczni studenci«, po wielu latach długotrwałej nauki potrafili dotrwać do osiągnięcia granicy wieku, zwalniającej z powołania do wojska” [91].

W ten sposób uchronił swoje stopy przed wojskowymi kamaszami Kuba Wojewódzki. – Poza dwoma nieznaczącymi wizytami w WKU nie miałem

baza ebooków

kontaktu z PRL-owskim wojskiem – wyznał mi król polskiego *talk-show*. – Tak długo studiowałem dziennikarstwo, że służba wojskowa mnie ominęła.

Gdy zbierałem materiały do książki, niemal to samo usłyszałem od innego dziennikarza, świętej pamięci Kamila Durczoka (1968–2021). – Moje doświadczenia wojskowe są na szczęście żadne – powiedział. – Udało mi się z powodu studiów i zmian z lat 1989–1990 uniknąć poboru. Za co jestem wdzięczny losowi.

Los dopomógł też Grzegorzowi Miecugowowi. Gdyby nie przypadek na komisji poborowej, być może nigdy nie zostałby dziennikarzem.

– Przypadek w życiu człowieka jest niezwykłą dominantą – potwierdzał. – Przecież jeśli człowiekowi spadnie sopel na głowę, to wiadomo, że gdyby wyszedł z domu pięć sekund później, albo wcześniej, prawdopodobnie ten sopel nie spadłby mu na głowę. Wszystkim rządzi przypadek. Nie miałem zielonego pojęcia jak zaważy na całym moim przyszłym życiu ta zagubiona linijka. W lutym 1980 roku, po likwidacji Teatru na Rozdrożu, spotkałem przypadkiem znajomą, która zaproponowała mi, żebym przyszedł do radia. Gdybym był w wojsku, do tego spotkania by przecież nie doszło! I może bym robił inną karierę. Na przykład jak mój serdeczny przyjaciel, który jest dziś profesorem filozofii. Służył w wojsku we Wrocławiu i trafił na pierwszą stronę „Żołnierza Wolności” jako wyróżniający się student. Może ja bym został wyróżniającym się studentem w Elblągu?

Grzegorz Miecugow

Twierdził, że nigdy nie musiał szukać pracy, bo to ona go znajdowała. I to zazwyczaj w lutym. Luty 1980 – przypadkowe spotkanie ze znajomą dziennikarką radiową Bożeną Helbrecht. Bezrobotny filozof przyjmuje ofertę pracy w Warszawskim Ośrodku Radiowo-Telewizyjnym. – Gdy Bożena powiedziała, że w radiu szukają młodych głosów, postanowiłem spróbować, choć bez specjalnego entuzjazmu. I tak się zaczęło – opowiadał. Na początku była zabawa w radio i nagrania o kulturze. Prawdziwego bakcyla połknął dopiero po Sierpniu ’80, kiedy przeszedł do newsowej redakcji Na warszawskiej fali. Zespołem kierował Wiesław Johann, późniejszy sędzia Trybunału Konstytucyjnego. – Wówczas poznałem smak prawdziwego wolnego dziennikarstwa. Nikt nas nie pilnował, biegałem z magnetofonem po strajkach, nagrywałem, co chciałem. I tak aż do stanu wojennego – wspominał. Rezygnuje wtedy z pracy reportera. Na antenę wraca w 1984 roku. Luty 1987 – zaczyna pracę jako szef Zapraszamy do Trójki*. W 1989 przechodzi do Telewizji Polskiej. Zaczyna jako reporter sejmowy. Potem zostaje prezenterem i wydawcą* Wiadomości*. Luty 1997 – przechodzi do TVN, gdzie współtworzy* Fakty*. W 1999 odchodzi z TVN po konflikcie z Tomaszem Lisem. Wraca w 2001 – prowadzi pierwszą edycję reality show* Big Brother *i uczestniczy w narodzinach TVN24. Trzy lata później na antenie tej stacji startuje* Szkło kontaktowe *z Miecugowem w roli głównej. Jego ukochanym dzieckiem staje się też autorski* Inny punkt widzenia*. Zaprasza do programu wybitnych Polaków. Wstępu nie mają politycy. „Wiem, co mnie w Nim ujmowało najbardziej i co chciałbym również od Niego przejąć. Chęć spotykania barwnych i utalentowanych ludzi. Takich, od których czegoś istotnego można się*

baza ebooków

dowiedzieć. Za takimi ciągle się rozglądał” [92] *– pisał Artur Andrus. Grzegorz Miecugow zmarł w 2017 roku.*

baza ebooków

KSIĄŻECZKA WOJSKOWA

Seria: [illegible] **Nr** [illegible]

Fotografia
o wymiarach
3x4 cm

podpis posiadacza książeczki

podpis posiadacza książeczki

Nr identyfikacyjny

baza ebooków

Rozdział 14

Szeregowy Maciej Orłoś, rocznik 1960, kategoria C

Jako student warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej brał udział w zajęciach obronnych. Ma nawet stosowne pieczątki w książeczce wojskowej. Nie traktował tego studenckiego wojska zbyt poważnie, raczej lekko i żartobliwie. Do momentu, gdy jeden z kolegów musiał powtarzać rok, bo nie zaliczył szkolenia.

– Zajęcia odbywały się w PWST – opowiada Maciej Orłoś. – Przyjeżdżał na nie jakiś major czy pułkownik. Wśród studentów ze starszego roku krążyła anegdota o tym, jak wezwał kiedyś studenta do mapy i zadał mu pytanie: „za jaka jest ta rzeka?". Trzeba było odpowiedzieć, że za szeroka…

Rozmawiamy w niewielkiej kawiarni tuż przy placu Powstańców Warszawy. Kilkaset kroków stąd mieści się siedziba Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, gdzie przez dwadzieścia pięć lat Maciej Orłoś prowadził popularny *Teleexpress*.

– Żyliśmy ze świadomością, że zgodnie z jakimiś przepisami po naszych studiach nie biorą do wojska – wspomina dziennikarz. – Przepisy jednak wkrótce się zmieniły i zaraz po nas kilka roczników wcielono. Na przykład Czarek Pazura, który był na studiach rok niżej ode mnie, tyle że w Łodzi, trafił do wojska, do tej samej jednostki co Marek Sierocki.

W 1988 roku Cezary Pazura zagrał mundurową rolę w serialu *Pogranicze w ogniu*. I wywołał wilka z lasu. W trakcie zdjęć otrzymał powołanie do wojska. Został wcielony do pierwszej kompanii 92 plutonu Szkoły Podchorążych Rezerwy w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łączności w Zegrzu.

„Pamiętam dokładnie ten dzień: trzeci maja 1988 roku", opisywał Cezary Pazura. „Jeśli ktoś oglądał *Zezowate szczęście*, kolegę Piszczyka, głównego

baza ebooków

bohatera granego brawurowo przez pana Kobielę, to pamiętacie: »Na Zegrze? Tędy!«. Słynne Zegrze” [93].

Wzorowy doktor Żywago

Powołanie do armii spadło na aktora jak grom z jasnego nieba. Był przekonany, że – przynajmniej do zakończenia zdjęć – nic ze strony wojska mu nie grozi.

„Wszyscy kombinowali, jak się z tego wojska wymiksować”, tłumaczył. „Jan Machulski, ówczesny dyrektor Teatru Ochota, gdzie byłem zaangażowany, pytał mnie, czy mam już załatwione wojsko. Powiedziałem: (…) przecież gram w filmie *Pogranicze w ogniu*, w serialu. A film ma taką władzę, że może z wojska wyreklamować. Byłem przekonany, że mi to załatwią. No i załatwili tak, że mnie na rok wzięli” [94].

Mogło być jeszcze gorzej, bo pierwotnie dostał powołanie do odległego od Warszawy Grudziądza. Miał tam trafić do wojskowej szkoły kwatermistrzowskiej. A to zapewne dlatego, że po pierwszym, nieudanym, podejściu do Łódzkiej Szkoły Filmowej schronił się na rok w Policealnym Studium Gastronomicznym.

„Dopiero Jan Machulski wyprosił mi przeniesienie do łączności, nad Zegrze”, relacjonował Pazura. „Dwaj kaprale dowozili mnie wtedy do teatru na próby i przedstawienia. Fajni kumple. Często zresztą to ja ich woziłem, bo tylko ja byłem w stanie. Jeden z tych chłopaków – Jarek Treliński – gra dzisiaj na gitarze w Raz Dwa Trzy” [95].

W dowód wdzięczności, podchorąży Pazura, który grał tytułową rolę w sztuce *Doktor Żywago*, zaprosił na spektakl dowódcę swojej kompanii.

„Potem wypiliśmy wódeczkę w garderobie, przeszliśmy na ty”, opowiadał aktor. „Dzień po spektaklu (pamiętam – kaca miałem strasznego), słyszę jak podoficer dyżurny, ten co ma dyżur na korytarzu, krzyczy: »Szeregowy Pazura! Do dowódcy kompanii natychmiast!«. Szybko pas ściągnąłem, czapkę założyłem, zapiąłem się. (…) »Szeregowy Pazura melduje się na rozkaz!«. A on: »Spocznij!«. Mógłby powiedzieć »Siadaj, Czarek«, ale ni chu, chu. Mówi: »Pazura, wczoraj byłem na waszym spektaklu z moją żoną Krystyną. (…) Powiem wam, Pazura, wzorowo. Odmaszerować!«. I była to najlepsza recenzja, jaką dostałem w życiu” [96].

Deja vu w Odessie

W trakcie służby wojskowej aktor zdołał też wystąpić w filmie Juliusza Machulskiego *Deja vu*. Było to o wiele bardziej skomplikowane od dojeżdżania do teatru, bo zdjęcia kręcono w Odessie, wówczas w granicach Związku Radzieckiego.

baza ebooków

Cezary Pazura: „Trzeba było do Odessy dolecieć, przez Moskwę. Pomyślałem: *Boże, ja chcę tę rolę dostać, tylko jak z tego wojska się wymknąć?*. Miałem paszport PAGART-owski, który nie ulega przejęciu przez wojsko. (…) PAGART to była instytucja, która rozwoziła artystów po świecie, komunistyczna oczywiście. Miałem ten paszport i wymyśliłem sobie chytry plan” [97].

Cóż to był za pomysł! Aktor zwrócił się do dowódcy kompanii o pomoc… w przeniesieniu do jednostki radzieckiej. „Ja bym sobie na zdjęcia dojeżdżał, tak jak tutaj dojeżdżam do teatru”, proponował oficerowi. „A ten mówi: »Czyś ty zwariował, Pazura? Ja nie dam ci gwarancji, że jak cię wezmą do Armii Czerwonej, to następnego dnia nie będziesz w Afganistanie«” [98].

Stanęło na tym, że Pazura dostawał przepustki i latał kilka razy do Odessy na plan filmowy. Zdolności aktorskie przydawały się też w samym Zegrzu.

„Jan Machulski załatwił mi, że pojechałem na festiwal szekspirowski do Zamościa”, opowiadał. „Dostałem przepustkę z wojska na dziesięć dni. Wyrwałem się z woja, młody człowiek, no to wiecie jak było. Tyle powiem, że wódka nie była już na kartki. Więc było wesoło. (…) Taki słabszy wróciłem do armii, a okazało się, że będziemy mieli marszobieg na 10 km. A ja jestem największy z plutonu i mam nieść radiostację, która waży 30 kilo. No to postanowiłem, że zemdleję na apelu. Wszyscy wiedzieli, że aktor, więc musiałem tak zemdleć, żeby się nikt nie poznał, że to jest udawane” [99].

Scena została odegrana perfekcyjnie, dzięki czemu podchorąży Pazura spędził komfortowo dwa tygodnie w izolatce na izbie chorych.

Mundurowy *Teleexpress*

W Zegrzu poznał Marka Sierockiego, kolegę Macieja Orłosia z *Teleexpressu*. „Marek był wtedy słynnym prezenterem telewizyjnym, byłem bardzo dumny, że z nim jestem”, zwierzał się aktor. „A poza tym miał chody. Jako człowiek z telewizji mógł załatwić czasem przepustkę i dzięki tej przyjaźni (…) korzystałem z wolności, będąc żołnierzem” [100].

Służba wojskowa Sierockiego była w 1988 roku sporą sensacją. „Przyjazd do Zegrza znanego już wówczas dziennikarza muzycznego *Teleexpressu* stał się wydarzeniem medialnym”, opisuje lokalny dziennikarz Mirosław Pakuła. „Do wojska odprowadzała go prawie cała ekipa *Teleexpressu* z kamerami. Sierocki organizował w Zegrzu wiele imprez dla żołnierzy: dyskotek i koncertów, na które ściągał znanych artystów. Często występował w mundurze przed kamerą, a raz nawet prowadził w nim cały *Teleexpress*” [101].

„Po studiach poszedłem do wojska na rok i każdą przepustkę wykorzystywałem na to, żeby jednak nie tracić kontaktu z pracą, a że byłem w Zegrzu, niedaleko

baza ebooków

Warszawy, to zadanie miałem ułatwione", komentował sam prezenter. „Strasznie się bałem tego wojska, ponieważ poszedłem już na ostatni gwizdek jako dwudziestosiedmiolatek. W wojsku poznałem Czarka Pazurę – było bardzo wesoło" [102].

Maciej Orłoś miał więcej szczęścia niż jego koledzy. Choć kończył studia, gdy trwał jeszcze stan wojenny, armia wspaniałomyślnie z niego zrezygnowała. W książeczce wojskowej ma stempelek, że dziesiątego czerwca 1983 roku został przeniesiony do rezerwy na podstawie zarządzenia MON z 1980 roku, czyli jeszcze z czasów „Solidarności".

– Podobno takie ustalenia zapadły po wypadku absolwenta akademii muzycznej, notabene skrzypka, który w czasie służby stracił palce, czy dłoń – wyjaśnia Orłoś. – Wtedy dopiero ktoś poszedł po rozum do głowy i stwierdził, że absolwentów uczelni artystycznych nie można brać do wojska, ponieważ ci ludzie muszą natychmiast kontynuować swoje kariery. Tego przecież wymaga specyfika ich zawodu. Nie mogą tracić czasu na pałętanie się przez rok w wojsku. Pamiętam, że moje spotkanie z oficerem, który wbił mi do książeczki wojskowej pieczątkę, nie było miłe, bo widocznie nie aprobował tego.

Desant do Lady Pank

Dziennikarz zastanawia się, dlaczego wojskowi najpierw uznali, że artyści są im niepotrzebni, a potem jednak zmienili zdanie. Może doszli do wniosku, że aktorzy przydadzą się do kabaretów, a muzycy do orkiestr i zespołów wojskowych? Tak jak wokalista Janusz Panasewicz, który do grupy Lady Pank desantował się w 1982 roku wprost z Zespołu Reprezentacyjnego Warszawskiego Okręgu Wojskowego „Desant".

Zanim jednak poborowy Panasewicz wylądował w „Desancie", pod koniec lat siedemdziesiątych spędził dziewięć miesięcy w więzieniu za unikanie służby wojskowej. Czas za kratami urozmaicała mu praca w więziennym radiowęźle. Tam po raz pierwszy usłyszał wielki hit Dire Straits – *Sultans of Swing*. Utwór zawiera wyborną solówkę gitarową Marka Knopflera. Jej echa pobrzmiewać będą w sposobie gry Jana Borysewicza, późniejszego kolegi Panasewicza z Lady Pank. Na razie „Panas" nie może nawet przypuszczać, jak zaskakującą drogą podąży jego życie. Wyszedł z pudła, ale wkrótce znów stracił wolność. Ponownie upomniało się o niego wojsko.

„Miałem nadzieję, że uznają mnie za niepoczytalnego", opowiadał. „Ale niestety zwerbowali mnie do Węgorzewa. Byłem zwykłym szeregowym. Jednego dnia kazali mi sprzątnąć salę oficerską w kasynie wojskowym. Po robocie usiadłem przy pianinie i zacząłem śpiewać. Nagle wszedł facet w cywilnym ubraniu.

baza ebooków

Pułkownik Wilk ze Sztabu Generalnego w Warszawie. Zajmował się kulturą. Chyba mu się spodobałem, bo poprosił o moje dane. Przeniesiono mnie do Ełku, gdzie przy jednostce działał zespół amatorski. Cały dzień siedzieliśmy w kasynie, w centrum miasta. Zaprzyjaźniłem się z majorem, który nazywał się najlepiej na świecie – magister Honoriusz Ciężar. Pił, bo wszyscy twierdzili, że jego żona – fryzjerka jednostkowa – go zdradza. Punktualnie o trzynastej wręczał mi pieniądze i leciałem po flaszkę” [103].

Wkrótce potem Panasewicz, który już w czasach szkolnych błysnął talentem na Festiwalach Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze, trafił do profesjonalnego „Desantu”.

„To byli cywile przebrani w mundury”, opisywał. „Na jakimś wspólnym występie zacząłem coś tam sobie śpiewać. Ktoś ważny musiał mnie usłyszeć, bo przenieśli mnie do Lublina, gdzie zespół stacjonował. Przydzielili mi miejsce w chórkach. Było fajnie, bo pozwalano nam nosić dłuższe włosy” [104].

Nie zaśpiewał 22 lipca

W „Desancie” wypatrzył Panasewicza autor tekstów Lady Pank i współzałożyciel grupy Andrzej Mogielnicki. A właściwie jego przyszła żona, która śpiewała w wojskowym zespole. „Kiedyś Ula mi powiedziała, że tam jest taki mruk ze wschodniej Polski, który co prawda dużo nie mówi, ale za to jak otworzy paszczę, to jest coś fajnego” [105] – opowiadał współtwórca największych przebojów Lady Pank.

Gdy „Desant” zawitał do Krakowa, Panasewicz nocami wymykał się do Teatru STU na próby i nagrania piosenek, które wkrótce poznała cała Polska. Przełożeni próbowali go zatrzymać w wojskowym zespole. Kusili sześćdziesięciometrowym mieszkaniem w Warszawie, dobrą pensją i honorarium za każdy koncert. Nie chciał, miał dosyć wojska. Odmówił też występu w telewizyjnym programie z okazji obchodów komunistycznego święta dwudziestego drugiego lipca.

Jan Borysewicz: „Powiedziałem mu, że jeśli tam pojedzie, to nie ma po co wracać do nas. Więc on po prostu nie dotarł na ten występ i w konsekwencji zesłali go do karnej jednostki do Orzysza. Myśmy go w tym Orzyszu kiedyś odwiedzili. Całym zespołem pojechaliśmy. (…) Opowiadał, że gdy był w tym Orzyszu i kiedyś w radiu leciał utwór *Tańcz, głupia, tańcz* to chłopaki mówili: »Ale zajebisty numer leci«. Na co Panas: »To ja śpiewam«. A oni: »Ha, ha, ha, tak, dobry z ciebie frajer«. Nie wierzyli mu. Wtedy też postawił wszystko na jedną kartę, bo dopóki występował w »Desancie«, nie miał w wojsku źle, był szczególnie traktowany, nie

baza ebooków

czołgali go po poligonach. No ale przyszedł czas, rzucił to wszystko, w ciemno, dla Lady Pank” [106].

Sanok to, czy Orzysz

Wszystko w tym opisie się zgadza, poza tym, że jednostka, do której karnie przeniesiono wokalistę, była w Sanoku, a nie w Orzyszu.

Sanok czy Orzysz – dla dziejów rock and rolla kompletnie bez znaczenia. Ale dla znawców historii wojskowości, jak też dla samego żołnierza Panasewicza – różnica ogromna. W położonym na Mazurach Orzyszu złą sławą cieszyła się utworzona w 1971 roku Jednostka Wojskowa 1370 – Siódmy Oddział Dyscyplinarny. Powszechnie znana jako Jednostka Karna istniała do 1991 roku.

„Trafiali do niej żołnierze, którzy popełnili przestępstwo wojskowe albo naruszyli dyscyplinę”, opisuje dziennikarka „Polski Zbrojnej” Ewa Korsak. „W jednostce panował obostrzony regulamin, żołnierze mieli forsowne zajęcia z taktyki, odbywali kilkudziesięciokilometrowe marsze i musieli pracować w miejscowej betoniarni. Ze względów bezpieczeństwa w ich karabinach rozwiercono komorę na naboje” [107].

W Orzyszu odbyło karę kilkanaście tysięcy żołnierzy. Nie mieli przepustek i byli pilnowani jak więźniowie. Jednostka pojawia się we wspomnianym już filmie *Kroll*, w którym sierżanta Wiadernego zagrał Cezary Pazura.

Natomiast w podkarpackim Sanoku stacjonowała regularna jednostka – 26 Pułk Czołgów Średnich. Panasewicz prawdopodobnie nie zdążył nawet zajrzeć do czołgu.

„Miałem miesiąc do końca służby wojskowej, więc nic mnie tam nie dotyczyło”, wyjaśniał. „Ponieważ byłem starym żołnierzem, leżałem na łóżku i słuchałem radia” [108].

Typ germański

Macieja Orłosia ominęło wojsko, co nie znaczy, że armia jest mu zupełnie obca. Miał na sobie mundur, tyle że nie polski.

– Kilka razy zagrałem Niemców – przypomina. – Widocznie taki ze mnie typ germański, chociaż nikomu nic złego nie zrobiłem i nawet nie mówię po niemiecku. Byłem oficerem Abwehry w serialu *Pogranicze w ogniu*, esesmanem w filmie *Kobieta na wojnie*. Zginąłem nawet w tym filmie – od strzału. Miałem pod mundurem urządzenie, które trzeba było przekłuć, żeby wylała się krew. To było prawdziwe wyzwanie: umrzeć i jeszcze poradzić sobie z krwawieniem. W *Liście Schindlera* też grałem esesmana. Właściwie trudno powiedzieć, że

baza ebooków

grałem, bo powiedziałem zaledwie jedno zdanie w scenie pacyfikacji getta krakowskiego. Było to coś na zasadzie: „Wstawać, nie ruszać się!”.

Prowadził już wtedy *Teleexpress*, więc był rozpoznawalny. Statyści na planie spoglądali na niego jak na wariata, myśląc pewnie, dlaczego gość z *Teleexpressu* wygłupia się w mundurze SS.

– Wypowiadana przeze mnie kwestia została w oryginale *Listy Schindlera* – zapewnia. – Ale gdy z okazji jakiejś rocznicy powstania filmu zostałem zaproszony do TVP, żeby powspominać realizację słynnego dzieła, przeszukaliśmy pobieżnie cały film i jakoś tej sceny nie znalazłem…

No i dobrze, bo przyzwyczailiśmy się kojarzyć sympatycznego prezentera ze słowami „Maciej Orłoś. Zapraszam na *Telexpress*”. „Maciej Orłoś. Wstawać, nie ruszać się!” – brzmi zdecydowanie gorzej.

Maciej Orłoś

Zagrał w ponad pięćdziesięciu filmach, serialach i spektaklach, ale i tak wszyscy kojarzą go z Teleexpressu*. Zresztą on sam nie uważa siebie za aktora, choć skończył PWST i doskonalił warsztat w London Academy of Music and Dramatic Art oraz teatrze Eugene O’Neill Theater Center w Stanach Zjednoczonych. „Kiedy moja przygoda z telewizją dopiero nabierała rozpędu, miałem ogromne wątpliwości”, przyznawał. „Bałem się, że przez ten epizod dziennikarski umknie mi aktorstwo. Rzeczywistość pokazała, że się nie myliłem. Z tym że to telewizja okazała się moją główną rolą, a aktorstwo tylko ważnym epizodem”* [109]*. Zadebiutował w filmie, mając zaledwie piętnaście lat. Zagrał młodego króla w* Kazimierzu Wielkim*. Po maturze gładko zdał do szkoły teatralnej. Ale już podczas studiów nabrał wątpliwości, czy aktorstwo jest jego powołaniem. „Nigdy nie miałem łatwości wywoływania w sobie emocji, otwierania się, uzewnętrzniania”, tłumaczył. „A na tym przecież polega warsztat aktorski – instrumentem byłem ja, mój organizm, moje ciało, moje uczucia. Na pierwszym roku prawie mnie wywalili ze studiów, bo nie chciałem się otworzyć. W końcu dałem radę… Inaczej przecież tych studiów bym nie skończył, ale w pewnym momencie poczułem, że do zawodu aktora nie mam predyspozycji”* [110]*. Świetnie odnalazł się za to jako prezenter telewizyjny. Przez długie lata był twarzą* Teleexpressu*. Widzowie cenili go za dystans do przedstawianych informacji i poczucie humoru. Zdobył statuetkę Wiktora dla najlepszego prezentera telewizyjnego i SuperWiktora za całokształt dokonań. Prowadził* Teleexpress *w latach 1991–2016. Odszedł z TVP za prezesury związanego z PiS Jacka Kurskiego. Wrócił w 2024 roku po przejęciu telewizji publicznej przez nową koalicję rządową. Po ojcu, pisarzu Kazimierzu Orłosiu, odziedziczył talent literacki. Jest między innymi autorem poczytnych książek dla dzieci.*

baza ebooków

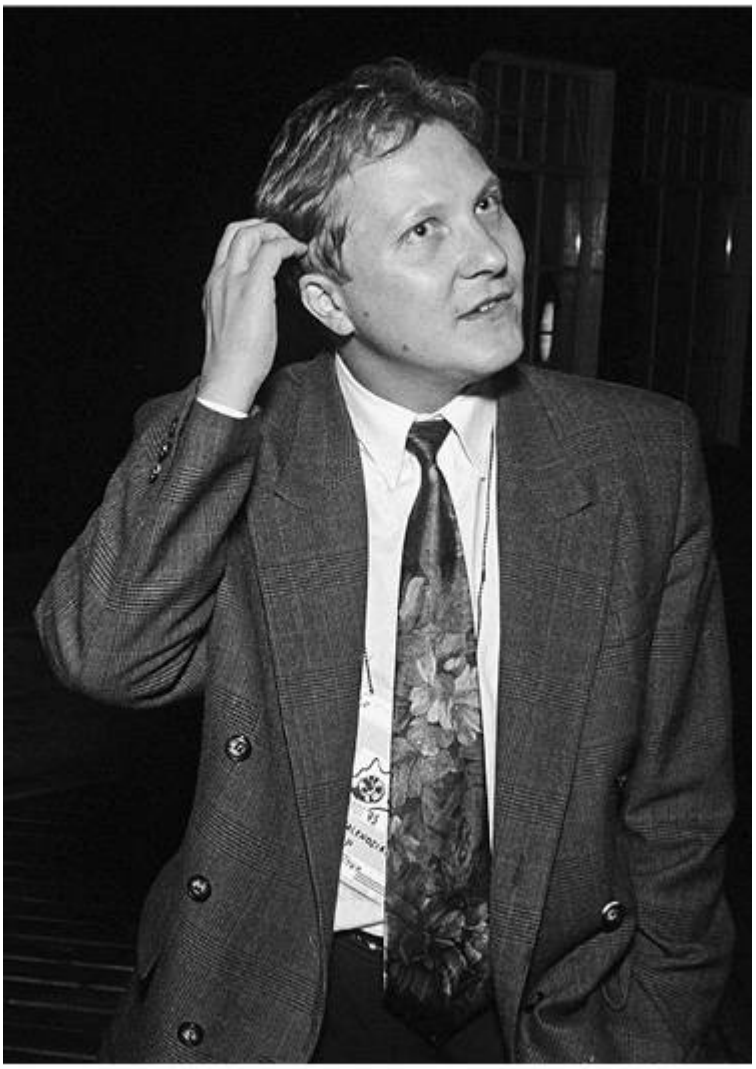

baza ebooków

Rozdział 15

Szeregowy Wiesław Walendziak, rocznik 1962, kategoria A

W Polsce wrzało. Wiosenna fala strajków ogarnęła w 1988 roku cały kraj. Zarzewiem społecznego buntu tradycyjnie były rządowe podwyżki cen. Ale pojawiło się też polityczne żądanie przywrócenia „Solidarności". W proteście w Stoczni Gdańskiej wziął udział dwudziestopięcioletni Wiesław Walendziak. Działacz opozycyjnego Ruchu Młodej Polski w jednej kieszeni miał dyplom ukończenia studiów, a w drugiej bilet do wojska.

Jako absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego dostał powołanie do szkoły podchorążych rezerwy w Węgorzewie. Wnioskował o odroczenie służby wojskowej, bo mimo młodego wieku był już ojcem dwójki małych dzieci i tak zwanym jedynym żywicielem rodziny.

– Zacząłem zarobkować w Spółdzielni Robót Wysokościowych „Świetlik" razem ze świętej pamięci Maciejem Płażyńskim – wspomina. – Przechowuję o nim pamięć z wielką wdzięcznością, bo Maciej bardzo pomógł mojej rodzinie, gdy była w potrzebie. On i Aram Rybicki, który również zginął w katastrofie pod Smoleńskiem.

Spotykamy się w warszawskim biurze spółki Prokom Investments, w której Walendziak był wiceprezesem zarządu. Zanim trafił do biznesu, dał się poznać jako charyzmatyczny dziennikarz i rzutki polityk. W eleganckim gabinecie wraca do początków swojej publicznej działalności.

– Pod koniec lat osiemdziesiątych byłem zaangażowany w opozycję demokratyczną – opowiada. – Publikowałem pod własnym nazwiskiem w prasie podziemnej, w takich czasopismach, jak „Kierunek", czy „Polityka Polska". Pisywałem też do prasy katolickiej, głównie do „Ładu", gdzie jednak cenzura na ogół zdejmowała moje artykuły. Krótko mówiąc, będąc jednym z liderów

baza ebooków

Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS) i Ruchu Młodej Polski, byłem osobą rozpoznawalną w środowisku trójmiejskim.

Kryzys przysięgowy

Gołym okiem było widać, że system komunistyczny w Polsce trzeszczy w szwach. Walendziak chciał zaczekać z pójściem do wojska, żeby nie służyć w realiach PRL-u. Jego wniosek o odroczenie służby spotkał się jednak z odmową.

– Kiedy wybuchł strajk majowy, miałem już powołanie do Węgorzewa – przypomina. – Przez cały dzień byłem na strajku w stoczni i dyskutowaliśmy z kolegami, co powinienem zrobić. W Ruchu Młodej Polski uważaliśmy, że trzeba kontestować komunizm, ale jednocześnie walczyć o właściwy kształt instytucji naszego państwa. Dlatego doszliśmy do wniosku, że skoro już odebrałem „bilet" do wojska, nie powinienem wykonywać pacyfistycznych gestów.

Po jednym dniu uczestnictwa w strajku, z niewielkim spóźnieniem poborowy Walendziak stawił się w jednostce.

– Właściwie już nazajutrz była pierwsza awantura, bo oświadczyłem, że przyjechałem do wojska, żeby złożyć przysięgę na wierność Polsce, a nie Związkowi Radzieckiemu – relacjonuje. – Razem ze mną o przysięgę według nowej roty wnioskowali Wojciech Pawlak, który był potem dyrektorem Ośrodka Badania Opinii Publicznej w wolnej Polsce i dyrektorem TVP 2, a do dziś jest cenionym ekspertem rynku medialnego (w latach 2020–2024 dyrektor instytutu NASK – J.K.), oraz Krzysztof Walasek z Nowego Sącza, potem znany prawicowy działacz samorządowy. Tymczasem dowódca kompani zareagował na naszą propozycję bardzo agresywnie i nerwowo. Absurd sytuacji polegał na tym, że w tym samym czasie tak zwana Dywizja Kościuszkowska miała właśnie jako pierwsza przysięgać na wierność Polsce a nie „sojuszom".

Ostatecznie doszło do tego wydarzenia dwudziestego lipca 1988 roku. Tego dnia na polach bitwy pod Grunwaldem odbyła się przysięga żołnierska według nowego tekstu. Zaprzysiężenia dokonał dowódca 1 Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej imienia Tadeusza Kościuszki pułkownik Jerzy Słowiński, późniejszy generał dywizji, Komendant Główny Żandarmerii Wojskowej. Tekst nowej roty przysięgi, uchwalony w Sejmie w połowie czerwca, wpisywał się w łagodzenie ideologicznego kursu przez ekipę rządzącą Wojciecha Jaruzelskiego. Nadal była w nim mowa o socjalistycznym państwie i „braterstwie broni z sojuszniczymi armiami". Wykreślono jednak z roty takie sformułowania jak „przymierze z Armią Radziecką", „władza ludowa", „zakusy imperializmu", czy „surowa ręka sprawiedliwości ludowej".

baza ebooków

Nowa przysięga wojskowa (fragment): „Przysięgam służyć wiernie Ojczyźnie i narodowi swemu, przestrzegać zasad Konstytucji, być godnym chlubnych tradycji oręża polskiego. Przysięgam, iż nie szczędząc trudu, a w potrzebie krwi własnej ani życia, stać będę nieugięcie na straży niepodległości, suwerenności i granic kraju ojczystego, strzec pokoju w braterstwie broni z sojuszniczymi armiami. (…) Składając tę uroczystą przysięgę, jestem świadom swej odpowiedzialności wobec narodu i praw socjalistycznego państwa polskiego”.

(Ustawa z 17 czerwca 1988 roku o przysiędze wojskowej)

Bunt i degradacja

Kryzys przysięgowy w jednostce szeregowego Walendziaka eskalował, gdy gruchnęła wiadomość, że w niedzielę żołnierze mają pojechać do pracy do Państwowego Gospodarstwa Rolnego (PGR).

Walendziak: – Powiedziałem wówczas, że skoro nie możemy wyjść z jednostki, bo mamy okres unitarny, nie pojedziemy też na żadne socjalistyczne czyny społeczne, albo, jeśli pojedziemy, po pracy pójdziemy do kościoła. To była kropla, która przelała czarę, bo uznano, że w jednostce doszło do buntu. Pojawili się ubecy z wywiadu wojskowego, którzy kazali mi się spakować i polecili przewiezienie mnie pod eskortą z Węgorzewa do Bochni. Zostałem przez nich uznany za prowodyra, dlatego decyzja zapadła z minuty na minutę. Dostałem pięć minut, żeby się spakować, i w mundurze podchorążego pojechałem do Bochni, choć początkowo nie wiedziałem nawet, dokąd mnie przenoszą i co się dzieje. Nie wiedziałem również, że moi konwojenci wiozą rozkaz generała Jana Kuriaty, degradujący mnie i pozbawiający stopnia podchorążego.

Jan Kuriata (rocznik 1931) – generał dywizji, w 1988 roku dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Miał pod sobą między innymi 1 Warszawską Brygadę Artylerii Armat imienia generała Józefa Bema w Węgorzewie. W wojsku od 1951 roku. Zaczynał jako elew szkoły podoficerskiej przy Wyższej Szkole Piechoty w Rembertowie. W 1975 roku ukończył moskiewską „szkołę generałów” – Akademię Wojskową Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR imienia Woroszyłowa. Przemiany 1989 roku nie zaszkodziły jego karierze. Niedługo po powołaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego objął stanowisko Głównego Kwatermistrza Wojska Polskiego. Po przeniesieniu do rezerwy został w 1992 roku wiceministrem obrony narodowej do spraw uzbrojenia i infrastruktury. Funkcję tę pełnił przez cztery lata, kolejno w rządach Hanny Suchockiej, Waldemara Pawlaka i Józefa Oleksego.

W Bochni stacjonowała jednostka pomocnicza, która zajmowała się głównie prowadzeniem dużych tuczarni świń na potrzeby wojska.

baza ebooków

– Generał Kuriata wpadł na pomysł, żeby mnie do niej wcielić, i na miejscu, przy tuczu świń, dać mi wycisk, który pomoże mi powrócić na właściwą drogę – relacjonuje Walendziak. – Pierwszego dnia trafiłem do żołnierzy zasadniczej służby, którzy byli zdezorientowani, bo zobaczyli faceta w mundurze podchorążego, któremu powinni salutować. Ale już następnego dnia dowódca pułku odczytał mi rozkaz o zdegradowaniu mnie i wcieleniu do zasadniczej służby wojskowej. Zabrano mi mundur podchorążego, otrzymałem mundur szeregowego i poszedłem na pododdział.

Góral z odsieczą

W ciągu godziny Walendziak z podchorążego stał się „kotem", czyli – przypomnijmy – młodym żołnierzem gnębionym przez starszyznę praktykującą w wojsku zjawisko „fali".

– Już pierwszego wieczoru doszło do próby „skocenia" mnie, co polega na przykład na tym, że się wpycha młodego żołnierza do toalety i mówi: „Kocie, szoruj kibel!" – wyjaśnia Walendziak. – Pomyślałem, że jeśli dam się złamać, to rok, a może dwa lata, bo to też nie było jasne, w zasadniczej służbie stanie się przekleństwem. Dlatego postanowiłem się postawić. W grubych, męskich słowach, których nie będę tu cytować, próbowałem wyjaśnić kapralom, o co jest ten spór. Otóż o to, że chcę składać przysięgę na wierność Polsce, tak jak dzieje się to już w innych jednostkach, a nie na wierność sojuszowi z ZSRR. Również o to, że ośmieliłem się wyrazić chęć pójścia na mszę świętą.

Ostatecznie doszło do szarpaniny z jednym kapralem. Na szczęście pojawił się ktoś, kto rozładował konflikt. – Pamiętam jak dziś, że właśnie wtedy wrócił ze służby wartowniczej kapral Maciej Stoch, góral zakopiański z ładną, patriotyczną tradycją – mówi Walendziak. – Tu muszę zaznaczyć, że poznałem w wojsku wielu górali i wszystkich niezwykle miło wspominam. To ludzie kompletnie impregnowani na komunizm. Kapral Stoch stanął po mojej stronie, bo się postawiłem komunistycznym trepom. Ostatecznie już następnego dnia byłem bohaterem kompanii. Potem okazało się, że kapral, który chciał mi dać wycisk, miał na to ciche przyzwolenie, a nawet zachętę ze strony przełożonych. Po dwóch dniach przyszedł do mnie major, który stwierdził, że właściwie nie wie, co ma ze mną zrobić, dlatego mam siedzieć w sali żołnierskiej, czyli w pokoju, gdzie spaliśmy.

Szeregowy Walendziak siedział tak w tej sali cztery miesiące. Wychodził tylko do stołówki, która była na terenie jednostki. Nie uczestniczył w żadnych zajęciach kompanii.

baza ebooków

– Raz w tygodniu przychodził do mnie towarzysz Kawka, oficer polityczny – zapamiętał Walendziak. – I mówił: „Towarzyszu Walendziak, idziemy do biblioteki, wypożyczycie sobie jakieś książki”. Ja mówiłem: „Towarzyszu Kawka, ja nie jestem żadnym towarzyszem i dlatego jestem tu, gdzie jestem”. On na to: „Ja wiem, towarzyszu, że nie jesteście towarzyszem, ale idziemy, towarzyszu, do biblioteki”. Nie był w stanie przezwyciężyć tego języka. Ale wspominam towarzysza Kawkę sympatycznie, bo dzięki cotygodniowym wizytom w bibliotece przez te cztery miesiące przeczytałem całą klasykę rosyjską! Turgieniewa, Czechowa, Dostojewskiego, Tołstoja czytałem od rana do wieczora.

Nawiasem mówiąc, autor niniejszej książki podczas służby w Elblągu również pochłonął całego Dostojewskiego. Coś musi być w rosyjskiej literaturze, że dobrze wchodzi do głowy, gdy człowiek jest ograniczony w swojej wolności.

Marszobieg ze strzelaniem

Lektura lekturą, ale wojsko, nawet to wyspecjalizowane w tuczeniu wieprzy, nie może obejść się bez strzelania. Walendziak już jako młody chłopak ćwiczył strzelectwo w wojskowym klubie Flota. Był nawet kandydatem do kadry narodowej. Wszystko skończyło się, gdy zaangażował się w opozycję demokratyczną. Przy pierwszym zatrzymaniu okazało się, że nie można być jednocześnie w opozycji i w wojskowym klubie Flota. Zdążył jednak opanować strzelecki kunszt, co miało w Węgorzewie zaskakujące konsekwencje.

– Pewnego razu dowódca kompanii zaproponował mi, żebym pojechał na poligon, na marszobieg ze strzelaniem – zdradza Walendziak. – Ja, głupek, dałem się na to namówić. Odebrałem kałasznikowa, choć teoretycznie nie powinienem mieć karabinu przed przysięgą. Pojechałem na poligon i przebiegłem piętnaście kilometrów z żołnierzami, strzelając na stanowiskach ogniowych. W pewnym momencie poczułem, że to może być jakiś rodzaj prowokacji: zostawili mnie z bronią, ostrą amunicją, bez przysięgi, a ja dałem się wrobić.

Gdy Walendziak wrócił ze swoją drużyną do jednostki, niemal w bramie witał go dowódca pułku.

– Gratulował, że zrozumiałem potrzebę stosowania się do zasad socjalistycznej armii – opowiada nasz bohater. – Oświadczył, że w Ludowym Wojsku Polskim doceniają moje osiągnięcia, znakomite wyniki strzeleckie, dlatego będę wyróżniony w rozkazie przed całym pułkiem. Zacisnąłem zęby, oddałem broń do

baza ebooków

magazynu i oświadczyłem, że więcej z sali nie wyjdę, a jeśli ktoś się z tym nie zgadza, to sprawę niech rozstrzyga prokurator. Wtedy wreszcie dali mi spokój.

Brutalne ociosywanie

Wspominaliśmy już o brutalnej subkulturze „fali" w wojsku. Były to trochę opowieści z drugiej ręki, bo podchorążowie, którymi głównie się zajmujemy, byli wolni od tej zarazy. Zdegradowany podchorąży Walendziak trafił karnie do służby zasadniczej, gdzie „fala" rozlewała się na całego.

– Poruszyły mną obserwacje, jakie poczyniłem podczas zmiany rocznika – zwierza się. – To było drastyczne. Z godziny na godzinę niedawne ofiary stawały się katami! W jednym wypadku byłem nawet obiektem agresji ze strony człowieka, którego zresztą wcześniej broniłem. Koniecznie chciał się dorwać do młodych żołnierzy, żeby odreagować upokorzenia, jakich wcześniej sam doznał. Dramatyczna konstatacja była taka, że przełożeni akceptowali taki sposób ociosywania młodego żołnierza. Parę razy twardo interweniowałem, kiedy byli dręczeni młodzi żołnierze. Na przykład, gdy ktoś próbował „ładować akumulatory", czyli zmusić żołnierza, by włożył głowę do szafki, a potem uderzać w tę szafkę od góry taboretem. I przynajmniej na moim piętrze w kompanii nie dochodziło do takich rzeczy.

Choć Walendziak przebywał w jednostce trochę jak w areszcie domowym, nie był odcięty od świata. Mógł pisać i dostawać listy.

– Podczas gdy siedziałem cztery miesiące w żołnierskiej sali, toczyła się intensywna wymiana zdań i korespondencja w mojej sprawie – opowiada. – Stała się ona tematem kłopotliwym w relacji Kościół – opozycja – Czesław Kiszczak. W mojej sprawie interweniowali biskup Alojzy Orszulik i Wiesław Chrzanowski (późniejszy minister sprawiedliwości i marszałek Sejmu – J.K.), toczyły się jakieś rozmowy.

Przysięga w pięć minut

Przez kraj przetaczała się druga fala strajków. Piętnastego sierpnia stanęła kopalnia Manifest Lipcowy, a w kolejnych dniach do protestu dołączały inne wielkie zakłady pracy: między innymi Port Szczeciński, Stocznia Gdańska imienia Lenina, Huta Stalowa Wola i Zakłady imienia Cegielskiego w Poznaniu. Władza traciła grunt pod nogami. Rządzący byli już za słabi, żeby po raz kolejny sięgnąć po rozwiązanie siłowe. Partia rozłaziła się w szwach, a Wielki Brat zza wschodniej granicy zajęty był własnymi problemami. Władający Kremlem Michaił Gorbaczow postawił na *głasnost* (jawność) i *pieriestrojkę* (przebudowę). W tej sytuacji ekipa

baza ebooków

Jaruzelskiego musiała spuścić z tonu. Zaczęły się pierwsze rozmowy z opozycją. Trzydziestego pierwszego sierpnia Lech Wałęsa spotkał się w Warszawie z generałem Czesławem Kiszczakiem, a następnego dnia nakłonił robotników do zakończenia strajku w Stoczni Gdańskiej. Zaczęła się droga do rozmów Okrągłego Stołu.

– W przeddzień końca strajku sierpniowego w 1988 roku dowódca pułku powiedział mi, że jestem przeniesiony do rezerwy – zapamiętał Walendziak. – Pięć minut przed przeniesieniem do rezerwy złożyłem przysięgę na wierność Polsce. W gabinecie dowódcy pułku zdałem broń i mundur. Wbito mi do książeczki wojskowej dwie pieczątki: „przeniesiony do rezerwy" i „przysięga wojskowa". Obydwie z tą samą datą. I tak skończyło się dla mnie wojsko. Zacząłem jako podchorąży, skończyłem jako szeregowy zasadniczej służby wojskowej, ale wierny Polsce, a nie „sojuszowi".

Zdemobilizowany Walendziak pojechał do Gdańska. Prosto z dworca PKP poszedł przed kościół św. Brygidy, gdzie opozycjoniści mieli punkt kontaktowy. Wisiała tam tablica z informacjami o represjach. Istotną jej część wypełniała historia Walendziaka. Na tablicy widniał plakat: „Wiesław Walendziak, działacz opozycji, represjonowany za wiarę".

– Podszedłem do członków straży robotniczej i powiedziałem, żeby zdjęli plakat, bo jest już nieaktualny – przypomina sobie Walendziak. – W pierwszej chwili sądzili, że to prowokacja, ale za chwilę jeden z robotników powiedział: „Panie Wiesławie, niech pan jeszcze trochę powisi, bo na dzień dzisiejszy nie mamy represjonowanych".

Plakat z Walendziakiem został na tablicy, a on sam wyruszył do stoczni, gdzie trwał jeszcze protest. – Byłem chyba ostatnim zatrzymanym przez bezpiekę – śmieje się. – Bo zgarnęli mnie razem z mecenasem Jackiem Taylorem, gdy próbowaliśmy przejść przez mur stoczni, żeby dołączyć do strajku. W SB na Okopowej przesłuchiwał mnie młody ubek. Z rezygnacją napisał „zatrzymany odmawia składania zeznań". Wcześniej zapytałem go wprost, czy nie widzi, że system się rozwala i to przesłuchanie nie ma już najmniejszego sensu. Ostatecznie po paru godzinach mnie wypuścił.

Towarzysze dali czadu

Gdy w kraju skończył się komunizm, Walendziak ze zdumieniem obserwował co poniektóre kariery.

– Poczułem, że źle się rodzi ta nowa Rzeczpospolita, skoro tacy ludzie jak generał Kuriata mogą mieć istotny udział w projektowaniu wolnego kraju – podkreśla Walendziak. – Wolna Polska w pierwszych latach swego

baza ebooków

funkcjonowania okazała się naiwna, przez co słabsza od Polski komunistycznej. Postać generała Kuriaty była tego uosobieniem. Zdegradował mnie, bo nie chciałem przysięgać na wierność ZSRR, lecz na wierność Polsce, co było w ostatnich dniach PRL-u teoretycznie możliwe. W wolnej Polsce był wiceministrem obrony narodowej. W tym samym czasie funkcję wiceministra w MON sprawował również Bronisław Komorowski. Kiedyś wspomniałem mu, że wypadałoby w tej naszej wolnej Polsce, o którą walczyłem, przywrócić mi tytuł podchorążego. Bezskutecznie.

Za puentę tej historii niech posłuży zdarzenie z 2000 roku, kiedy Wiesław Walendziak ponownie pojawił się w Bochni. Tym razem jako szef sztabu wyborczego Mariana Krzaklewskiego – kandydata Akcji Wyborczej „Solidarność" (AWS) na prezydenta. Trwała kampania, w której Krzaklewski rywalizował z ubiegającym się o reelekcję Aleksandrem Kwaśniewskim. Na wiec Krzaklewskiego w Bochni przyszło bardzo dużo ludzi.

– To był jeden z wielkich wieców w tej kampanii – wspomina Walendziak. – Ku swojemu zdumieniu zobaczyłem wśród działaczy AWS-u, organizatorów wiecu, wszystkich istotnych ludzi z mojej dawnej jednostki wojskowej. Łącznie z towarzyszem Kawką, dowódcą pułku oraz dowódcą kompanii. Wszyscy paradowali ze znaczkami AWS-u. Poklepywali mnie po plecach: „Panie Wiesławie, co za spotkanie po tylu latach, pamięta pan jak było, jak daliśmy czadu?". To niebywałe, ale okazało się, że razem walczyliśmy o wolną Polskę! Bo oni przecież byli zakonspirowanymi antykomunistami i ze wszystkich sił mnie wspierali…

Wiesław Walendziak

Przedsiębiorca, polityk, dziennikarz, publicysta. Tak przedstawia się w oficjalnym biogramie, który przekazali mi jego współpracownicy. Kolejność tych określeń może być dowolna. W każdej ze swoich ról Walendziak łączy dwie cechy: prawicowe poglądy i sprawność menedżerską. Przyszedł na świat w Gdańsku, gdzie działa się historia. Miał siedemnaście lat, gdy zaczął w tej historii aktywnie uczestniczyć. Jako uczeń liceum zaangażował się w działalność opozycyjną. Malował antykomunistyczne hasła na murach, roznosił bibułę (nielegalne wydawnictwa), rozrzucał ulotki. Wkrótce dołączył do Ruchu Młodej Polski Aleksandra Halla, późniejszego ministra w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. W sierpniu 1980 roku dostarczał strajkującym w Stoczni Gdańskiej jedzenie i kolportował ulotki. W czasie studiów należał do NZS-u, organizował strajki na uczelni. Po wprowadzeniu stanu wojennego zaangażowany w podziemiu solidarnościowym, członek redakcji niezależnych pism. W wolnej Polsce dał się poznać jako prężny dziennikarz. Był redaktorem naczelnym tygodnika „Młoda Polska", w TVP prowadził cieszące się dużą oglądalnością programy publicystyczne – Bez znieczulenia *i* Lewiatan*. W 1993 roku został dyrektorem generalnym raczkującego Polsatu, a w następnym roku prezesem TVP. Wraz z nim w telewizji zadomowiła się grupa młodych dziennikarzy o konserwatywnych poglądach. „Prezentujący umiarkowane prawicowe poglądy Walendziak oraz jego współpracownicy (nazywani ironicznie pampersami) stali się – kontrolując najważniejszy wówczas środek masowej komunikacji*

baza ebooków

w Polsce – istotną przeciwwagą dla dominującej w rządzie i parlamencie lewicy” [111] *– opisuje historyk profesor Antoni Dudek. Po dwóch latach Walendziak przeszedł z Woronicza do polityki. Był członkiem kilku prawicowych partii, wszedł do rządu Jerzego Buzka jako szef Kancelarii Premiera, zasiadał w ławach poselskich z ramienia AWS-u i PiS-u, kierował kampanią prezydencką Mariana Krzaklewskiego. W 2004 roku nieoczekiwanie zrezygnował z mandatu poselskiego i zajął się biznesem. Dwie dekady później wrócił do Polsatu. Objął stanowisko członka zarządu spółki odpowiedzialnego za informację i publicystykę w Telewizji Polsat.*

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 16

Szeregowy Krzysztof Skowroński, rocznik 1965, kategoria A2

Rok 1982, środek stanu wojennego. Gdy siedemnastoletniego Krzysztofa Skowrońskiego milicja złapała podczas nielegalnej manifestacji z okazji święta Konstytucji Trzeciego Maja, groziło mu wyrzucenie ze szkoły. Wychowawczyni z warszawskiego liceum imienia Królowej Jadwigi roztoczyła przed młodym buntownikiem ponurą wizję: „Skończysz jakąś zasadniczą szkołę zawodową i trafisz do wojska".

Do relegacji szczęśliwie nie doszło, ale groźba służby w armii zmroziła Skowrońskiemu krew w żyłach. Zanim rok później stanął przed komisją wojskową, skrzętnie przeanalizował swój „potencjał chorobowy". Nie wyobrażał sobie, że może trafić tam, skąd jego koledzy mieli złe wspomnienia. Chciał uniknąć służby i liczył na łut szczęścia.

– W poszukiwaniu dolegliwości cofnąłem się aż do wczesnego dzieciństwa – wspomina podczas rozmowy w siedzibie Radia Wnet, którego jest założycielem i szefem. – Zgromadziłem plik dokumentów, które miały wystarczyć do uchronienia się przed wojskiem. Ale nie wystarczyły. Dostałem kategorię A2, kwalifikującą do służby.

Po maturze Skowroński zdał na filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Wtedy niespodziewanie przypomniało sobie o nim wojsko.

– Wezwali mnie na komisję – opowiada. – Kompletnie nie wiedziałem dlaczego. Oznajmiłem wojskowym, że jestem studentem filozofii i nie mam czasu na żadne komisje. Wyartykułowałem swoją niechęć do wojska, a zwłaszcza Układu Warszawskiego, który uznałem za organizację zupełnie niepotrzebną. Wówczas jeden z członków komisji ostrzegł mnie, że za chwilę mogę znaleźć się w Pałacu Mostowskich (siedziba Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej – przypis J.K.). To mnie przekonało, że komisja wojskowa nie jest miejscem na zmianę militarnego

baza ebooków

sojuszu. Znowu przyznano mi kategorię A2, czyli zdolny, ale nie do wszystkich zadań wojskowych.

Na trzecim roku filozofii było studium wojskowe, ale Skowroński wziął akurat wtedy urlop dziekański. A potem przyszedł rok 1989, przemiany ustrojowe, i nikt już nie przywiązywał wagi do szkolenia wojskowego studentów.

– No i nie spełniło się proroctwo mojej nauczycielki – mówi dziennikarz. – Nigdy więcej nie dostałem żadnego dokumentu w sprawie służby wojskowej. I mam nadzieję, że po lekturze tej książki nikt sobie o mnie nie przypomni i nie zaciągnie do wojska. Choć wszystko jest możliwe na tym najpiękniejszym ze światów.

Krzysztof Skowroński
Świetny radiowiec. To on wymyślił Śniadanie z Radiem Zet *– format rozmowy polityków przy śniadaniu, skopiowany potem przez wiele stacji radiowych i telewizyjnych. Dziennikarzem został przez przypadek. „Myślałem, że będę pisał opowiadania i kręcił się po Krakowskim Przedmieściu i okolicach Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie studiowałem filozofię, ale któregoś dnia przypadek zagnał mnie na nabór do nowego radia. Zostałem przyjęty i po tygodniu już musiałem występować na antenie”* [112] *– pisał o sobie. W Radiu Zet zaczynał na początku lat dziewięćdziesiątych pod okiem mistrza Andrzeja Woyciechowskiego, który powierzył mu prowadzenie rozmów politycznych. Przygoda z Radiem Zet trwała dziesięć lat. Potem była współpraca z radiową Trójką, a następnie kierowanie tym programem. Pod dyrekcją Skowrońskiego wzrosła słuchalność stacji. „Skowroński czuł to radio, był bodaj czy nie najlepszym szefem Trójki po 1990 roku”* [113] *– oceniał inny radiowiec Paweł Sito. „Przełamaliśmy stereotyp mediów publicznych, okazało się, że może być jednocześnie i fajnie, i misyjnie, a w dodatku można osiągnąć sukces w reklamie”* [114] *– mówił Skowroński. Gdy pod pretekstem rzekomych nieprawidłowości finansowych został zwolniony z pracy, ponad siedemdziesiąt osób podpisało petycję w jego obronie. W 2009 roku założył Radio Wnet, którym kieruje do dzisiaj. Prowadził też liczne audycje telewizyjne w TVP i Polsacie, ale jego żywiołem pozostało radio. W latach 2011–2024 był prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.*

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 17

Szeregowy Piotr Skwieciński, rocznik 1963, kategoria A

Wkrótce PRL zacznie trzeszczeć w szwach, a wraz z nim nastąpi zmierzch przymusowego szkolenia wojskowego studentów. Ale w roku akademickim 1986/1987 studium wojskowe na Uniwersytecie Warszawskim pracuje jeszcze pełną parą. Cała para idzie w gwizdek absurdu, o czym opowiada nam ówczesny student historii, publicysta Piotr Skwieciński.

Tak się złożyło, że w czasie, gdy zbierałem materiały do książki, miałem szczęście pracować z Piotrem Skwiecińskim w tej samej redakcji na warszawskiej Saskiej Kępie. Uchodził za kopalnię anegdot ze studium wojskowego. Nie była to opinia na wyrost. Usiedliśmy w redakcyjnym „pokoju socjalnym" i zaczęło się fedrowanie. Opowieści Piotra skrzyły się jak diamenty, które szczęśliwie wpadały do mojej sakiewki. Oto garść tych klejnotów…

Serce wkopane do bramki

– Wojsko zaczynało się apelem porannym przed barakiem studium przy ulicy Żwirki i Wigury – wspomina Piotr. – Na placu stała cała kompania, a za siatką była budowa, skąd robotnicy przedrzeźniali oficerów. Kiedyś na baraku studium pojawiła się kotwica „Solidarności Walczącej". Fakt ten dla wojskowych był tak wstrząsający, że po porannym apelu zarządzili ekstraordynaryjny capstrzyk. Pułkownik Nowakowski (w stanie wojennym mianowany komisarzem Uniwersytetu Warszawskiego i zarazem kierownikiem studium wojskowego – J.K.) miał na nim przemowę, której fragment brzmiał: „Ja wyszedłem do was z sercem na dłoni, a wyście to serce wkopali do mojej bramki".

Skwieciński pamięta, że był jeden jedyny oficer, który miał opinię inteligentnego – major Mocarski. Mówiło się o nim, że służył w wojskowych służbach specjalnych, ale jego siostra uciekła na Zachód i dlatego znalazł się

baza ebooków

w studium. – Kiedyś na zajęciach z Mocarskim pisaliśmy kartkówkę – opowiada Piotr. – Na koniec major mówi: „Ci, którzy uważają, że napisali na dwójȩ, niech położą kartki na ten stosik. A ci, którzy sądzą, że napisali dobrze – obok”. I rzeczywiście znalazło się kilku idiotów, którzy uważali, że napisali na dwójȩ. Mocarski, bez zaglądania do kartek, dał im dwójȩ, a reszcie trójki.

Chodziły legendy o oficerach, którzy mieli znaleźć się w studium wojskowym, na pobocznym torze kariery, niejako za karę – za potworne w prawdziwym wojsku przejawy kretynizmu. – O pewnym oficerze z artylerii przeciwlotniczej wieść niosła, że ostrzelał własny samolot – mówi Skwieciński. – Masa była takich przekazów, nie tylko w Warszawie. Na studium Uniwersytetu Gdańskiego nauczał oficer marynarki wojennej, o którym mówiono, że rozwalił bombami głębinowymi kabel łączności Polska–Szwecja.

Taki rytuał

Legendarną postacią był pułkownik Jurneczko – wyśmiewany nawet przez innych oficerów. Zahaczył o 1 Armię Wojska Polskiego, czyli Armię Berlinga, co skutkowało tym, że w nieświadomie zabawny sposób używał wielu rusycyzmów. – Przez wojskowych z generacji powojennej był traktowany jako stary, głupi i zrusyfikowany – relacjonuje Piotr Skwieciński. – Bo oni stanowili już „niepodległe wojsko ludowe”. Pułkownik Jurneczko na swoich zajęciach, które prowadził jednorazowo w każdej grupie, zawsze stawiał dwie dwóje – pierwszemu i ostatniemu z listy. Nigdy od tej żelaznej zasady nie odstępował. Jak widział, że ktoś jest dobrze przygotowany, schodził do takich szczegółów jak ilość panewek w silniku określonego czołgu czy wozu bojowego. To było nie do przejścia. Taki rytuał. Wchodził i mówił: „Przedstawię się, jestem emerytowanym pułkownikiem Wojska Polskiego i pracownikiem tego studium”. Nie padało nazwisko, po czym stawiał te dwie dwóje.

Niejaki porucznik Bryś, potem kapitan, od techniki, prowadził lekcje o czołgach. – Na początku był rys historyczny – wspomina Skwieciński. – Bryś dyktował: „Już Hannibal użył przeciw Rzymianom stani bojowych”. Zastanawialiśmy się, co to za tajemnicze „stanie” i o co Brysiowi chodzi. A jemu – z czego sam sobie sprawy nie zdawał – chodziło oczywiście o słonie. Pewnie w podchorążówce, przepisując lekcję od kolegi, zamiast „słonie” wpisał do zeszytu „stanie”. A potem przez całą swoją karierę te „stanie” bezmyślnie reprodukował.

Z kolei pułkownik Wiśniok był przykładem oficera starszego pokolenia. – Pochodził ze wsi, mówił zaciągając „z ludowa” – tłumaczy Piotr. – W teorii wojskowej jest coś takiego jak bój spotkaniowy. Chcąc przybliżyć słuchaczom to

baza ebooków

zagadnienie, pułkownik Wiśniok tak je definiował: „Słuchajcie studenci, to tak jak dwóch kogutów. Tłukom sie, tłukom, nagle jeden daje dyla, a drugi goni”.

Cel i celowość

– Te upiorne definicje! – mówi Skwieciński. – Typu: „Dwadzieścia dwie cechy walki zbrojnej w odróżnieniu od dwunastu cech konfliktu zbrojnego”. To były rzeczy do wykucia. Motywy przewodnie, które się powtarzały: „cel i celowość”, „wysoka aktywność i zdecydowany charakter działań”, „odwody i zapasy”, „zaskoczenie i maskowanie”, „jedność kierownictwa politycznego i wojskowego”.

Żeby załatwić niektóre sprawy, na przykład zaliczenie, trzeba było skierować do wojskowych podanie. Koniecznie odręczne, bo oficerowie mieli taką świadomość, że jak student pisze na maszynie, to się wywyższa. A jak coś skrobnie, to jest taki nasz, ludowy.

W roku akademickim 1988/1989 NZS zorganizował bojkot studium wojskowego. Wszystko się sypało, nikt już nawet nie chciał represjonować bojkotujących. Szefem studium był wtedy niejaki pułkownik Korga.

Pułkownik doktor Wiesław Korga (1938–2022) – w wojsku od 1957 roku, ukończył Wojskową Akademię Techniczną, w latach 1987–1991 kierownik Studium Wojskowego Uniwersytetu Warszawskiego, karierę wojskową zakończył w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego, na emeryturze prezes Związku Weteranów i Rezerwistów WP.

– Co parę dni pułkownik Korga jeździł na teren główny uniwersytetu, by pertraktować z Piotrkiem Ciompą, o ile go znalazł, działaczem NZS-u i szefem samorządu studenckiego – pamięta Skwieciński. – Było to dla Korgi poniżające, bo taki ważny pułkownik musiał prosić o łaskę jakiegoś studenta. A Ciompa na dodatek wyglądał jak uczeń pierwszej klasy liceum.

Gdy w 1988 roku rozpoczynał się bojkot studium, NZS działał nieoficjalnie, ale jawnie. Studenci zebrali się na małym dziedzińcu UW. – Różne głosy tam padały – wspomina Piotr. – Jeden kolega, który był KPN-owcem, dość zaawansowanym wiekowo, bo zaczynał studia grubo przed stanem wojennym – zaczął przemowę od tego, że powinien być cel polityczny bojkotu. I ewentualnym celem mogłoby być podporządkowanie studium… ministerstwu wojny rządu emigracyjnego w Londynie. Wybuchł śmiech i facet przestał być traktowany poważnie.

Piotr Skwieciński
Dziennikarz, publicysta, historyk i dyplomata. Jako początkujący reporter parlamentarny

baza ebooków

na początku lat dziewięćdziesiątych patrzyłem na niego z podziwem w Sejmie. Swobodny, elegancki, zdystansowany. Nie biegał z „sitkiem", nie podtykał politykom dyktafonu pod nos. Nie widziałem nawet, żeby cokolwiek notował. A potem ukazywały się w prasie jego wnikliwe komentarze. Zazdrościłem. Już jako uczeń warszawskiego Liceum Lelewela angażował się w działalność opozycyjną. Wydawał i kolportował nielegalne pisma, obserwował ruchy oddziałów ZOMO przed patriotycznymi manifestacjami, malował na murach znak Polski Walczącej. Podczas studiów historycznych na Uniwersytecie Warszawskim działał w NZS-ie, o czym była już mowa. W wolnej Polsce zajął się dziennikarstwem. Należy do czołowych publicystów o poglądach prawicowo-konserwatywnych. Pisał między innymi w: „Życiu Warszawy", „Życiu", „Rzeczpospolitej" (korespondent w Moskwie), „Uważam Rze", „wSieci", „Tygodniku Solidarność". Był wiceszefem Wiadomości TVP1, szefem publicystyki w TV Puls, prezesem Polskiej Agencji Prasowej. W roli dyplomaty kierował Instytutem Polskim w Moskwie, a po wydaleniu z Rosji był ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Armenii. Napisał kilka książek, ostatnio Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji.

baza ebooków

baza ebooków

Rozdział 18

Starszy szeregowy podchorąży Rafał Ziemkiewicz, rocznik 1964, kategoria A3

– Poszedłem na studia, by uniknąć służby wojskowej – publicysta nie owija w bawełnę. – W PRL-u studiowanie niczego więcej w zasadzie nie dawało. Zwłaszcza mnie, który i tak miałem zamiar zostać „prozaikiem przeklętym". Może jeszcze ze względu na rodziców, żeby im nie było przykro. Wybrałem polonistykę. Wiadomo, że później trzeba było spędzić rok w „bażanciarni" (Szkole Podchorążych Rezerwy – J.K.), która w porównaniu ze zwykłym wojskiem była sanatorium.

Popijając kawę w jednej z sieciowych kawiarni w centrum Warszawy, Rafał Ziemkiewicz przyznaje, że w sprawie służby wojskowej popełnił życiowy błąd.

– Z uwagi na to, że w czasie studiów się ożeniłem, chciałem jak najszybciej ten rok wojska „odbębnić", żeby mieć święty spokój – wyjaśnia. – Zaraz po egzaminie magisterskim poszedłem na pierwsze wezwanie, jakie dostałem. Wcielili mnie w roku 1988, tymczasem za rok wszystko zaczęło się już sypać. Gdybym ten rok poczekał, to pewnie w ogóle nie służyłbym w wojsku, bo zdaje się, że później takich gości z A3 już nie brali.

Darowane miesiące. W tym miejscu muszę potwierdzić, że rok 1989 był dla poborowych o wiele łaskawszy od poprzedniego. Osobiście trafiłem do Szkoły Podchorążych Rezerwy w Elblągu w maju 1989. Moja służba miała trwać rok. W mundurze podchorążego wziąłem udział w czerwcowych wyborach, w których zwyciężyła „Solidarność". Rząd Mazowieckiego skrócił wojsko dla absolwentów do sześciu miesięcy. A mój „turnus", jako przejściowy, skończył się już po czterech miesiącach.

Swoją drogą uzyskanie kategorii A3 zdarzyło się Ziemkiewiczowi dość szczęśliwie. Gdy w liceum dostał wezwanie na komisję wojskową, powiedział, że

baza ebooków

ma astygmatyzm. Wtedy zażądano, by w ciągu jednego dnia znalazł okulistę z uprawnieniami przyznanymi przez WKU (cywilny okulista dla komisji nie był ważny), który ten astygmatyzm potwierdzi.

– Znalazłem taką okulistkę w szpitalu – wspomina Ziemkiewicz. – Wyszła do mnie zmordowana po jakiejś operacji. Popatrzyła na mnie, wzięła te papiery i powiedziała: „O, pan się urodził tego dnia, co mój syn, i pewnie chce pan, żebym zrobiła tak, żeby pan nie poszedł do wojska?”. Coś mi napisała i dostałem A3.

Studium przypadków wojskowych

Zajęcia w Studium Wojskowym Uniwersytetu Warszawskiego dotyczyły wszystkich, włącznie z kobietami. Z tym, że kobiety uczyły się jak bandażować rany i… rodzić dzieci. – Krążyła anegdota o koleżance z roku, która z ciąży i połogu dostała lufę – opowiada Ziemkiewicz. – Poszła więc do pani major i powiedziała, że urodziła dwoje dzieci, więc wie coś na temat ciąży i połogu. Ale pani major stwierdziła, że widocznie rodziła niefachowo.

Ziemkiewicz potwierdza sławę i kultowy status Studium Wojskowego UW. – Był w nim jeden gość, który w czasie manewrów wysadził most – wylicza. – Ludność jakiegoś miasteczka w czynie społecznym zbudowała sobie nowy mostek, więc stary był do rozbiórki. W czasie manewrów wojsko postanowiło to wykorzystać i wysadzić bezużyteczny most w powietrze. Ale podwładni chcieli zrobić panu kapitanowi numer. Zaminowali nie to, co trzeba, i w powietrze wyleciała nowa przeprawa. Za karę pan kapitan trafił do studium wojskowego.

Jedynym sensownym człowiekiem, jak zapamiętał Ziemkiewicz, był kapitan o nazwisku Cichecki bądź Cichocki. Podobno trafił do studium wojskowego po tym, jak zimą wziął czołg i zawiózł do szpitala umierającą kobietę, do której przez zaspy nie mogła dojechać żadna karetka. Były dwie wersje tej historii. Zgodnie z pierwszą, jadąc, siedział na czołgu, żeby sterować głosem, bo pogoda była taka, że załoga nic nie widziała. Spadł wtedy z czołgu i się połamał. Natomiast wedle drugiej wersji podpadł za to, że osłabił samowolnie gotowość bojową jednostki. Drugi wariant był bardziej prawdopodobny.

– Był też taki wykładowca, któremu siostra na Zachód spierniczyła (major Mocarski z opowieści Piotra Skwiecińskiego – J.K.), więc go przenieśli do studium wojskowego – wspomina Ziemkiewicz. – Generalnie wiadomo było, że wojsko przysyłało do pracy ze studentami takich, którzy za coś podpadli. Nauka w studium polegała na wysłuchiwaniu jakiś komunistycznych bredni czy wkuwaniu kretyńskich formułek, które trzeba było z pamięci recytować. Ten absurd świetnie

baza ebooków

oddawały żarty typu: „Skąd wychodzą czołgi? Czołgi wychodzą znienacka”. „Co ma żołnierz pod łóżkiem? Żołnierz ma pod łóżkiem sprzątać”.

Przeznaczony na zakładnika

Ziemkiewicz jest przekonany, że komisja wojskowa, przed którą stanął pod koniec studiów, potraktowała go dość łagodnie, bo nie migał się od służby.

– Powiedziałem uczciwie, że chcę już mieć to za sobą i proszę o przydział – opowiada. – No to dostałem przydział zgodny z moją kategorią: do Szkoły Podchorążych Rezerwy Obrony Cywilnej. Tak naprawdę to nie było wojsko. Mówiliśmy, że to wojska rakietowe ziemia-łopata-ziemia, czyli w razie wojny będziemy przeznaczeni na zakładników. Obroniłem magisterkę, dostałem dyplom w czerwcu 1988 roku, a na pierwszego września dostałem powołanie.

Szkoła Podchorążych Rezerwy Obrony Cywilnej (SRP OC) działała w Węgorzewie przy 1 Warszawskiej Brygadzie Artylerii Armat. – Węgorzewo spełniało „zasadę przekątnej” (polegała na tym, że poborowych kierowano do jednostek odległych od ich miejsca zamieszkania, często po przekątnej kraju – J.K.): leżało daleko od Warszawy, poza sezonem dojeżdżał tam tylko jeden autobus – o szóstej rano. Albo pociąg, ale jazda z licznymi przesiadkami trwała cały dzień – opowiada Ziemkiewicz. – Brygada była takim cyrkiem, że jak się zaczęły zmiany po 1989 roku, rozformowano ją jako pierwszą w kraju. A miała szlak bojowy prawie znad Oki! Symboliczne jest to, że pomieszczenia, w których była Szkoła Podchorążych Rezerwy, oddano na szpital psychiatryczny. Naprawdę świetna przemiana!

Zanim doszło do tej mało chwalebnej reinkarnacji, mazurska jednostka przeżywała w PRL-u swoje dni chwały. Placem boju była komunistyczna propaganda. Brygada, opromieniona wojennymi zasługami, między innymi udziałem w walkach o Wał Pomorski i w operacji berlińskiej, chlubiąca się imieniem Józefa Bema, świetnie nadawała się do tego celu.

Świetlica dla Gierka

W 1974 roku węgorzewskich artylerzystów odwiedzili pierwszy sekretarz PZPR Edward Gierek oraz minister obrony narodowej generał armii Wojciech Jaruzelski. Jak podkreśla kronikarz jednostki podpułkownik rezerwy Marian Milewski, było to duże wyróżnienie, gdyż zgodnie z panującym wówczas zwyczajem pierwszy sekretarz PZPR wizytował tylko raz w roku jedną z najlepszych jednostek Wojska Polskiego. Nie obeszło się bez być może dosłownego malowania trawy na zielono.

baza ebooków

„W trakcie przygotowań do wizyty pokryto asfaltem place apelowe brygady przed budynkami koszarowymi, utwardzono płytami betonowymi nawierzchnię w rejonie garaży tuż za punktem kontroli technicznej, wyremontowano pomieszczenia 1 dywizjonu i pomalowano elewacje budynków koszarowych, garażowych i hali sportowej” – wylicza podpułkownik Milewski. „Urządzono (…) między innymi kawiarenkę w piwnicy oraz świetlicę na parterze, nadając jej wygląd regionalny, natomiast na I piętrze urządzono świetlicę o charakterze górniczym, nawiązując tym samym do regionu pochodzenia I Sekretarza” [115].

Edward Gierek musiał być pod wrażeniem, bo gdy rok później Rada Państwa nadała brygadzie Order Sztandaru Pracy, osobiście celebrował to wydarzenie na Placu Zwycięstwa w Warszawie.

W dekadzie Gierka brygada otrzymała też tytuł wojskowego „Mistrza Gospodarności”, co akurat sprawdziło się w kryzysowych latach osiemdziesiątych. Gdy w kraju brakowało praktycznie wszystkiego, jednostka z powodzeniem uprawiała handel wymienny.

„Dzięki działalności brygadowego wojskowego gospodarstwa rolnego na zaopatrzenie mieszkańców Węgorzewa trafiały tony mięsa wieprzowego oraz baraniny” – odnotowuje podpułkownik Milewski. „Ze skór baranich wyrabiano kożuchy cieszące się »wzięciem« wśród kadry i na miejscowym rynku. Natomiast Gminna Spółdzielnia i Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Węgorzewie zaopatrywały jednostkę w artykuły spożywcze: chleb, mięso, wędliny, ziemniaki” [116].

Wypada też przypomnieć, że to nie gdzie indziej jak w węgorzewskim Klubie Garnizonowym wojsko poznało się w 1982 roku na wokalnym talencie szeregowego Janusza Panasewicza.

Szynka dwudziestego drugiego lipca

Sześć lat później w podobnych okolicznościach nikt nie rozpoznał talentu literackiego Ziemkiewicza, ale nie było źle.

– Ten SPR OC miał pewną autonomię w jednostce, ponieważ był po przeciwnej stronie ulicy niż cała reszta – wyjaśnia publicysta. – Panowały w nim nieco luźniejsze układy. Dowódca był totalnym alkoholikiem, więc mało się wtrącał. Przez większą część dnia głównie się ukrywał. Mój dowódca kompanii też był alkoholikiem. Z tej właśnie przyczyny znalazł się w Węgorzewie, więc można było z nim wytrzymać. Wszystkim kierował porucznik, który pilnował przede wszystkim tego, żeby były porobione makiety szkoleniowe, boazerie poukładane itp. Od razu był taki podział, że goście, którzy mają smykałkę do prac

baza ebooków

technicznych, nie musieli robić niczego innego. Reszta musiała za nich sprzątać i pracować w kuchni, to znaczy obierać kartofle albo buraki.

Wyżywienie to temat, jak mówi Ziemkiewicz, na osobny kryminał. Jedzenie było parszywe. Standardowe śniadanie stanowił plaster gotowanej słoniny. Nawet musztardy do tego nie było, chyba że ktoś miał swoją. Czasem w niedzielę dali jakiś kawałek mięsa.

– Najbardziej popularnym człowiekiem w jednostce był pewien wegetarianin, bo zawsze miał ten kawałek słoniny czy mięsa do oddania – zapamiętał dziennikarz. – Dostawaliśmy też tak zwane pancerniki, czyli konserwy, przeważnie jedną na dwóch. Były to najdziwaczniejsze konserwy rybne, których nikt nie chciał kupować. Na przykład śledź w majonezie z koperkiem albo sałatka ze szprotów z jakimiś trocinami. Do tego kostka margaryny, która nie dała się w żaden sposób rozsmarować. I dużo zieleniny. Koszmarne rzeczy!

Z prawdziwie koszmarną zieleniną mieli w Węgorzewie do czynienia podchorążowie z turnusu wcześniejszego o dwa lata.

„Do SPR trafiliśmy na początku maja (1986 roku – J.K.), tuż po katastrofie w Czarnobylu” – opisuje dziennikarz rzeszowskich „Nowin” Jaromir Kwiatkowski. „Dziwiliśmy się, że dostajemy na obiad góry sałaty i nowalijek. W końcu ktoś dociekł, że podobno przez Czarnobyl nikt nie chciał kupować produktów od rolników. Wymyślono więc, że wojsko kupi i zje. Ale nie świeciliśmy w nocy” [117].

Jak zapamiętał Kwiatkowski, kuchnia mazurskiego SPR miała dwie popisowe potrawy: jaja w majonezie i tak zwany zestaw śniadaniowy. Jaja były ugotowane, ale nieobrane. Trzeba było wyciągnąć je palcami z majonezu, obrać i wrzucić z powrotem.

„Zestaw śniadaniowy to był wylany na talerz sztuczny miód, w którego środek kucharz wrzucał kawałek ryby z konserwy, na przykład szprotkę w oleju” – dodaje redaktor. „Olej z miodem? Tego by Makłowicz nie wymyślił. W ciągu tych trzech miesięcy szynka była tylko raz: dwudziestego drugiego lipca. Dla uczczenia… wiadomo” [118].

– Jedyne, co było dobre, to twarożek, bo jednostka miała swoją mleczarnię – przyznaje Ziemkiewicz. – Mleka nie lubiłem, bo zanim do nas dotarło, było wiele razy rozkradane i zaprawiane wodą. Na szczęście twarożek trudno było sfałszować. Ten twarożek z cebulą był podstawą mojego pożywienia. Praktycznie przez cały czas jadłem tylko to. I czosnek, który przywoziłem z domu, bo byłem ciągle

baza ebooków

przeziębiony. Strasznie musiało ode mnie walić tym czosnkiem, ale całe wojsko śmierdziało, więc pewnie mało kto to czuł.

Jakby sushi

W porównaniu z żołnierzami służby zasadniczej, podchorążowie ze swoją słoniną, jajkami w majonezie i twarożkiem, żywili się jak lordowie.

– Mój kolega widział kiedyś na stołówce, gdzie jedli szweje, jak wszyscy walili rybami o kant stołu – opowiada Ziemkiewicz. – Okazało się, że dostali mrożone ryby ledwie tylko z wierzchu osmażone, a w środku był lód. Więc walili nimi o stół, żeby je jakoś pokruszyć w ciągu pięciu minut, które mieli na jedzenie. Można powiedzieć, że 1. Warszawska Brygada Artylerii Armat wprowadziła sushi, zanim stało się w Polsce popularne.

Ale nawet tak żałosny obiad był dla żołnierzy przedmiotem nabożnej czci, gdyż wyznaczał rytm dnia. „Obiad zjedzony, dzień zaliczony” – głosiło popularne prawidło. Po posiłku nie było już zazwyczaj żadnych wyczerpujących zajęć, więc spokojnie można było odciąć na swoim centymetrze krawieckim kolejny kawałeczek monotonnej służby.

– Generalnie były trzy rodzaje zadań bojowych, które na nas spoczywały – wylicza Ziemkiewicz. – Pierwszy to obieranie ziemniaków i szorowanie garów. Drugi to sprzątanie budynków, w których wcześniej były pruskie koszary. Podłogi były w nich wyłożone żłobionymi płytkami ceramicznymi. Czyszczenie tego było zadaniem maksymalnie niewdzięcznym. Zwłaszcza że w ciągu pięciu minut one znowu były zabłocone. Natomiast trzeci rodzaj zadań był dla grupy wybrańców, która miała „kiwać służby”, czyli odsługiwać służby podoficera dyżurnego. Odbierać telefony, krzyczeć w razie czego, że się melduję i wprowadzać zarządzenia. Tych „szczęśliwców” wybrano ze względu na wzrost, żeby się dobrze prezentowali podczas przysięgi. Mieli wtedy dostać po pierwszej belce, czyli promocję na starszego szeregowego. Załapałem się do tej grupy, bo mam metr dziewięćdziesiąt.

Ruska defilada

Przed przysięgą podchorążowie całymi dniami uczyli się musztry, żeby uroczystość wyglądała jak ruska defilada. Pułkownik, który dowodził brygadą, lubił jak żołnierze równo maszerują. To była najważniejsza sprawa.

Podczas przysięgi, ośmiu wyznaczonych do awansu drągali – w tym Ziemkiewicz – wykonało wysoce synchroniczną figurę: krok do przodu, zamaszyste machnięcie rękami i okrzyk: „Ku chwale ojczyzny!”. Teoretycznie owi

baza ebooków

wybrańcy powinni być prymusami w szkoleniu. Wojsko w PRL-u rządziło się jednak własną logiką. „Gdzie się kończy logika, tam zaczyna się wojsko – to powiedzenie można było usłyszeć w okresie PRL-u bardzo często” [119] – zauważa redaktor Kwiatkowski.

– Gdyby prymusem okazał się jakiś kurdupel i stał w drugim szeregu, to żeby wyjść, musiałby zrobić cały układ baletowy – wyjaśnia Ziemkiewicz. – Uznano, że inteligencja absolwenta szkoły wyższej nie wystarcza, by wykonać taką operację prawidłowo. Dlatego „przodujący w szkoleniu” musieli stać w pierwszym rzędzie, a w nim zawsze stoją najwyżsi.

W ten chwalebny sposób Ziemkiewicz został starszym szeregowym podchorążym, uprzednio złożywszy przysięgę wojskową. W rocie nadal pokutował socjalizm i bratni sojusz z Armią Czerwoną. – Oczywiście nie wymawialiśmy tych słów na głos – zaznacza Ziemkiewicz. – Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, bo odpowiedni kwit i tak trzeba było podpisać. Odmowa złożenia przysięgi byłaby decyzją heroiczną, na którą w owym czasie nie zdobyłem się. Stwierdziłem, że skoro ustroju nie zmienię, to nie warto. Wszyscy zresztą traktowali tę przysięgę jak idiotyczny rytuał, który trzeba odbyć.

Pasek pod brodą

Po przysiędze prawie cała służba w Węgorzewie upłynęła starszemu szeregowemu Ziemkiewiczowi na pełnieniu obowiązków podoficera dyżurnego.

– Czasem jeszcze mieliśmy jakieś wyjazdy na poligon – uzupełnia. – To było pole, po którym mieliśmy się ganiać, ale siedzieliśmy sobie na jakimś niemieckim, zrujnowanym cmentarzu, paliliśmy, piliśmy i uważaliśmy, żeby się nie wychylać. Jakieś tam zajęcia, konspekty… To wszystko było picem i pozorem. Chodziło o to, żeby oficer mógł odnotować, że przeprowadził zajęcia. Przez pierwszy miesiąc jeszcze kaprale usiłowali z nas coś wykrzesać. Ale byli ze służby zasadniczej, więc nie mieli u nas za bardzo autorytetu. Wszyscy postępowali na zasadzie: ja ci nie będę robił kłopotu, ty mi nie rób kłopotu, musimy się jakoś przekiwać. Przy oficerach możemy teatrzyk odwalać, że ty nam rozkazujesz, a my słuchamy. Natomiast na co dzień weź sobie daj spokój i będzie dobrze.

Na turnusie w Węgorzewie było paru dobrze zbudowanych absolwentów AWF-u, którzy stanowili element zdatny do czynności przywódczych.

– Ale w większości byli tacy goście jak ja: poloniści, prawnicy, mole książkowe – wylicza Ziemkiewicz. – Zaprawa poranna była dla nas strasznie upierdliwa. Zazwyczaj chowałem się w jednej z sal wykładowych i czytałem książkę. Ale parę razy przydupił mnie jeden ambitny pan porucznik. Wtedy zaczął zwracać uwagę, kogo na zaprawie nie ma. Widział, że jedna połowa ekipy się bunkruje, a druga stoi

baza ebooków

na placu, przeciąga się i tylko udaje wykonywanie ćwiczeń. W końcu ktoś uznał, że to obciachowo wygląda. Co będzie, jak przyjedzie pułkownik i zobaczy tę bandę, która się szwenda po boisku?! Więc przez dwa, trzy tygodnie trzeba było rano wyjść i biegać w kółko. Ale potem, jak sytuacja się uspokoiła, znowu można było się gdzieś chować.

Starszy szeregowy Ziemkiewicz, jako się rzekło, należał do wybrańców, którzy „kiwali służby" podoficera dyżurnego. Dyżurny musiał mieć na głowie czapkę żołnierską z paskiem pod brodą, którego nie wolno było odpinać.

– To była wymyślna chińska tortura, ponieważ po paru godzinach skóra na brodzie była obtarta – wspomina Ziemkiewicz. – Mieliśmy ambitnego gościa, który potrafił wpadać znienacka i pilnować tego paska. To był bardzo biedny człowiek, chyba jedyny, który poszedł do wojska, bo w nie wierzył. Odczuwał głęboką frustrację spowodowaną tym, co w wojsku naprawdę się działo. Jeden wielki bajzel, miasto rozkładu i bezprawia.

Kiedyś zdarzyło się dyżurującemu Ziemkiewiczowi przeżyć cztery dni bez snu. Mógł na sobie obserwować, jakie są tego efekty dla organizmu.

– Generalnie człowiek zachowuje się tak, jakby się bardzo mocno uchlał, mimo że nie wypił ani kropli alkoholu – opisuje. – Doszedłem do stanów prawie halucynacji. Przeżywałem na przemian euforię, depresję i apatię, w coraz bardziej skracającej się amplitudzie. Później pojawiły się zwidy, omamy słuchowe i wzrokowe, jak po narkotykach. Gdy wreszcie doczekałem się zmiennika, padłem na wyro, przespałem kilka godzin i byłem już tylko zwyczajnie niewyspany. Taki eksperyment udało mi się wykonać na koszt wojska ludowego. To był chyba jedyny pożytek i doświadczenie, które mi się później przydało w pisaniu.

Znikające raki

O sprawności bojowej nie warto nawet wspominać. Gdy Ziemkiewicz strzelał, Pan Bóg kule nosił w zaskakujące miejsca.

– Karabiny były rozregulowane, a przyrządy celownicze niewiele warte – twierdzi Ziemkiewicz. – Broń nadawała się tylko do strzelania na wiwat. Na jakimś strzelaniu wystrzelałem zero punktów na pięćdziesiąt możliwych. A kolega obok: osiemdziesiąt cztery punkty na pięćdziesiąt możliwych. Jakim sposobem? Po prostu waliłem w jego tarczę.

Nie miało to jednak większego znaczenia, bo poza strzelnicą Ziemkiewicz raptem dwa razy miał karabin w ręce. Odbywał wtedy służbę wartowniczą w parku magazynowym brygady, gdzie skrywano prawdziwe skarby…

– Stały tam ponoć armaty z sygnaturą „Starachowice 1938", a nawet starsze – relacjonuje Ziemkiewicz. – Przebyły wyjątkowy szlak bojowy, ponieważ Niemcy

baza ebooków

je nam ukradli we wrześniu 1939. Potem Sowieci zabrali te armaty Niemcom i jako starocie przekazali LWP. To był nasz zapas mobilizacyjny. Amunicji nie mieliśmy podobno wcale. Tak na wszelki wypadek, bo gdyby wybuchła wojna, Wielki Brat miał nam dopiero amunicję dostarczyć. Sojusznicy najwyraźniej uznali, że lepiej, żeby ludowe wojsko amunicji nie miało, bo nie było pewności, w którą stronę zaczęłoby strzelać.

Kiedyś podczas rutynowego sprawdzania magazynu stwierdzono, że brakuje dwóch pistoletów maszynowych typu Rak.

PM-63 Rak – mieszczący się w rewolwerowej kaburze pistolet maszynowy strzelający seriami. „Mały, chudy, ale byk" – tak mógłby brzmieć slogan reklamowy tej lekkiej, zgrabnej i śmiercionośnej broni. Rak – ze składaną kolbą i krótką lufą – wyglądał trochę jak zbójecki obrzyn. Ważył z magazynkiem niecałe dwa kilogramy. Ze względu na małe rozmiary doskonale sprawdzał się na uzbrojeniu załóg czołgów i wozów bojowych. Był również bronią desantowców, komandosów, strażników kolejowych, Volkspolizei NRD i… terrorystów Frakcji Czerwonej Armii. Pistolet, porównywany ze słynnym izraelskim UZI, był chlubą polskiej myśli technicznej. Skonstruowany w latach sześćdziesiątych przez profesora Piotra Wilniewczyca z Politechniki Warszawskiej, współtwórcy przedwojennego VIS-a i Morsa. Produkowany w Radomiu do 1975 roku, a jeszcze dłużej w Chinach.

Sprawa tajemniczego zniknięcia Raków była poważna. Po bezowocnych poszukiwaniach w ciągu dnia, ogłoszono alarm w nocy. Absurdalność tego zdarzenia Ziemkiewicz zobrazował w swoim opowiadaniu *Godzina przed świtem*:

„Kiedy ma być alarm wszyscy śpią w mundurach, z bronią i ekwipunkiem pod łóżkiem, a bywa, że i tak jeszcze cichą pobudkę ogłasza się na wszelki wypadek parenaście minut wcześniej. Z całą pewnością na dziś nie zapowiadano żadnych ćwiczebnych alarmów. (…) Otrząsnąłem się z osłupienia i ruszyłem w stronę swojej izby. Jedną z osobliwości ludowego wojska jest obowiązek wystawiania na noc butów za drzwi izby. Rano, przy pobudce, i w nagłych wypadkach robi się tam straszliwy ścisk i wszyscy zderzają się głowami, usiłując pochwycić swoje trepy. Zdążyłem złapać opinacze akurat w momencie, gdy któryś z kolegów otworzył drzwi. Zderzyłem się z nim, wpadając do środka. Nie odpowiadając na zaspane »co jest, do jasnej cholery«, zacząłem się ubierać" [120].

– Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, bo alarm niezapowiedziany to było coś niepokojącego. – Ziemkiewicz uzupełnia relację. – Potem okazało się, że ktoś zapieprzył te peemy pół roku wcześniej, tylko nikt o tym nie wiedział. Znaleźli

baza ebooków

sprawcę, był nawet pokazowy proces w jego jednostce, przyjechali prokuratorzy, wszystkich spędzili na salę gimnastyczną.

Afera meldunkowa

Jeśli chodzi o stosunek do oręża, Ziemkiewicz poznał mnóstwo ludzi, którzy fascynują się wojskiem i bronią. Takich, co wiedzą, gdzie jest jaki dzyndzelek przy MP43 – niemiecki karabinek automatyczny z czasów drugiej wojny światowej – czy przełącznik w czołgu. Zauważył jednak pewną prawidłowość: wszyscy ci wybitni znawcy uzbrojenia nigdy nie byli w wojsku. Natomiast tych, którzy zaliczyli służbę, nie bawi, gdzie jest jaki dzyndzelek przy kałasznikowie. Bo wiedzą, że karabin waży sześć kilogramów, po godzinie trzymania boli ramię, a na mrozie skóra przykleja się do lufy.

– Gdy widzę człowieka, którego fascynują różne rodzaje uzbrojenia, jestem przekonany, że jego zaszczytna służba wojskowa ominęła – stwierdza Ziemkiewicz.

Z perspektywy własnych doświadczeń zauważa trzy główne cechy wojskowości: wieczne niedospanie, wieczne zakatarzenie i wieczne niedomycie.

– Człowiek chodził przemoczony, w mokrych butach – wzdryga się publicysta. – Z tego powodu byłem w wojsku ciągle przeziębiony. Ale najgorsze, że nie można było dobrze się umyć, dlatego wszyscy śmierdzieli. Bo mycie było na czas. Służyły do tego celu korytka z małymi kranikami, gdzie można było umyć dłonie i stopy przy pewnej dozie wygimnastykowania. Natryski przysługiwały pięć minut w tygodniu. Mówiono nam, że jako podchorążowie i tak mamy lepiej, bo szwejów wcale nie dopuszczano do natrysków. Zawsze było coś ważniejszego niż mycie.

Stres spowodowany warunkami służby i samym odcięciem od świata kumulował się, a w końcu wybuchał. Najczęściej w postaci agresji przy okazji ekscesów alkoholowych. Ziemkiewicz rozładowywał napięcie subtelnym sposobem. Jak na polonistę przystało, wyżywał się słowem pisanym. Któregoś dnia, zakatarzony i zły, że mu znowu wlepili idiotyczną służbę, dobrał się do książki meldunków.

– Napisałem, że udałem się na odprawę wart i służb, a po kropce dopisałem: „zmarzłem” – opowiada. – I mi ulżyło. Kolejny raz napisałem, gdy nadzorowałem wydawanie posiłków, że zauważyłem, jak podchorążowie siorbią zupę mleczną. Pisałem takie głupoty, które mi sprawiały ulgę, choć wiem, że nie wydają się śmieszne. Raz też napisałem, że kontrolowałem zabezpieczenie przeciwpożarowe aż mnie dupa rozbolała. Po kilku dniach komendant szkoły, major M., podpisał to wszystko hurtem, nie zaglądając. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie porucznik, donosiciel, który przeglądając książkę, znalazł moje wpisy. Pobiegł z tym do

baza ebooków

majora, a ten kazał mnie natychmiast ściągnąć z Warszawy, bo akurat byłem na przepustce. Po powrocie stałem się dla komendanta wrogiem publicznym numer jeden. Postanowił, że mnie wyśle do hufca w Bochni.

Podchorąży od zaraz

Bocheński hufiec pracy cieszył się złą sławą. Kiedyś w Ochotniczych Hufcach Pracy (OHP) młodzież dorabiała sobie podczas wakacji. Ale w stanie wojennym włączono do nich oddziały tak zwanych stałych skoszarowanych hufców pracy. Były to paramilitarne oddziały służby cywilnej złożone z poborowych, którzy nie nadawali się do regularnego wojska.

– To byli goście, których wojsko nie chciało z powodu niskiego IQ, ludzie agresywni, którym strach było dać broń do ręki, albo, i takich było najwięcej, po prostu recydywiści – wyjaśnia Ziemkiewicz. – Nie brano ich do normalnego wojska, więc zrobiono dla nich skoszarowane hufce pracy. Służyli jako tania siła robocza, nie było mowy o żadnej wojskowości. I ktoś wymyślił, że tacy goście jak ja, jacyś okularnicy po polonistyce z kategorią A3, będą dowodzić tymi bandytami.

Ziemkiewiczowi groziło, że po trzech miesiącach szkolenia w węgorzewskim SPR OC trafi na „praktykę dowódczą" do tego rodzaju szemranej jednostki w Bochni. Perspektywa spędzenia siedmiu miesięcy wśród junaków po wyrokach zmusiła go do działania.

– Przez znajomych i ich znajomych udało mi się załatwić tak zwany ZIP, czyli „zapotrzebowanie indywidualne na podchorążego" – wspomina. – Było w nim napisane, że podchorąży Ziemkiewicz jest niezbędny w komendzie głównej OHP-u, ponieważ jako wybitny artysta i poeta będzie pracował w wydziale propagandy. Z takim ZIP-em przyjechała do naszego SPR-u komisja z Warszawy, która egzaminowała podchorążych i rozdzielała przydziały. Jedyne, co mógł zrobić wtedy major M., to nie dać mi promocji na wyższy stopień. Na inne działania był po prostu za krótki. W ten sposób, jako jedyny z całej szkoły, zostałem w stopniu starszego szeregowego podchorążego. Wszyscy pozostali dostali stopień kaprala.

Dostrajanie nastrojów

Komenda Główna OHP mieściła się w stolicy przy ulicy Grzybowskiej 79 na warszawskiej Woli, w dawnym budynku Elektrowni Tramwajów Warszawskich. Dziś ma tu siedzibę Muzeum Powstania Warszawskiego.

– Siedziałem tam w wydziale propagandy, nie miałem nic do roboty i cierpiałem – zwierza się Ziemkiewicz. – Przepisałem na maszynie moją powieść *Wybrańcy bogów*. Była pełna aluzji do systemu, który upadł, zanim ją skończyłem. Troszkę

baza ebooków

się omsknęła w czasie. To może była główna strata, jaka wynikła z mojego pobytu w wojsku.

Niczym urzędnik przychodził do centrali OHP-u na ósmą i wychodził o szesnastej. Poza podpisaniem listy obecności nikt żadnej pracy od niego nie wymagał. Miał siedzieć przy biurku i tyle.

– Wolno mi było mieć gazety: „Trybunę Ludu” i „Życie Warszawy” – wspomina. – Siedziałem w ciasnym pokoiku z trzema innymi osobami. Rozmowy z nimi były bardzo ciekawe, ale przez pierwszy tydzień. Później można było po prostu oszaleć. Wariowałem, bo nie miałem kompletnie nic do roboty. Jedyną rzeczą, jaką robiłem, były meldunki dla szefa o nastrojach panujących w hufcach. Moi koledzy, którzy nie mieli tyle szczęścia, co ja, opowiadali mi, jak wyglądała ich służba na przykład we wspomnianej już wcześniej Bochni. Dowodzenie bandytami, którzy tam przebywali, polegało na tym, że podchorąży na nocnym dyżurze barykadował się w swojej kanciapie, starając się nie słyszeć, co się dzieje w jednostce. Rano wychodził, wzywał pogotowie i liczył trupy na korytarzach. Po 1989 roku oddziały OC od razu zostały zlikwidowane, bo nikt nad nimi nie panował. Ale wcześniej, raz w miesiącu dostawałem meldunki o nastrojach w hufcach. Przy czym nastrój był wyrażany wartością cyfrową od dwóch do pięciu, z dwoma cyframi po przecinku. Zgodnie z zasadą, którą przekazał mi wtedy szef, nastroje powinny stale rosnąć. Dostawałem więc meldunki, że w Szczecinie nastrój jest 4,28, a w Bochni 4,29. Wyrzucałem je do kosza, nie otwierając. Patrzyłem, jaki nastrój miałem w zeszłym miesiącu, na przykład 4,87, więc pisałem, że w tym miesiącu było 4,88. Idiotyzm totalny.

W pewnym momencie Ziemkiewicz zaczął się zastanawiać, co będzie, gdy pomiar przekroczy maksymalną skalę pięciu. Uznał, że wtedy ustrój musi się zawalić. Niecierpliwie przyspieszał ów upadek, podbijając nastrój o dwie setne.

– Ale wtedy szef krzywo na mnie patrzył i sugerował, żebym nie przesadzał – śmieje się pisarz. – On też wiedział, że gdy się skala skończy, musi nadejść coś metafizycznego.

Morderca kredek

Praca przy tworzeniu meldunków o nastrojach zajmowała Ziemkiewiczowi pięć minut w miesiącu. Żeby nie zwariować z nudów, wziął się za pisanie przemówień dla komendanta OHP-u. Najczęściej dotyczyły tematów neutralnych. Zaczęło się od rocznicy bitwy pod Cedynią. Ziemkiewicz sporządził zgrabną przemowę, jednak łańcuszek adiustatorów zrobił z tego partyjny bełkot. I tak było za każdym razem.

baza ebooków

Owa twórczość dostarczyła Ziemkiewiczowi idealnego alibi dla czytania książek na służbie. Zawsze mógł powiedzieć, że właśnie szuka materiałów do przemówienia komendanta.

– Dla zabicia czasu wymyśliłem też inną czynność: zostałem mordercą kolorowych kredek – zeznaje Ziemkiewicz. – Brałem z magazynu kredki i temperowałem. Temperowanie do zera całego zestawu kredek zajmowało mi cały dzień. Następnego dnia brałem kolejny zestaw. Niestety, kredki szybko się skończyły.

Na szczęście kończył się też PRL. Wszystko zaczęło się sypać. Wiadomo było już, że ustrój się zmienia, że hufce będą zdemilitaryzowane. Demilitaryzacja zaczęła się od… zwolnienia podchorążych. Starszy szeregowy Ziemkiewicz zdjął mundur i wrócił do domu.

A teraz klamra… Wiele lat później, gdy publicysta występował w radiowym *Informatorze Ekonomicznym Trójki* Wiktora Legowicza, doszło do zaskakującego zdarzenia.

– Pewnego dnia Legowicz mnie pyta, kto to jest M. – opowiada Ziemkiewicz. – Bo według niego to człowiek, który obsesyjnie mnie nienawidzi. Niejaki M. napisał bowiem pięciostronicowy list, wykaligrafowany starannie, w którym stwierdza, że jestem największą szują. A on nie po to płaci abonament, żeby w radiu puszczali mu taką szuję. Skojarzyłem, że autorem tego pełnego pasji i nienawiści listu jest były komendant SPR-u w Węgorzewie. Z jakiegoś powodu sprawa z książką meldunków strasznie mu zapadła w pamięć. Gdy mnie już nie było w szkole, kazał moim nieszczęsnym kolegom odtwarzać tę książkę pół roku wstecz. Musieli wszystko przepisać od nowa, bo major M. bał się, że w razie kontroli będzie odpowiadał za bzdury, które wypisywałem.

Rafał Ziemkiewicz

Wkurzam, więc jestem – *tytuł autobiograficznego wywiadu na internetowej stronie Empiku trafia w sedno działalności Ziemkiewicza. Ostre pióro, wyraziste oceny i prowokacyjne opinie to cechy, które od lat zapewniają mu miejsce w czołówce polskiej publicystyki. Reprezentuje poglądy zdecydowanie prawicowe, co dla jednych odbiorców jest miodem na serce, a na innych działa jak płachta na byka. „Czasami spotykam czytelników, którzy mówią mi, że zmieniłem ich sposób myślenia, że wpłynąłem na ich postrzeganie pewnych zjawisk" – opisywał. „Poczytuję to za sukces. Wiem także, że dla niektórych środowisk jestem człowiekiem nieopisanie irytującym. To też jest coś. Bo jeżeli ich wkurzam, to znaczy, że nie mogą sobie ze mną tak łatwo poradzić"* [121]*. Od młodości chciał być pisarzem. Jeszcze przed maturą zadebiutował opowiadaniem science-fiction. Szybko zyskał uznanie czytelników fantastyki naukowej, posypały się nagrody literackie. Pozostawał jednak w dość hermetycznym środowisku. Szerszej publiczności dał się poznać na początku lat dziewięćdziesiątych jako rzecznik prasowy Unii Polityki Realnej (UPR). Wtedy też zaczął pisać felietony polityczne. W 2001 roku zdobył bardzo prestiżową wówczas dziennikarską Nagrodę Kisiela. Wyróżnienie dało mu możliwość*

baza ebooków

publikowania w wysokonakładowych mediach. W późniejszych latach występował również w licznych programach radiowych i telewizyjnych.

baza ebooków

Epilog

Zaczęliśmy od tego, że w wojsku nie jest wesoło. Dopiero po wszystkim można się zdrowo pośmiać. Potwierdzam to jeszcze raz. Po pierwsze – jako autor opowieści o armii PRL-u. Po drugie – kapral piechoty zmechanizowanej po Szkole Podchorążych Rezerwy w Elblągu. Spocznij!

Podobne odczucie wyraziła większość bohaterów mojej książki. Migali się od poboru albo odbębniali służbę najmniejszym nakładem sił. Szli do woja, bo musieli. Propagandowe hasełka o patriotycznym obowiązku wobec socjalistycznej ojczyzny puszczali mimo uszu.

Ludowe Wojsko Polskie nie było przecież ani ludowe, ani do końca polskie. Podległe Związkowi Radzieckiemu w 1968 roku wkraczało do Czechosłowacji, by czołgami rozjechać Praską Wiosnę. W kraju komuniści używali żołnierzy do utrzymywania siłą władzy. Tuż po wojnie wojsko zwalczało niepodległościową partyzantkę. W następnych dekadach pacyfikowało protesty robotnicze (Poznań ’56, Grudzień ’70) i dławiło „Solidarność” (stan wojenny).

Trudno służyć w takiej armii, przysięgać na wierność „władzy ludowej”, wypełniać „braterskie przymierze z Armią Radziecką”. Ale trzeba było jakoś przeżyć. Odmowa służby wiązała się z więzieniem, represjami, złamanym życiem. Rozsądek podpowiadał: włóż kamasze, zapnij pas, zaciśnij zęby.

Pomagał dystans do rzeczywistości – symboliczny „pancerzyk” wsuwany pod moro. Doskonale chronił przed bzdurami, których w armii PRL-u było więcej niż czołgów, wozów bojowych, samolotów i okrętów razem wziętych.

Całkiem pokaźny arsenał absurdów mieli Państwo okazję poznać. Gdy piszę te słowa, przychodzi mi do głowy kolejny. Podczas mojej służby otrzymywaliśmy od czasu do czasu rozkaz mycia okien. Ale nie wolno było umyć okna inaczej niż za pomocą pasty do zębów i gazet.

Należało nałożyć na szybę warstwę pasty, a potem zetrzeć ją na sucho gazetami. Co prawda, przydziałowa pasta do zębów, jak też „Żołnierz Wolności” i „Trybuna Ludu” (jedyne gazety dostępne w wojsku), do niczego innego się nie nadawały. Jednak do dziś pozostaje dla mnie zagadką, kto i dlaczego wprowadził taką procedurę.

baza ebooków

Dla młodych poborowych, chłopców jeszcze, zasadnicza służba wojskowa bywała swego rodzaju męską inicjacją. Przepustką do dorosłości. W każdym razie tak to zdarzenie pojmowano w otoczeniu biednego rekruta. Przysięga wojskowa jawiła się jako kolejny rytuał przejścia. Niczym pierwsza komunia czy bierzmowanie. Wojak przechodził katusze „fali", a wszyscy wokół radośnie nucili *Przyjedź, mamo, na przysięgę*.

W dużo lepszej sytuacji znajdowali się poborowi po studiach. Ich służba była krótsza, lżejsza, wolna od zwyrodnień żołnierskiej subkultury. Przerywała karierę, niweczyła plany zawodowe. Ale w ostatecznym rozrachunku czas spędzony w armii nie był zupełnie stracony. W relacjach moich rozmówców, gdy patrzyli na wojsko z odległej perspektywy, przewija się nuta nostalgii. Absurdy absurdami, opresja opresją, a jednak coś im dało to kulawe wojsko. Było szkołą życia. Szkołą przetrwania.

Dziś mamy zupełnie inną armię. Wojsko Polskie, nie tylko z nazwy. Zawodowe, uzbrojone w sprzęt za miliardy złotych. Do przysłowia „za mundurem panny sznurem" doszło nowe: „murem za mundurem". Wyraża szacunek dla żołnierzy. Wartość bezcenną, gdy tuż za naszą granicą toczy się wojna.

Po co w takim momencie książka, która opowiada o wojsku złym, śmiesznym, minionym? Odpowiedź jest prosta. Bo historia zawsze jest ciekawa. Zawsze czegoś uczy.

Dziękuję moim rozmówcom za wielką życzliwość. Książka ukazuje się po śmierci Józefa Oleksego (2015), Grzegorza Miecugowa (2017), Jana Lityńskiego (2021) i Jerzego Stuhra (2024). Jestem wdzięczny ich bliskim za zgodę na publikację.

baza ebooków

Posłowie

Drogi Czytelniku, krótkie wyjaśnienie. Do pracy nad tą książką zabrałem się jakieś dwanaście–trzynaście lat temu. Mniej więcej wtedy, gdy na emeryturę odeszli trener Alex Ferguson i papież Benedykt XVI, w Polsce wydłużono wiek emerytalny do sześćdziesięciu siedmiu lat, Obama ponownie został prezydentem Stanów Zjednoczonych, Władimir Putin wrócił na Kreml, Facebook wszedł na giełdę, a Encyklopedia Britannica po dwustu czterdziestu czterech latach przestała ukazywać się drukiem.

Przeprowadziłem wywiady z osiemnastoma znanymi Polakami. Opowiedzieli o swoich zwykłych i niezwykłych przejściach z wojskiem. Dlaczego książka powstawała tak długo? Po prostu są rzeczy, które wymagają więcej wysiłku niż stworzenie posta na Instagramie. Budowa Wielkiego Muru Chińskiego trwała ponad dwa tysiące lat, sto czterdzieści trzy lata barcelończycy stawiają Sagradę Familię, a dziewięćdziesiąt dwa lata poślizgu miało metro w Warszawie. Ja tylko zremisowałem z wojną trzynastoletnią, tą z Krzyżakami.

baza ebooków

Ważniejsza bibliografia

Rozmowy w zbiorach autora z:

Arturem Andrusem, Leszkiem Balcerowiczem, Andrzejem Celińskim, Wojciechem Fibakiem, Ryszardem Kaliszem, Janem Lityńskim, Robertem Makłowiczem, Adamem Małyszem, Grzegorzem Miecugowem, Leszkiem Millerem, Stefanem Niesiołowskim, Józefem Oleksym, Maciejem Orłosiem, Krzysztofem Skowrońskim, Piotrem Skwiecińskim, Jerzym Stuhrem, Wiesławem Walendziakiem, Rafałem Ziemkiewiczem.

Książki i opracowania:

Tomasz Jagielski, Izabela Wyszomirska (redakcja naukowa), *50 lat Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego we wspomnieniach*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019.

Inżynier Tadeusz Wenda, Dzieje budowy portu gdyńskiego, w pracy zbiorowej: XV lat polskiej pracy na morzu, Instytut Wydawniczy Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, Gdynia 1938.

Pepe Piasecki, *Generał*, Wydawnictwo Stapis, Katowice 2007.

Wojciech Fibak, Ewa Wąsikowska-Tomczyńska, *Wojciech Fibak. Moja prawdziwa historia*, Axel Springer Polska, Warszawa 2004.

Cezary Pazura, *Byłbym zapomniał…*, Editio 2018.

Andrzej Celiński, Jan Walc, *Andrzej Celiński, Ja już wygrałem. Jan Walc rozmawia z senatorem płockim*, Wydawnictwo PoMOST, Warszawa 1991.

Aleksander Kwaśniewski, Aleksander Kaczorowski, *Prezydent. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim*, Znak, Kraków 2023.

Karolina Bittner, *Propagandowe funkcje piosenki na przykładzie Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu*, w: Pamięć i Sprawiedliwość 12/2 (22), 2013.

Alicja Klenczon, Tomasz Potkaj, *Krzysztof Klenczon. Historia jednej znajomości*, Wydawnictwo WAM 2017.

Marian Milewski, *1 Warszawska Brygada Artylerii Armat na Ziemi Węgorzewskiej*, w: archiwum-11pa.wp.mil.pl/plik/file/Historia_1_wbba_-_zarys_MM.pdf

Antoni Dudek, *Historia polityczna Polski 1989–2023*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2023.

Rafał A. Ziemkiewicz, *Cała kupa wielkich braci*, Fabryka Słów, Lublin 2002.

Marcin Prokop, Jan Borysewicz, *Jan Borysewicz, Mniej obcy*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2022.

Jakub Mularczyk, *Z Kielecczyzny na Westerplatte. Losy obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej*, IPN, Kielce 2022.

Karol Życzkowski, *Notatki szeregowca*, Universitas, 1998.

baza ebooków

Prasa i internet:

10 marca 1981 r. „Tak jest, panie generale”. Pierwsze spotkanie Wałęsa–Jaruzelski, na: historia.interia.pl, 10 marca 2014.

Artur Andrus – biografia, w: terazteatr.pl

Jerzy Kubrak, *Leszek Balcerowicz, Moja prawdziwa historia*, Axel Springer Polska, Warszawa 2004.

Arkadiusz Bartosiak, Łukasz Klinke, Marcin Meller, *Ryszard Kalisz*, „Playboy” nr 12/2008.

Michał Białoński, *Nawet nie był na komisariacie*, „Gazeta Wyborcza” nr 133, 7 czerwca 2004.

Marek Bobakowski, *Adam Małysz chce rewolucji w polskich skokach. Tą drogą poszli już Niemcy i Austriacy*, w: sportowefakty.wp.pl, 1 listopada 2022.

Adrian Boguski, *Lekarz na poligonie – rozmowa z prof. Krzysztofem Zemanem*, Miesięcznik Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie „Puls” nr 5/2022.

Wiktor Bołba, JP, *LegiaRetro (50): Podporucznik Deyna*, na: legia.com, 1 września 2020.

Adam Borowski, *Biogramy – Bogucka Teresa*, w: *Encyklopedia Solidarności*, encysol.pl

Justyna Bryczkowska, *Nierówno sieka, robi bałagan w kuchni i mówi, że nie jest kucharzem. Makłowicz „niczego ani nikogo nie udaje”*, w: kultura.gazeta.pl, 29 listopada 2022.

Piotr Byszewski, *Akcja „Poronin”. Jak członkowie tajnej organizacji „Ruch” postanowili wysadzić pomnik i podpalić muzeum Lenina*, na: przystanekhistoria.pl, 23 stycznia 2019.

Tomasz „Burza” Burzyński, *Skąd się wzięły wojskowe „trepy”*, na: polska-zbrojna.pl, 3 stycznia 2015.

Pili tak, że zalali piętro w hotelu. Skupień rozlicza się z kariery [WYWIAD], Michał Chmielewski, Mateusz Leleń, sport.tvp.pl, 8 lutego 2024.

Maciej Orłoś: Tu jest konkret, Bożena Chodyniecka, film.interia.pl, 11 czerwca 2015.

Cytadela Warszawska. To miejsce było symbolem ucisku, polskieradio24.pl, 4 maja 2022.

„Czarny czwartek” – 17 grudnia 1970. Najkrwawszy dzień robotniczego powstania na Wybrzeżu, polskieradio24.pl, 17 grudnia 2020.

Kobranocka: muzyka, zabawa i jazda bez trzymanki, Aleksander Dembski, kultura.onet.pl, 2 października 2012.

Na przedpolach jubileuszu, Adam Czesław Dobroński, „Gazeta Współczesna”, 20 sierpnia 2017.

Włodzimierz Domagalski, *Biogramy – Niesiołowski Stefan Konstanty*, w: *Encyklopedia Solidarności*, encysol.pl

Antoni Dudek, *Wojskowe Służby Imperium*, na: wprost.pl, 15 grudnia 2006.

Adam Dziurok, *Protesty marcowe roku 1968*, na: ipn.gov.pl, 13 marca 2023.

Andrzej Fiedoruk, *Wyżywienie Armii Czerwonej*, na: ciekawostkihistoryczne.pl, 5 czerwca 2024.

Aleksander Fisz, *Wspomnienie o Włodzimierzu Zdzisławie Omelanie*, na: ogrodywspomnien.pl, 2 lipca 2018.

Michał Gostkiewicz, *Dusza człowiek. Alfabet Kalisza*, na: weekend.gazeta.pl, 3 stycznia 2017.

Hanna Halek, *Bieszczady Artura Andrusa*, na: zwierciadlo.pl, 21 maja 2010.

Marcin Idziński – sylwetka, na: salon24.pl, blog bartek123, 26 marca 2014.

Jan Kuriata – biogram, Encyklopedia Pomorza Zachodniego, pomeranica.pl

Mariusz Jarosiński, *95 lat temu w Gdyni otwarty został „Tymczasowy Port Wojenny i Schronisko dla Rybaków”*, na: dzieje.pl. 29 kwietnia 2018.

Jacek Jędrysiak, *O fali w Ludowym Wojsku Polskim*, na: polska-zbrojna.pl, 24 kwietnia 2021.

Tomasz Kalemba, *Piotr Fijas – wielki skoczek z Buczkowic, jedyny polski medalista MŚ w lotach*, na: onet.pl, 15 marca 2014.

Magdalena Karst, *Rafał Ziemkiewicz: Wkurzam, więc jestem*, na: empik.com, 17 marca 2008.

Kim jest Krzysztof Skowroński, portalmedialny.pl, 6 lipca 2006.

Konrad Knoch, *Biogramy – Walendziak Wiesław*, w: *Encyklopedia Solidarności*, encysol.pl

Sandra Kobuszewska, *Nieznane początki Macieja Orłosia. Przed kamerą TVP powiedział to „całkiem serio”*, na: kultura.onet.pl, 31 stycznia 2023.

baza ebooków

Iga Kołacz, *Sylwetka Grzegorza Miecugowa: Mam dużo pokory*, na: press.pl, 26 sierpnia 2017.
Piotr Korczyński, *Polacy! Wybiła godzina zemsty!*, na: polska-zbrojna.pl, 29 listopada 2020.
Ewa Korsak, *Wojskowa stolica Polski na dużym ekranie*, na: polska-zbrojna.pl, 21 kwietnia 2016.
Jacek Kowalski, *Przypadek Krzysztofa Skowrońskiego: radio i polityka we krwi*, na: wirtualnemedia.pl, 4 grudnia 2023.
Jacek Kowalski, *Ziemkiewicz: liczy się słowo, jakość i dziennikarska marka*, na: wirtualnemedia.pl, 11 lipca 2022.
Andrzej Kozłowski, *Studium Wojskowe*, Archiwum serwisu obchodów jubileuszu 200-lecia Uniwersytetu Warszawskiego (1 X 2015–31 XII 2016), uw200.uw.edu.pl
Bartłomiej Król, *Ruska onuca. Wszystko, co musisz o niej wiedzieć*, na: truestory.pl, 25 marca 2022.
Józef Krzyk, *Teresa Bogucka o Marcu '68: chcieliśmy choć trochę poprawić PRL*, na: dzieje.pl, 9 marca 2024.
Grażyna Kuryłło, *Koniec Rock And Rolla (czyli gdzie się podziały tamte balangi)*, w: „Machina" 32/listopad 2008.
Jaromir Kwiatkowski, *Z notatnika „bażanta" czyli jak w wojsku opalaliśmy się na rozkaz*, na: plus.nowiny24.pl, 29 czerwca 2021.
Mikołaj Lizut, *Członkowie KOR – Andrzej Celiński*, na: komitetobronyrobotnikow.pl
Michał Lipka, *Historia portu wojennego w Gdyni*, na: trojmiasto.pl, 20 maja 2015.
Wojciech Lubiński, *Wojciech Skupień bez żołnierskiego etatu*, na: sport.pl, 7 października 2002.
Krzysztof Majak, *Jarosław Gowin „stawał na głowie", by uniknąć wojska. Co robili inni? „Próbowałem się powiesić"*, w: NaTemat.pl, 24 kwietnia 2015.
Grzegorz Majchrzak, *Funkcjonariusz Kapka*, na: przystanekhistoria.pl, 14 września 2020.
Jerzy Malczyk, *Zmarł Michaił Kałasznikow, konstruktor karabinu AK-47*, na dzieje.pl, 14 lipca 2016.
MarekP, *Głośno czy cicho?*, na: forum-bron.pl, 2 listopada 2005.
Wojciech Markiewicz, *Kultowe studium wojskowe*, w: polityka.pl, 29 maja 2019.
Robert Mazurek, *Skowroński: nie byłem partyjnym nominatem*, w: dziennik.pl, 7 marca 2009.
Robert Mazurek, *Spowiedź Józefa Oleksego*, na: rp.pl/plus-minus, 19 grudnia 2014.
Krzysztof Piotr Mirecki, *Rembertowski poligon artylerii (1888–1889)*, na: drewnica.warszawa.lasy.gov.pl, 2 lutego 2017.
Krzysztof Myśliwiec, *To były fajne czasy*, w: zyciepw.pl, 20 grudnia 2005.
Rafał Natorski, *„Czarna Jedynka" – historia niezwykłej drużyny harcerskiej*, na: facet.wp.pl, 1 sierpnia 2016.
Nie żyje Jan Lityński, w latach 1989–2001 poseł na Sejm, opozycjonista w czasach PRL, sejm.gov.pl, 11 marca 2021.
„Nie będę robił z tego tragedii". Tak Grzegorz Miecugow opowiadał o swojej chorobie, kultura.onet.pl, 26 sierpnia 2024.
Niezawodna Nagra. Kultowy magnetofon – marzenie reporterów, polskieradio.pl, 11 kwietnia 2018.
Renata Omelan, *Wspomnienie o Włodzimierzu Zdzisławie Omelanie*, na: ogrodywspomnien.pl, 7 marca 2012.
Mirosław Pakuła, *Znani absolwenci zegrzyńskiego ośrodka szkolenia żołnierzy łączności*, na: gazetapowiatowa.pl, 4 kwietnia 2014.
Tadeusz Pióro, *Gwiazda w krawacie*, w: „Gazeta Wyborcza", 21 kwietnia 1995.
Płk Wiesław Korga – biogram, Związek Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego, zwir.org.pl
Pistolet maszynowy PM-63 Rak – polski dentysta!, zbrojowniamodlin.pl, 31 stycznia 2022.
Powstańcze biogramy – Zenon Kliszko, Muzeum Powstania Warszawskiego, 1944.pl
Maciej Replewicz, *Dr Pałka: LWP miało zdobyć Danię, północną część RFN i Holandii*, dzieje.pl, 14 lipca 2016.
Ryszard Schnepf odpiera zarzuty autorów „Resortowych dzieci": autorzy obrzydliwych tekstów o mojej rodzinie przekłamali fakty, wiadomosci.wp.pl, 7 listopada 2016.

baza ebooków

Jubileusz 35-lecia ORP Orzeł, Sekcja Prasowa 3.FO, wojsko-polskie.pl, 29 kwietnia 2021.
Dawid Smaga, *Oto, jak Polacy unikali wojska w PRL. Niektóre pomysły mocno zadziwiają*, na: portal.abczdrowie.pl, 7 marca 2018.
Paweł Stachnik, *Jak Polacy w PRL-u migali się od wojska? Poznaj pomysły, w które aż trudno uwierzyć*, na: ciekawostkihistoryczne.pl, 24 czerwca 2017.
Ludwik Stomma, *Człowiek orkiestra*, w: „Polityka" nr 45, 3 listopada 2015.
Strajki w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w 1988, Gedanopedia, gdansk.gedanopedia.pl
Małgorzata Subotić, *Sylwetka Ryszarda Kalisza*, na: rp.pl, 25 czerwca 2011.
Michał Szukała, *Prof. A. Dudek: Jan Lityński był klasycznym przedstawicielem „pokolenia Marca 1968"*, na: dzieje.pl, 22 lutego 2021.
Piotr Szymański, Anna Wilmowska-Pietruszyńska, *Wojskowe orzecznictwo lekarskie – rys historyczny*, w: Orzecznictwo Lekarskie nr 5(2)/2008.
Krystyna Szyrocka-Szwed, *Studium wojskowe*, na: zpamietnikalekarza.pl
Świadkowie. Yoshiho Umeda, opowiedziane.ipn.gov.pl
Agnieszka Święcicka, *Ulubieniec władz PRL. Wymyślił „Czterech pancernych", został sąsiadem Wojciecha Jaruzelskiego*, na: plejada.pl 4 lipca 2024.
Taki był Grzegorz Miecugow, tvn24.pl, 28 sierpnia 2017.
Tragiczna śmierć piłkarza otoczyła go jeszcze większym kultem. Jak on grał!, sport.interia.pl, 1 września 2022.
Jarosław Wasilewski, *Z Sowietami przeciw Polakom: UB i LWP w Obławie Augustowskiej*, na: przystanekhistoria.pl, 13 lipca 2022.
Wojciech Weiler, *Tetetka*, w: „Strzał. Magazyn o broni", wrzesień/październik 2013.
Wernisaż wystawy Michała Boguckiego w Częstochowie, scenakultury.pl, 21 stycznia 2022.
Wojciech Fibak – biogram, historiapolskiegotenisa.pl
Małgorzata Wojcieszyńska, *Big-beatowe rodzeństwo*, w: „Monitor Polonijny" nr 4/2009.
Hubert Woźniak, *Marzec 1992. Levi's inwestuje w Płocku*, na: plock.wyborcza.pl, 20 maja 2005.
Marek Zatoń, *Biogramy – Piotr Skwieciński*, w: *Encyklopedia Solidarności*, encysol.pl
Jan Złotorowicz, *Leszek Miller – mężczyzna, który nigdy nie kończy. Kulisy polityki*, na: se.pl, 22 lipca 2011.
Zmarł Wojciech Celiński 1947–2024, panoramaplock.pl, 30 grudnia 2024.
Żegnajcie onuce, „Polityka" nr 4, 22 stycznia 2013.
Żołnierze na skoczniach narciarskich, polska-zbrojna.pl, 17 lutego 2018.

Dokumenty:

Biuletyn z posiedzenia Komisji Kultury Fizycznej i Sportu oraz Komisji Obrony Narodowej, sejm.gov.pl, 21 czerwca 2002.
Kolekcja Henryka Kucejko, Biblioteka Cyfrowa Fundacji Ośrodka KARTA, dlibra.karta.org.pl
Akta Tadeusza Pióro, Archiwum Akt Nowych, szukajwarchiwach.gov.pl

Materiały wideo i audio:

Podróże kulinarne Roberta Makłowicza, produkcja Promiss Ewa Wachowicz dla Programu 2 TVP S.A., 2002, youtube.com/watch?v=jLk-ygWAPDg
Wojskowe anegdoty wujka Czarka, kanał Cezarego Pazury na YouTubie, 28 lipca 2021, www.youtube.com/watch?v=rhKAQiHtqwg
Historia pewnej płyty. Goście Tomasza Żądy o debiucie Lady Pank, trojka.polskieradio.pl, 13 września 2015.
Kulisy Sławy Grzegorza Miecugowa, Ewelina Kuczmińska, *Uwaga!* TVN z 2008 r., tvn24.pl

baza ebooków

Przypisy

1. Adam Czesław Dobroński, *Na przedpolach jubileuszu*, „Gazeta Współczesna”, 20 sierpnia 2017. [wróć]
2. Tomasz Jagielski, Izabela Wyszomirska (red.), *50 lat Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego we wspomnieniach*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019, s. 81. [wróć]
3. Tom Phillips, *Krótka historia o tym, jak spieprzyliśmy wszystko*, Albatros 2020, s. 154. [wróć]
4. Major rezerwy Tomasz „Burza” Burzyński, *Skąd się wzięły wojskowe „trepy”*, polska-zbrojna.pl, 3 stycznia 2015. [wróć]
5. *Podróże kulinarne Roberta Makłowicza*, prod. Promiss Ewa Wachowicz dla Programu 2 TVP S.A., 2002, youtube.com/watch?v=jLk-ygWAPDg [wróć]
6. Tamże. [wróć]
7. Tamże. [wróć]
8. Inżynier Tadeusz Wenda, *Dzieje budowy portu gdyńskiego* [w:] *XV lat polskiej pracy na morzu*, A. Majewski (red.), Instytut Wydawniczy Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, Gdynia 1938, s. 63. [wróć]
9. *Sentymentalna wizyta premiera Millera*, wiadomosci.wp.pl, 30 czerwca 2002. [wróć]
10. Jan Złotorowicz, *Leszek Miller – mężczyzna, który nigdy nie kończy. KULISY POLITYKI*, se.pl, 22 lipca 2011. [wróć]
11. Wojciech Markiewicz, *Kultowe studium wojskowe*, polityka.pl, 29 maja 2019. [wróć]
12. Pepe Piasecki, *Generał*, Wydawnictwo Stapis, Katowice 2007, general.pepepiasecki.pl/studium68.html [wróć]
13. Tamże. [wróć]
14. *Sylwetka Józefa Oleksego. „Jego nie można było nie lubić”*, polskieradio24.pl, 9 stycznia 2015. [wróć]
15. Robert Mazurek, *Spowiedź Józefa Oleksego*, Rzeczpospolita Plus Minus, rp.pl/plus-minus, 19 grudnia 2014. [wróć]
16. Michał Białoński, *Nawet nie był na komisariacie*, „Gazeta Wyborcza” nr 133, 7 czerwca 2004. [wróć]
17. Wojciech Fibak, *Moja prawdziwa historia*, spisała Ewa Wąsikowska-Tomczyńska, Axel Springer Polska, Warszawa 2004, s. 11–13. [wróć]
18. Tomasz Kalemba, *Piotr Fijas – wielki skoczek z Buczkowic, jedyny polski medalista MŚ w lotach*, onet.pl, 15 marca 2014. [wróć]
19. Tamże. [wróć]
20. Wojciech Lubiński, *Wojciech Skupień bez żołnierskiego etatu*, sport.pl, 7 października 2002. [wróć]
21. Michał Chmielewski, Mateusz Leleń, *Pili tak, że zalali piętro w hotelu. Skupień rozlicza się z kariery [WYWIAD]*, sport.tvp.pl, 8 lutego 2024. [wróć]

baza ebooków

22. Biuletyn z posiedzenia Komisji Kultury Fizycznej i Sportu oraz Komisji Obrony Narodowej, sejm.gov.pl, 21 czerwca 2002. [wróć]
23. Tamże. [wróć]
24. Marek Bobakowski, *Adam Małysz chce rewolucji w polskich skokach. Tą drogą poszli już Niemcy i Austriacy*, sportowefakty.wp.pl, 1 listopada 2022. [wróć]
25. Wojciech Markiewicz, *Kultowe studium wojskowe*, polityka.pl, 29 maja 2019. [wróć]
26. Tamże. [wróć]
27. Tamże. [wróć]
28. Tamże. [wróć]
29. Adam Czesław Dobroński, *Na przedpolach jubileuszu*, „Gazeta Współczesna”, 20 sierpnia 2017. [wróć]
30. Andrzej Kozłowski, *Studium Wojskowe*, Archiwum serwisu obchodów jubileuszu 200-lecia Uniwersytetu Warszawskiego (1 X 2015 – 31 XII 2016), uw200.uw.edu.pl [wróć]
31. Tamże. [wróć]
32. Tomasz Jagielski, Izabela Wyszomirska (red.), *50 lat Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego we wspomnieniach*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019, s. 80. [wróć]
33. Tamże. [wróć]
34. A.C. Dobroński jw. [wróć]
35. W. Markiewicz jw. [wróć]
36. Tamże. [wróć]
37. Ludwik Stomma, *Człowiek orkiestra*, Polityka nr 45, 3 listopada 2015. [wróć]
38. MarekP, *Głośno czy cicho?*, forum-bron.pl, 2 listopada 2005. [wróć]
39. Cezary Pazura, *Byłbym zapomniał*, Editio 2017, s. 177. [wróć]
40. *Podziękowania dla Henryka Kucejko za udział w działaniach bojowych 1-ej Armii o zdobycie Kołobrzegu*, Archiwum Ośrodka Karta (kolekcja Henryka Kucejko), 18 marca 1945. [wróć]
41. *Pismo z prośbą kpt. rezerwy Henryka Kucejko do Departamentu Kadr MON o przyznanie mu renty z tytułu służby wojskowej* Archiwum Ośrodka Karta (kolekcja Henryka Kucejko), 16 maja 1958. [wróć]
42. Pepe Piasecki, *Generał*, Wydawnictwo Stapis, Katowice 2007, general.pepepiasecki.pl/studium68.html [wróć]
43. Tamże. [wróć]
44. Tamże. [wróć]
45. Tamże. [wróć]
46. L. Stomma jw. [wróć]
47. W. Markiewicz jw. [wróć]
48. Tamże. [wróć]
49. Tamże. [wróć]
50. Tamże. [wróć]
51. Renata Omelan, *Wspomnienie o Włodzimierzu Zdzisławie Omelanie*, ogrodywspomnien.pl, 7 marca 2012. [wróć]
52. W. Markiewicz jw. [wróć]
53. Tamże. [wróć]
54. Tamże. [wróć]
55. L. Stomma jw. [wróć]
56. Aleksander Fisz, *Wspomnienie o Włodzimierzu Zdzisławie Omelanie*, ogrodywspomnien.pl, 2 lipca 2018. [wróć]

baza ebooków

57. Andrzej Celiński, *Ja już wygrałem. Jan Walc rozmawia z senatorem płockim*, Wydawnictwo PoMOST, Warszawa 1991, s. 118. [wróć]
58. Wojciech Markiewicz, *Kultowe studium wojskowe*, polityka.pl, 29 maja 2019. [wróć]
59. Adam Dziurok, *Protesty marcowe roku 1968*, ipn.gov.pl, 13 marca 2023. [wróć]
60. Piotr Korczyński, *Polacy! Wybiła godzina zemsty!*, polska-zbrojna.pl, 29 listopada 2020. [wróć]
61. *„Czarny czwartek" – 17 grudnia 1970. Najkrwawszy dzień robotniczego powstania na Wybrzeżu*, polskieradio24.pl, 17 grudnia 2020. [wróć]
62. P. Piasecki jw., general.pepepiasecki.pl/komisja-poborowa.html [wróć]
63. Józef Krzyk, *Teresa Bogucka o Marcu '68: chcieliśmy choć trochę poprawić PRL*, dzieje.pl, 9 marca 2024. [wróć]
64. Krystyna Szyrocka-Szwed, *Studium wojskowe*, zpamietnikalekarza.pl [wróć]
65. Maciej Replewicz, *Dr Pałka: LWP miało zdobyć Danię, północną część RFN i Holandii*, dzieje.pl, 14 lipca 2016. [wróć]
66. P. Piasecki jw., general.pepepiasecki.pl/studium68.html [wróć]
67. W. Markiewicz jw. [wróć]
68. Jarosław Wasilewski, *Z Sowietami przeciw Polakom: UB i LWP w Obławie Augustowskiej*, przystanekhistoria.pl, 13 lipca 2022. [wróć]
69. Tamże. [wróć]
70. *Ryszard Schnepf odpiera zarzuty autorów „Resortowych dzieci": autorzy obrzydliwych tekstów o mojej rodzinie przekłamali fakty,* wiadomosci.wp.pl, 7 listopada 2016. [wróć]
71. Tamże. [wróć]
72. Tamże. [wróć]
73. Michał Gostkiewicz, *Dusza człowiek. Alfabet Kalisza*, weekend.gazeta.pl, 3 stycznia 2017. [wróć]
74. Aleksander Kwaśniewski, Aleksander Kaczorowski, *Prezydent*, Znak, Kraków 2023, s. 150. [wróć]
75. Arkadiusz Bartosiak, Łukasz Klinke, Marcin Meller, *Ryszard Kalisz*, Playboy nr 12, 2008. [wróć]
76. Tamże. [wróć]
77. Karolina Bittner, *Propagandowe funkcje piosenki na przykładzie Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu*, Pamięć i Sprawiedliwość 12/2 (22), 2013, s. 236. [wróć]
78. Tamże, s. 259. [wróć]
79. *Marcin Idziński – sylwetka*, salon24.pl, blog bartek123, 26 marca 2014. [wróć]
80. Adrian Boguski, *Lekarz na poligonie* – wywiad z prof. Krzysztofem Zemanem. Miesięcznik Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie „Puls" nr 5/2022. [wróć]
81. Konrad Piasecki, *Gowin: Stawałem na głowie, żeby uniknąć wojska. Dziś służba w armii to byłby zaszczyt*, rmf24.pl, 23 kwietnia 2015. [wróć]
82. Tamże. [wróć]
83. Paweł Stachnik, *Jak Polacy w PRL-u migali się od wojska? Poznaj pomysły, w które aż trudno uwierzyć*, ciekawostkihistoryczne.pl, 24 czerwca 2017. [wróć]
84. Alicja Klenczon, Tomasz Potkaj, *Krzysztof Klenczon. Historia jednej znajomości*, Wydawnictwo WAM 2017, s. 100. [wróć]
85. Małgorzata Wojcieszyńska, *Big-beatowe rodzeństwo*, Monitor Polonijny nr 4/2009. [wróć]
86. [8] A. Klenczon T. Potkaj jw., s. 99. [wróć]
87. [9] Antoni Dudek, *Wojskowe Służby Imperium*, wprost.pl, 15 grudnia 2006. [wróć]
88. Aleksander Dembski, *Kobranocka: muzyka, zabawa i jazda bez trzymanki*, kultura.onet.pl, 2 października 2012. [wróć]
89. Karol Życzkowski, *Notatki szeregowca*, Universitas 1998, s. 17. [wróć]
90. Tamże, s. 24. [wróć]

baza ebooków

91. Krzysztof Majak, *Jarosław Gowin „stawał na głowie”, by uniknąć wojska. Co robili inni? „Próbowałem się powiesić”*, NaTemat.pl, 24 kwietnia 2015. [wróć]
92. *„Nie będę robił z tego tragedii”. Tak Grzegorz Miecugow opowiadał o swojej chorobie*, kultura.onet.pl, 26 sierpnia 2024. [wróć]
93. *Wojskowe anegdoty wujka Czarka*, Kanał Cezarego Pazury na YouTubie, 28 lipca 2021. [wróć]
94. Tamże. [wróć]
95. Tamże. [wróć]
96. Tamże. [wróć]
97. Tamże. [wróć]
98. Tamże. [wróć]
99. Tamże. [wróć]
100. Tamże. [wróć]
101. Mirosław Pakuła, *Znani absolwenci zegrzyńskiego ośrodka szkolenia żołnierzy łączności*, gazetapowiatowa.pl, 4 kwietnia 2014. [wróć]
102. Krzysztof Myśliwiec, *To były fajne czasy*, zyciepw.pl, 20 grudnia 2005. [wróć]
103. Grażyna Kuryłło, *Koniec Rock And Rolla (czyli gdzie się podziały tamte balangi)*, „Machina” 32/listopad 2008. [wróć]
104. Tamże. [wróć]
105. *Historia pewnej płyty. Goście Tomasza Żądy o debiucie Lady Pank*, trojka.polskieradio.pl, 13 września 2015. [wróć]
106. Jan Borysewicz, *Mniej Obcy Rozmawia Marcin Prokop*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2022, s. 121–122. [wróć]
107. Ewa Korsak, *Wojskowa stolica Polski na dużym ekranie*, polska-zbrojna.pl, 21 kwietnia 2016. [wróć]
108. *Historia pewnej płyty* jw. [wróć]
109. Sandra Kobuszewska, *Nieznane początki Macieja Orłosia. Przed kamerą TVP powiedział to „całkiem serio”*, kultura.onet.pl, 31 stycznia 2023. [wróć]
110. Bożena Chodyniecka, *Maciej Orłoś: Tu jest konkret*, film.interia.pl, 11 czerwca 2015. [wróć]
111. Antoni Dudek, *Historia polityczna Polski 1989–2023*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2023, s. 236. [wróć]
112. *Kim jest Krzysztof Skowroński*, portalmedialny.pl, 6 lipca 2006. [wróć]
113. Jacek Kowalski, *Przypadek Krzysztofa Skowrońskiego: radio i polityka we krwi*, wirtualnemedia.pl, 4 grudnia 2023. [wróć]
114. Plus, *Skowroński: nie byłem partyjnym nominatem*, dziennik.pl, 7 marca 2009. [wróć]
115. Marian Milewski, *1. Warszawska Brygada Artylerii Armat na Ziemi Węgorzewskiej*, archiwum-11pa.wp.mil.pl/plik/file/Historia_1_wbba_-_zarys_MM.pdf, s. 8. [wróć]
116. Tamże, s. 21–22. [wróć]
117. Jaromir Kwiatkowski, *Z notatnika „bażanta” czyli jak w wojsku opalaliśmy się na rozkaz*, plus.nowiny24.pl, 29 czerwca 2021. [wróć]
118. Tamże. [wróć]
119. Tamże. [wróć]
120. Rafał A. Ziemkiewicz, *Cała kupa wielkich braci*, Fabryka Słów, Lublin 2002, s. 226–227. [wróć]
121. Magdalena Karst, *Rafał Ziemkiewicz: Wkurzam więc jestem*, empik.com, 17 marca 2008. [wróć]

baza ebooków